

robert craigs

• GRANICE ZŁA • GRANICE ZŁA • GRANICE ZŁA • GRANICE ZŁA •

uprowadzeni



Świat Książki

Spis treści

Okładka

Karta tytułowa

Karta redakcyjna

PROLOG: Jack i Krista

CZĘŚĆ 1

ELVIS COLE: sześć dni po uprowadzeniu Jacka i Kristy

JOE PIKE: jedenaście dni po uprowadzeniu

JACK I KRISTA: uprowadzeni

ELVIS COLE: sześć dni po uprowadzeniu Jacka i Kristy

JOE PIKE: sześć dni po uprowadzeniu Jacka i Kristy

ELVIS COLE: cztery dni przed jego uprowadzeniem

JACK I KRISTA: dziewięć godzin po uprowadzeniu

ELVIS COLE: cztery dni przed jego uprowadzeniem

JACK I KRISTA: cztery dni po uprowadzeniu

JON STONE: trzy dni przed uprowadzeniem Cole'a

CZĘŚĆ 2

ELVIS COLE: trzy dni przed jego uprowadzeniem

JACK I KRISTA: sześć dni po uprowadzeniu

CZĘŚĆ 3

*

ELVIS COLE: czterdzieści dwie minuty przed jego uprowadzeniem

JOE PIKE: w dniu uprowadzenia Elvise Cole'a

JACK I KRISTA: siedem dni po uprowadzeniu

ELVIS COLE: uprowadzony

CZĘŚĆ 4

Areszt hrabstwa Riverside w Indio Hermano Pinetta

JOE PIKE: dzień po uprowadzeniu Elvise Cole'a

Farma daktylowa

Podziękowania

robert craigs

• GRANICE ZŁA • GRANICE ZŁA • GRANICE ZŁA • GRANICE ZŁA •

uprowadzeni

Z angielskiego przełożył
Jan Kraśko


Świat Książki

Tytuł oryginału

TAKEN

Wydawca

Grażyna Smosna

Redaktor prowadzący

Katarzyna Krawczyk

Redakcja

Magdalena Hildebrand

Korekta

Magdalena Matuszewska

Marianna Filipkowska

Copyright © 2012 by Robert Crais

All rights reserved

Copyright © for the Polish translation by Jan Kraśko 2014

Wszystkie postaci w tej książce są fikcyjne.

Jakiegolwiek podobieństwo do osób rzeczywistych – żywych czy zmarłych – jest całkowicie przypadkowe.

Świat Książki

Warszawa 2014

Świat Książki Sp. z o.o.

02-103 Warszawa, ul. Hankiewicza 2

Księgarnia internetowa: Fabryka.pl

Łamanie

Joanna Duchnowska

Dystrybucja

Firma Księgarska Olesiejuk sp. z o.o., sp. k.a.

05-850 Ożarów Mazowiecki, ul. Poznańska 91

e-mail: hurt@olesiejuk.pl, tel. 22 721 30 00

www.olesiejuk.pl

ISBN 9788379438105

Skład wersji elektronicznej

pan@drewnianyrower.com

*Z serdecznymi uściskami
Aaronowi Priestowi,
nie tylko agentowi literackiemu,
ale też dobremu, zaufanemu przyjacielowi*

*Potną cię,
a ja krwawię.
To właśnie miłość.*
Tattooed Beach Sluts

*Gadający Świerszcz: Hej, gdzie idziesz?
Pinokio: Idę go poszukać!*

PROLOG
Jack i Krista

Jack Berman objął swoją dziewczynę, Kristę Morales, i patrzył, jak na zimnym powietrzu jego oddech zmienia się w parę. Dwadzieścia minut po północy, dwadzieścia dwa kilometry na południe od Rancho Mirage, w nieprzeniknionej ciemności pustyni Anza-Borrego tonęli oboje w ostrym, fioletowym świetle reflektorów ciężarówki Danny'ego Trehorna. Był tak bardzo zakochany, że jego serce biło rytmem serca Kristy.

Trehorn ostro przygazował.

– Jedziecie czy nie?

Krista wtuliła się mocniej w ramiona Jacka.

– Zostańmy jeszcze trochę. Tylko we dwoje. Chcę ci coś powiedzieć.

– *Mañana*, staruszkule! – zawołał Jack. – Jeszcze tu zostaniemy.

– Jutro wcześniej wyjeżdżamy. No to narka, do dziewiątej.

– Raczej do dwunastej.

– Mięczak. Obudzimy was!

Trehorn zniknął w szoferce, z głośników ryknął *Cwał Walkirii* i wóz zawrócił w kierunku miasta. Chuck Lautner i Deli Blake w stareńkim land cruiserze Chucka ruszyli tuż za nim i światło reflektorów musnęło mustanga Jacka, który stał nieco dalej, na starej drodze, gdzie teren był równiejszy. Przyjechali na pustynię, żeby pokazać Kriście samolot przemytników, który rozbił się tu w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym drugim roku, bo bardzo chciała go zobaczyć.

Kiedy tylne światła ich samochodów rozmyły się w oddali, zapadła głęboka ciemność i Jackowi zrobiło się jeszcze zimniej. Na niebie wisiał cienki półksiężyc, spod chmur wyglądały gwiazdy i widać było tyle co nic.

– Ciemno – powiedział Jack.

Krista milczała.

– Zimno – dodał Jack.

Przytulił się do niej na łyżeczkę i spojrzeli w niebo. Jack zastanawiał się, co Krista tam widzi.

Chociaż to właśnie ona ich tu zaciągnęła, przez cały wieczór była zamyślona i to,

że chciała mu teraz coś powiedzieć, źle wróżyło. Męczyło go przyprawiające o mdłości przecucie, że jest w ciąży albo chce go rzucić. Za dwa miesiące miała ukończyć z wyróżnieniem Uniwersytet Loyola Marymount w Los Angeles i dostała już pracę w Waszyngtonie. On wyleciał z Uniwersytetu Południowej Kalifornii.

Wtulił twarz w jej włosy.

– Między nami wszystko w porządku?

Odsunęła się, by na niego spojrzeć, i się uśmiechnęła.

– Między nikim nie było tak dobrze. Jestem w tobie bezgranicznie zakochana.

– Zaczynałem się już martwić.

– Dzięki, że namówiłeś Danny’ego, żeby nas tu przywiózł. Chyba nie miał ochoty.

– Jeśli widziało się to milion razy, to cholernie daleko. Przestał tu przyjeżdżać jeszcze w ogólniaku.

Trehorn mówił, że dwusilnikowa cessna 310 rozbiła się tu podczas lądowania w burzy piaskowej. Miejscowy handlarz narkotyków, niejaki Grek Cisneros, wyciął kaktusy i wyrównał teren na tyle, żeby pośrodku pustyni, trzydzieści dwa kilometry od Palm Springs, powstał pas startowy, a potem zaczął przerzucać kokainę i marihuanę z Meksyku, niemal zawsze nocą, oświetlając pas bańkami z płonącej benzyną. Pewnego razu czubek skrzydła zawadził o ziemię, podwozie puściło i lewe skrzydło oderwało się tuż za silnikiem. Zapaliło się paliwo z pękniętych zbiorników i maszyna stanęła w płomieniach. Silniki i instrumenty pokładowe już dawno wymontowano i sprzedano na części, ale kadłub samolotu został, zardzewiały, zniszczony i pokryty pokoleniami nakładających się na siebie graffiti i namalowanych sprejem napisów w rodzaju LJ+DF, „Wyliż mnie”, czy PSHS#1.

Krista wzięła go za rękę i pociągnęła w stronę samolotu.

– Chodź. Chcę ci coś pokazać.

– Nie możesz opowiedzieć mi o tym w samochodzie? Zimno mi.

– Nie. To ważne.

Szli w stronę ogona i zastanawiał się, co ją w tym głupim samolocie tak zainteresowało, ale nie, poprowadziła go dalej, na porośnięte zielskiem pozostałości pasa. Przystanąła i spojrzała w otulającą pustynię ciemność. Jej czarne, bystre oczy błyszczały jak klejnoty, w których skrzyło się światło gwiazd. Dotknął jej ramienia.

– Kris?

Znali się od roku, dwóch miesięcy i szesnastu dni. Od pięciu miesięcy, trzech tygodni i jedenastu dni byli w sobie zadurzeni i zakochani, ale tak na zabój, po uszy, na śmierć i życie. Prawdę o sobie powiedział jej dopiero wtedy, kiedy wyznała mu miłość. No i tak, on miał tajemnice wtedy, ona teraz.

Wzięła w dłonie jego rękę i spojrzała na niego poważnym wzrokiem.

– Dla mojej rodziny to szczególne miejsce.

Nie miał pojęcia, o co jej chodzi.

– Pas startowy przemytnika?

– Tym z południa łatwo to miejsce znaleźć, bo leży między górami, dlatego przemytnicy zbudowali tu pas. Kiedy moja mama miała siedem lat, kojoty przeprowadziły ją przez pustynię. Mamę, jej siostrę i dwóch kuzynów. Na pasie czekał człowiek z przyczepą kempingową, który zawiózł ich do miasta.

– Poważnie?

Krista roześmiała się, choć trochę niepewnie.

– Nic o tym nie wiedziałam. Powiedziała mi dopiero parę tygodni temu.

– Dla mnie nie ma to żadnego znaczenia.

– Hej. Zdradzam ci największe tajemnice rodzinne, a ty co? Nic?

– Nie obchodzi mnie to, że jest tu, no wiesz, nielegalnie, że nie ma papierów. Co to za różnica?

Krista odchyliła się do tyłu, żeby na niego spojrzeć, nagle chwyciła go za uszy i pocałowała.

– Nie musisz być taki poprawny politycznie.

Matka opowiedziała jej o dwunastodniowej podróży pieszo, samochodami i ciężarówkami dostawczymi, w których chwilami robiło się tak gorąco, że zmarł jadący z nimi staruszek. Ostatni etap podróży, dwadzieścia sześć kilometrów przez słone jezioro Salton Sea i pustynię, pokonali w nocy krytą półciężarówką. Dotarli tutaj, na ten pas, i ten z przyczepą zawiózł ich na parking przed supermarketem na wschodnich przedmieściach Coachelli, gdzie czekał wujek.

Krista patrzyła w ciemność, jakby widziała tam ślady stóp matki.

– Nie byłoby mnie, gdyby tu nie dotarła. Nie poznałaby taty. A ja ciebie. Po prostu bym nie istniała.

Podniosła wzrok. Miała skupioną twarz, jak przystało na najlepszą absolwentkę uniwersytetu.

– Wyobrażasz sobie, jak ta podróż musiała wyglądać? Jestem jej córką, ale nie potrafię.

Chciała coś dodać, gdy wtem Jack usłyszał odległy pisk. Wyprostował się i wytężył słuch, ale odezwał się dopiero wtedy, kiedy pisk się powtórzył.

– Słyszałaś?

Krista odwróciła się. Z oddali doszedł przytłumiony warkot silnika i w rozmytym świetle gwiazd zobaczyli dwa przemykające w ciemności kształty. Jack przyjrzał im się i zdał sobie sprawę, że są to dwie ciężarówki jadące bez świateł przez pustynię. Poczul ukłucie strachu i gorączkowo szepnął jej do ucha:

– Niedobrze. Spadajmy stąd.

– Nie, nie, nie. Chcę popatrzeć. Ciii...

– To mogą być przemytnicy. Lepiej znikajmy.

– Zaczekaj!

Zaciągnęła go na drugą stronę kadłuba i przycupnęli w płytkim zagłębieniu między kaktusami.

Jak okręt wynurzający się z mgły, z ciemności wychynęła duża ciężarówka. Głucho dudniąc, wjechała na zarośnięty pas i zatrzymała się niecałe trzydzieści metrów od nich. Nie miała nawet świateł hamowania. Jack skulił się jeszcze bardziej, żałując, że nie wybił tego Kriście z głowy.

Chwilę później otworzyły się drzwiczki i z ciężarówki wysiadło dwóch mężczyzn. Kierowca stanął kilka kroków przed maską, przyglądając się czemuś, co świeciło mławo w jego rękę. Byli daleko na pustyni i Jack pomyślał, że to pewnie GPS.

Podczas gdy kierowca sprawdzał GPS, ten drugi podszedł do tylnych drzwiczek i otworzył je z głośnym łoskotem. Rzucił coś po hiszpańsku, rozległy się przyciszone głosy i za ciężarówką pojawiły się sylwetki wysiadających ludzi.

– Co oni robią? – szepnął Jack.

– Ciii... Niesamowite.

– To pewnie nielegalni.

– Ciii...

Krista prawie wstała i znowu ogarnął go strach. Ta wariatka robiła zdjęcia komórką.

– Przestań. Zobaczą nas.

– Tu nic nie widać.

Ludzie trzymali się blisko ciężarówki, jakby trochę zdezorientowani. Było ich tyłu, że Jack nie wiedział, jakim cudem się tam zmieścili. Naliczył trzydziestu, trzydziestu ludzi rozmawiających cicho w języku, który próbował rozpoznać.

– To nie hiszpański. Po jakiemu oni gadają, po chińsku?

Krista opuściła komórkę i wyteżyła słuch.

– Kilku mówi po hiszpańsku, ale większość to chyba Azjaci. Ale nie tylko. Arabowie?

Mężczyzna, który otworzył drzwiczki, wrócił do kierowcy i zaczęli rozmawiać po hiszpańsku. Jack doszedł do wniosku, że to kojoty, najemni przewodnicy, którzy nielegalnie przeprowadzali ludzi przez granicę. Przysunął się bliżej Kristy, która знаła ten język jak rodowita Hiszpanka.

– Co mówią?

– Gdzie oni, do diabła, są? Te sukinsyny powinny już tu być.

Kierowca wymamrotał coś, czego nie zrozumieli, i drgnął, gdy sto metrów za ciężarówką zapłonęły trzy baterie reflektorów i lamp na stalowych pałkach, a w ich świetle pustynia zmieniła się w surowy relief. Podskakując wysoko na dużych oponach, w stronę ciężarówki pędziły z rykiem trzy terenówki. Kierowca i ten drugi zaczęli coś krzyczeć, kłębiący się tłum ogarnął nerwowy niepokój. Kierowca uciekł

na pustynię, jego kolega podbiegł do ciężarówki i wsiadł. Wsiadł, wyskoczył ze strzelbą w rękę i popędził za swoim kompanem, a chwilę później dwie terenówki zatoczyły wokół ciężarówki luźny krąg, hamując z poślizgiem w kłębach ciemnego pyłu. Trzecia ruszyła w pościg za uciekającymi mężczyznami i ciemność rozdarły rozbłyśki wystrzałów. Ludzie rozbiegli się na wszystkie strony, jedni płacząc, inni krzycząc, jeszcze inni wsiadali do ciężarówki, jakby szukali tam schronienia.

Jack pociągnął Kristę do tyłu, zerwał się z ziemi i pognął przed siebie.

– Uciekaj! Szybko!

Biegł w stronę mustanga, lecz po chwili zorientował się, że jest sam. Z terenówek wyskoczyli mężczyźni z pałkami i strzelbami i zaczęli ścigać pierzchających uciekinierów. Krista została między kaktusami i wciąż robiła zdjęcia.

Jack otworzył usta, by ją zawołać, ale powstrzymał się, nie chcąc zwracać na siebie uwagi. On i Krista byli poza zasięgiem światła i skrywała ich ciemność. Zaryzykował i głośno syknął:

– Kris...

Dziewczyna pokręciła głową, dając mu do zrozumienia, że nic jej nie grozi, i znowu zaczęła pstrykać zdjęcia. Jack wrócił i chwycił ją za rękę. Chwycił i mocno ścisnął.

– Chodź!

– Dobrze...

Już wstali, gdy niecałe dziesięć metrów dalej przebiegły cztery Azjatki, które wypadły nagle zza ogona samolotu.

Krzycząc coś po hiszpańsku, gonił je mężczyzna ze strzelbą i Jackowi przemknęło przez myśl, że te biedne kobiety pewnie go nawet nie rozumieją. Mężczyzna przystanął i zastygł bez ruchu jak sylwetka wycięta z papieru na tle nocnego nieba.

Jack wstrzymał oddech i odmówił krótką modlitwę. Zastanawiał się, dlaczego tamten stoi tak nieruchomo, i wtedy zobaczył, że mężczyzna ma na nosie gogle noktowizyjne.

I że patrzy prosto na nich.

Na tonącej w świetle gwiazd pustyni, gdzie nikt nie usłyszałby huku wystrzałów, mężczyzna podniósł strzelbę i wycelował.

CZĘŚĆ 1

ELVIS COLE:
sześć dni po uprowadzeniu Jacka
i Kristy

1

Kiedy ludzie dzwonią do prywatnego detektywa, bo zaginął ktoś im bliski i kochany, zwłaszcza dziecko, strach bulgocze w ich głosie jak wrzący smalec. Ale gdy tamtego ranka w sprawie córki zadzwoniła do mnie Nita Morales, nie robiła wrażenia zdenerwowanej. Była poirytowana. Zadzwoniła, ponieważ dwa miesiące przedtem niedzielny „Los Angeles Times Magazine” opublikował artykuł, w którym opisano, jak to oczyściłem z zarzutów niewinnego człowieka oskarżonego o kilka zabójstw. Reporterzy przyszedli do mojego biura, zrobili mi kilka dobrych zdjęć i tak stałem się kimś w rodzaju Philipa Marlowe’a skrzyżowanego z Batmanem. Na jej miejscu też bym do siebie zadzwonił.

Jej firma, Hector Sports & Promotions, mieściła się na wschodnim brzegu rzeki Los Angeles, niedaleko wiaduktu na Szóstej, kilka kroków od miejsca, gdzie w filmie *One!*, czarno-białym klasyku z tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego czwartego roku, z kanałów wyszły gigantyczne radioaktywne mrówki, które spalił miotaczem James Arness. Teraz stały tam równie niebezpieczne magazyny. Ściany wszystkich budynków były otagowane znakami ulicznych gangów i pokryte graffiti, a liczne tablice przypominały kierowcom o zamykaniu samochodów. W oknach widniały kraty, na dachach wił się drut kolczasty, bynajmniej nie po to, żeby odstraszać mrówki.

Za pięć dziesiątą tego wiosennego poranka niebo przesłaniała tak jaskrawa mgiełka, że mimo przeciwsłonecznych okularów, szukając drogi, musiałem mrużyć oczy. Hector Sports & Promotions mieściła się w jednym z nowszych budynków z bramą i trzymetrowej wysokości siatką wokół parkingu.

Kiedy się zatrzymałem, wyszedł do mnie młody Latynos o potężnych barach i przymulonych oczach. Jakby na mnie czekał.

– To pan jest tym facetem z gazety?

Facetem z gazety.

– Tak, Elvis Cole. O dziesiątej jestem umówiony z panią Morales.

– Muszę otworzyć bramę. Widzi pan to wolne miejsce z tabliczką „Dla samochodów dostawczych”? Niech pan tam stanie. I niech pan podniesie dach

i zamknie drzwiczki.

– Myśli pan, że tam będzie bezpiecznie?

Posłałem mu ironiczny uśmiezek, naśmiewając się w duchu z tych przesadnych środków ostrożności rodem ze statku kosmicznego – oto cały ja.

– Jasne. Oni kradną tylko czyste wozy.

Pokazał mi, gdzie jest moje miejsce, i to był pewnie cały on.

Kiedy go mijalem, ze smutkiem pokręcił głową.

– Gdybym miał taką corvetkę, okazywałbym jej trochę miłości. Na pewno kazałbym ją porządnie wyklepać.

Teraz z kolei mi dogryzł. Moja żółta corvetta stingray z tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego szóstego roku to klasyczny kabriolet. Klasyczny i brudny.

Zamknął bramę, powiedział, że jest asystentem Nity Morales, i wprowadził mnie do środka. Minęliśmy biuro dla klientów, gdzie przy osobnych biurkach siedzieli kobieta i mężczyzna. Oboje popatrzyli za nami, a mężczyzna podniósł do góry niedzielne wydanie „Los Angeles Times Magazine” z tym nieszczęsnym artykułem. Co za żenada.

Potem weszliśmy do warsztatu, gdzie piętnastu czy dwudziestu pracowników stało przy maszynach, przyszywając znaczki do czapek bejsbolowych i ozdabiając kubki zdjęciami. Nita Morales urzędowała w przeszklonym gabinecie na końcu sali, skąd widziała cały warsztat i wszystko, co się w nim działo. Zobaczyła nas i kiedy weszliśmy, wstała zza biurka, by powitać „faceta z gazety”. Chłodny uśmiech. Sucha dłoń. Pełny profesjonalizm.

– Witam. Jestem Nita. Jakbym oglądała zdjęcie.

– To, na którym wyglądam głupio, czy to, na którym jestem zmieszany?

– To, na którym wygląda pan na inteligentnego, zdeterminowanego prywatnego detektywa, który umie doprowadzić sprawę do końca.

Od razu ją polubiłem.

– Napije się pan czegoś? Kawy albo czegoś z bąbelkami?

– Nie, dziękuję. Już piłem.

– Jerry, gdzie jest ta torebka? Zostawiłeś ją tu, prawda?

Asystent Jerry podał mi białą plastikową reklamówkę, a ona mówiła dalej:

– Mamy dla pana mały upominek. Proszę, niech pan zajrzy.

W reklamówce był duży biały podkoszulek i czapeczka bejsbolowa. Uśmiechnąłem się do czapeczki i wyjąłem podkoszulek. Z przodu widniał czarnoczerwony napis: „Agencja Detektywistyczna Elvisa Cole’a”, a pod spodem, nieco mniejszymi literami, dodano: „mistrza świata detektywów”. Naszywka z tymi samymi napisami zdobiła przód czapki.

– Podobają się panu?

– Bardzo. – Schowałem upominki do torebki. – Wszystko to bardzo ładnie, ale nie

zgodziłem się jeszcze pomóc. Rozumie to pani, prawda?

– Tak, ale się pan zgodzi. Znajdzie ją pan. Dla mistrza świata detektywów to żaden problem.

Wzięła to z tego cholernego czasopisma.

– Ten „mistrz świata detektywów” to tylko taki żart. Autor artykułu włożył te słowa w moje usta. Ja ich nie wypowiedziałem. To tylko żart.

– Chcę pokazać panu kilka rzeczy. Proszę dać mi minutkę. Muszę je wyjąć.

Odprawiła asystenta, wróciła do biurka, a ja rozejrzałem się po gabinecie. Półki pod ścianą naprzeciwko biurka były zastawione kubkami, filiżankami i pieškami kiwającymi głowami, zawałone stertami podkoszulków, czapeczek, upominków dla dzieci i dziesiątkami innych artykułów reklamowych. Potrzebujesz koszulek dla szkolnej drużyny piłkarskiej syna? Proszę bardzo, mówisz i masz. Chcesz, żeby nazwa twojej agencji ubezpieczeniowej pojawiła się na tanich plastikowych kubkach na pikniku Rycerzy Kolumba? Nie ma sprawy. Na ścianach roiło się od zdjęć drużyn sportowych, a wszystkie dzieciaki miały na sobie koszulki z Hector Sports.

– Kto to jest Hector? – spytałem.

– Mój mąż. Założył tę firmę dwadzieścia dwa lata temu, druk sitowy na podkoszulkach. Teraz prowadzę ją ja. Rak.

– Bardzo mi przykro.

– Mnie też. W czerwcu będzie już siedem lat.

– Ale widać, że dobrze pani sobie radzi. Interes kwitnie.

– Bogacić się nie bogacimy, ale nie narzekamy. Już mam, usiądźmy.

Wyszła zza biurka i usiedliśmy obok siebie na metalowych krzesłach. Nita Morales miała czterdzieści kilka lat, była krzepkiej budowy ciała i przyjęła mnie w konserwatywnej granatowej spódnicy i marszczonej białej bluzce. Lśniące czarne włosy ładnie okalały jej szeroką twarz i nie było w nich ani śladu siwizny. Paznokcie miała starannie wypielęgnowane i chociaż od śmierci męża miało niebawem upłynąć siedem lat – w czerwcu – wciąż nosiła obrączkę.

Podąa mi zdjęcie.

– Oto kogo będzie pan szukał. To jest Krista.

– Jeszcze się nie zgodziłem.

– Ale się pan zgodzi. Niech pan spojrzy.

– Nie omówiliśmy wysokości mojego honorarium.

– Niech pan na nią spojrzy.

Krista Morales miała twarz w kształcie serca, złocistą cerę i uśmiech z dołeczkiem na prawym policzku. Jej oczy były ciemnoczekoladowe, a czarne włosy błyszczwały jak skrzydła czarnowrona w słońcu. Uśmiechnąłem się i zwróciłem zdjęcie.

– Śliczna.

– Inteligentna. Za dwa miesiące kończy z wyróżnieniem uniwersytet. Będzie

pracowała w Waszyngtonie jako asystentka kongresmena. Kto wie, może zostanie pierwszym latynoskim prezydentem Ameryki.

– Jeju. Musi pani być z niej dumna.

– Więcej niż dumna. Jej ojciec i ja, my nie mamy nawet matury. Angielskiego zaczęłam uczyć się dopiero w wieku dziewięciu lat. Tę firmę zbudowaliśmy tylko dzięki naszej pracy i łasce bożej. A Krista... – Pani Morales podniosła rękę i zaczęła wyliczać na palcach. – Najwyższa średnia ocen na roku. Wydawca gazetki studenckiej. Członkini National Honor Society dla najwybitniejszych obywateli. Członkini Phi Beta Kappa. Ta dziewczyna to spełnienie naszych marzeń.

Nagle zamilkła i przez szklaną ścianę spojrziała na warsztat. Nawet patrząc pod tym kątem, widziałem, że ma szkliste, błyszczące oczy.

– To dobrzy ludzie, ale trzeba ich pilnować.

– Rozumiem. Proszę się nie spieszyć.

Nita Morales odchrząknęła, wzięła się w garść i jej rozpromieniona z dumy twarz pociemniała jak stalowe niebo przed burzą. Odłożyła zdjęcie córki i podała mi kartkę z nazwiskiem i adresem w Palm Springs.

– Pojechała tam tydzień temu. Z chłopcem. Swoim chłopakiem.

To ostatnie słowo wypowiedziała tak, jakby było synonimem słowa „pomyłka”.

Opisała go i nie miała nic dobrego do powiedzenia. Wyleciał z Uniwersytetu Południowej Kalifornii, nie miał pracy ani przyszłości. Typek, który mógł przekreślić ambicje jej córki.

Zerknąłem na adres.

– Mieszka w Palm Springs?

– Chyba gdzieś tutaj. Jego rodzina ma tam dom. Rodzina albo jakiś kolega, nie wiem. Krista mało o nim mówi.

Historia stara jak świat. Im matka mniej wie, tym mniej może krytykować. Odłożyłem kartkę.

– Dobrze. Więc jak zaginęła?

– Pojechała tam na weekend. Tak mi powiedziała, a ona zawsze mówi mi, gdzie jedzie i na jak długo. Ale nie ma jej już od tygodnia, nie odbiera telefonów i nie odpisuje na SMS-y, a ja wiem, że to przez tego chłopaka.

Przez tego chłopaka.

– Od dawna są razem?

Na samą myśl o tym zrobiło się jej niedobrze.

– Od szczęściu, siedmiu miesięcy. Widziałam go tylko dwa, trzy razy, ale mi się nie podoba. On i ta jego poza.

Poza – w jej ustach zabrzmiało to jak nazwa jakiejś choroby.

– Mieszkają razem?

Twarz pani Morales pociemniała jeszcze bardziej.

– Krista wynajmuje mieszkanie z koleżanką, niedaleko kampusu. Nie ma czasu dla tego chłopaka.

Ale miała czas, żeby pojechać do Palm Springs. Słyszałem tę historię pięćset razy i wiedziałem, o co w tym chodzi. Grzeczna córeczka buntowała się przeciwko dominującej matce.

– Dwudziestojednoletnie kobiety często wyjeżdżają ze swoimi chłopakami. Czasem bawią się tak dobrze, że wyłączają telefon i zostają kilka dni dłużej. To wszystko, chyba że czegoś nie wiem. Ona wróci.

Nita Morales przyglądała mi się przez chwilę, jakbym ją rozczarował, potem wyjęła smartfon i dotknęła palcem ekranu.

– Zna pan hiszpański?

– Nie bardzo, tylko kilka słów.

– Przetłumaczę. To druga rozmowa. Wszystko nagrałam.

Z maleńkiego głośnika popłynął jej głos.

– Krista, to ty? Co się z tobą dzieje?

I głos młodej dziewczyny trajkoczącej po hiszpańsku. Przerwał jej głos Nity.

– Po angielsku, Krista. Dlaczego mówisz po hiszpańsku?

Dziewczyna przeszła na angielski z silnym obcym akcentem.

– Mamo, wiem, że mam ćwiczyć angielski, ale nie mogę... – I znowu grad słów po hiszpańsku.

Pani Morales zatrzymała nagranie.

– Ona udaje. Ten przesadny akcent, ta fatalna angielszczyzna. Moja córka mówi bez cienia akcentu. Zupełnie inaczej.

– Co to znaczy, to po hiszpańsku?

– Zaczęła od tego, że martwi się, bo nie dostali pieniędzy.

– Ale kto?

Nita Morales podniosła palec.

– Niech pan posłucha. – Puściła nagranie.

Zamiast Kristy odezwał się teraz młody mężczyzna, też po hiszpańsku. Mówił głosem spokojnym i rozsądnym, przez kilka sekund, dopóki Nita znowu nie zatrzymała nagrania.

– Zrozumiał pan coś?

Lekko zawstydzony pokręciłem głową.

– Mówi, że poniósł koszty. Chce, żebym przysłała mu pięćset dolarów, i jak tylko je dostanie, Krista wróci do domu.

Pochyliłem się do przodu.

– Co to znaczy? Uprowadzono ją?

Pani Morales przewróciła oczami i zbyła mnie machnięciem ręki.

– Ależ skąd. Reszta jest po hiszpańsku. Streszczę panu.

– Nie. Niech pani puści. Chcę usłyszeć, jak to mówi.

Puściła ciąg dalszy. On mówił, a ona ciągle mu przerywała. Mężczyzna zachowywał spokój. Za każdym razem czekał, aż Nita skończy, a potem mówił dalej, jakby czytał z kartki.

Kiedy nagranie dobiegło końca, pani Morales uniosła brwi.

– Przykro mi, że musi prosić mnie o pieniądze. Powiedział, gdzie je wysłać, i obiecał, że czekając, dobrze zaopiekuje się Kristą. I podziękował mi, że jestem taka pomocna.

Rzuciła telefon na biurko. Z głośnym trzaskiem.

– To jest żądanie okupu – powiedziałem. – Wygląda na to, że ją uprowadzono.

Pani Morales znowu machnęła ręką.

– Kazał jej to zrobić, żeby mogli się pobrać.

– Jest pani pewna?

– Nie porywa się nikogo dla pięciuset dolarów. Pięciuset dolarów każe zażądać dziewczynie głupi chłopak, kiedy chce pieniędzy. I jeszcze ta hiszpańszczyzna i kiepska angielszczyzna. To absurd.

– Zapłaciła pani?

– Nie za pierwszym razem. Myślałam, że to taki żart. Że Krista zadzwoni do mnie ze śmiechem i...

– Ale nie zadzwoniła.

– Sam pan słyszał. Chciałam zobaczyć, czy wróci do domu, więc zapłaciłam. Ale nie zadzwoniła, a to było cztery dni temu. Pewnie wydali te pieniądze na ślub.

Krista Morales nie wyglądała na dziewczynę, która chciałaby naciągnąć matkę na kilkaset dolarów, ale cóż, nigdy nie wiadomo.

– Po co miałyby udawać, że tak słabo mówi po angielsku?

– Nie mam pojęcia.

– Ale uważa pani, że udaje uprowadzoną, żeby wyciągnąć od pani pięćset dolarów?

Kiedy Nita zmarszczyła czoło, zmarszczyły się i usta, a zmarszczki były twarde jak powrozy. Ale po chwili zniknęły.

– Nawet mądra dziewczyna robi głupie rzeczy, kiedy myśli, że chłopak ją kocha. Tak się zdenerwowałam, że tam pojechałam, ale nie było ich w domu. Czekałam prawie cztery godziny, lecz nikt nie przyszedł, więc zostawiłam list. Pewnie są już w Las Vegas.

– Zawiadomiła pani policję?

Pani Morales zeszywniała, pociemniała jej twarz.

– Nie, absolutnie, to wykluczone. Krista ma przed sobą całe życie, ma możliwości, o jakich nikomu z naszej rodziny nawet się nie śniło. Nie zamierzam niszczyć jej przyszłości taką bzdurą. Nie pozwolę, żeby zmarnowała sobie życie,

robiąc coś głupiego.

– Jeśli to prawda, Berman mógł uwikłać ją w coś poważniejszego.

– Właśnie dlatego musi pan ją znaleźć. Człowiek, o którym napisano ten artykuł, uratuje jej przyszłość.

– Jeśli się pobrali, nic nie będę mógł zrobić. Jeżeli nie zechce wrócić do domu, do niczego jej nie zmuszę.

– Nie musi pan jej tu sprowadzać. Niech pan ją tylko znajdzie i powie mi, co się dzieje. Pomoże mi pan?

– Na tym polega moja praca.

– Tak myślałam. Nie na darmo jest pan mistrzem świata detektywów.

Nita Morales uśmiechnęła się szeroko, podeszła do biurka i wyjęła zieloną książeczkę czekową.

– Jeśli ją pan znajdzie, zapłacę panu pięć tysięcy dolarów. To uczciwa propozycja?

– Policzę pani tysiąc dolarów dziennie i zaczniemy od dwóch tysięcy zaliczki. Koszta własne pokryję sam. Trochę pani zaoszczędzi.

Nita uśmiechnęła się jeszcze szerzej i odkręciła wieczne pióro.

– A jeśli go pan zabije, zapłacę dziesięć tysięcy.

Uśmiechnąłem się do niej, ona do mnie. Znieruchomieliśmy i zamilkliśmy. Przyszywające naszywki do czapek bejsbolowych wielkie maszyny zawodziły w warsztacie jak wyjące kojoty.

Nita pochyliła się, by wypisać czek.

– Żartowałam. To był żart.

– Tak jak mistrz świata detektywów.

– Właśnie. Kiedy będzie pan mógł pojechać do Palm Springs?

– Zacznę od jej mieszkania. Tam jest bliżej.

– To pan jest detektywem. Pan wie najlepiej.

Wypisała czek, wyrwała go z książeczki i podała mi go wraz z dużą żółtą kopertą.

– Jest tu kilka rzeczy, które mogą się panu przydać. Adres Kristy, jej numer telefonu, zdjęcie, dowód nadania pieniędzy. Takie tam drobiazgi.

– Dobrze, dziękuję.

– Coś jeszcze?

– To wystarczy. Zacznę od jej współlokatorki. Mogłaby pani do niej zadzwonić i uprzedzić ją, że przyjadę?

– Och, zrobię coś lepszego.

Wzięła czerwoną skórzaną torebkę i ruszyła do drzwi.

– Mam klucz. Pójdziemy tam i przedstawię pana.

– Bardzo panią przepraszam, ale wolałbym pójść sam.

Jej oczy pociemniały i zhardziały.

– Może i jest pan mistrzem świata detektywów, ale ja jestem mistrzynią świata matek. Niech pan nie zapomni torebki.
I nie czekając, wyszła.

2

Loyola Marymount to jezuicki uniwersytet cieszący się reputacją uczelni o bardzo wysokich wymaganiach. Przez cztery lata nauki Krista Morales miała pełne stypendium, które wystarczało jej między innymi na połowę czynszu za dwupokojowe mieszkanie. Mieściło się ono ledwie siedem ulic od kampusu usytuowanego najdalej od centrum Los Angeles, jak to tylko możliwe bez wchodzenia do morza: zbudowano je dwa i pół kilometra od plaży, na skraju Marina del Rey.

Mistrzynie świata matek i ja wsiedliśmy do samochodu – każde do swojego – wskoczyliśmy na I-10 i małą kawalkadą pojechaliśmy przez miasto na zachód. Nita zadzwoniła z trasy do dziewczyny, z którą mieszkała Krista, więc Mary Sue Osborne urwała się z zajęć i gdy dotarliśmy na miejsce, już na nas czekała.

Błada, okrągła i piegowata, miała niebieskie oczy i nosiła małe okulary w drucianej oprawce. Była w niebieskim topie, krótkich brązowych bojówkach i w japonkach, a jasnobrązowe włosy zaplotła w warkoczyki.

Kiedy wchodziliśmy do mieszkania, przyjrzała mi się znad okularów.

– Hej.

– Hej, hej.

– Naprawdę jest pan mistrzem świata detektywów?

– To tylko żart.

Nita po drodze z samochodu wprowadziła ją w sytuację. Krista i Mary Sue mieszkały razem od dwóch lat i od czterech wydawały studencką gazetkę – czego dowody rzuciły mi się w oczy, kiedy tylko weszliśmy. Do ścian były przypięte długie rzędy kartek wraz z plakatem z *Wszystkich ludzi prezydenta*.

Wpadłem w teatralny zachwyty.

– Rany, niesamowite. To wasza gazetka?

– Jestem redaktorem naczelnym, a Krista wydawcą. Capo di tutti capi.

Nazywało się to budowaniem wzajemnego zrozumienia, ale Nita przetoczyła się po nas jak walec.

– Pan Cole nie ma na to czasu. Odezwała się?

– Nie, proszę pani. Jak dotąd nie.

– Opowiedz panu o tym chłopaku.

Mary Sue zerknęła na mnie rybim okiem i wzruszyła ramionami.

– Co chce pan wiedzieć?

– Czy on namówił ją na ślub? – nie dała mi dojść do słowa Nita. – Jest zamieszany w coś niezgodnego z prawem?

Odchrząknąłem.

– Pamięta pani, jak powiedziałem, że wolałbym przyjechać tu sam?

– Tak.

– Oto powód. Może porozmawiamy w pokoju Kristy. W cztery oczy.

Nita przeszła mnie wzrokiem, jakby naszły ją wątpliwości, czy aby na pewno jestem mistrzem świata detektywów, ale odwróciła się i szybkim krokiem ruszyła do drzwi.

– Gdyby mnie pan potrzebował, będę w kuchni. Napiszę do niej SMS-a i pomodłę się, żeby odpisała.

Mary Sue zaprowadziła mnie krótkim korytarzem do drugiego pokoju. Zniżyłem głos.

– Ona go nie lubi.

– Coś ty? Naprawdę, Sherlocku?

Sypialnia Kristy była mała, ale ładnie umeblowana, z pojedynczym łóżkiem, komódką i zaczytanym George’em R.R. Martinem okładką do góry na poduszce. W kącie naprzeciwko stało biurko w kształcie litery L z komputerem, drukarką, słóiczkami pełnymi ołówków i długopisów i starannie poukładanymi stertami wydruków. Na kilku dużych tablicach nad biurkiem roilo się od zdjęć jej znajomych i przyjaciół.

Mary Sue zauważyła, że się im przyglądam.

– Ściana hańby. Tak ją nazywamy. To ja.

Wskazała zdjęcie, na którym była w wielkim, opadającym na oczy kapeluszu.

– Jest tu Berman?

– Pewnie. Tutaj.

Wskazała duże zdjęcie młodego chłopaka o ciemnych włosach i pociągłej twarzy. Był w szarym podkoszulku i stał z rękami w kieszeniach, patrząc w obiektyw, jakby nie chciał, żeby go fotografowano. W sumie był na sześciu zdjęciach. Na jednym opierał się o tył nowego, srebrzystego mustanga. Tablica rejestracyjna była trochę rozmyta, ale czytelna: 6KNX421. Kiedy Mary Sue potwierdziła, że to jego wóz, zapisałem numer, a potem zdjąłem z tablicy jego zdjęcie, to najwyraźniejsze.

– Pożyczam.

– Zwałę to na Nitę. Niech pan bierze, co chce.

– Myślisz, że Nita dobrze się domyśla?

– Że?

– Że się pobrali.

– Niemożliwe. Na pewno się kochają, ale ona bardzo chce wyjechać do Waszyngtonu. Słyszałam, jak o tym rozmawiali. To taki związek przez telefon. Mnóstwo ludzi tak teraz robi.

– Więc dlaczego nie wraca?

Mary Sue usiadła na łóżku i skrzyżowała nogi.

– Staruszkule. Zaraz jest koniec roku. Tak, miała wrócić w niedzielę, ale pozaliczyła wszystko już dawno temu. Chciała napisać coś do gazety, ale jeśli dobrze się bawi, dlaczego miałaby nie skorzystać? Gdybym miała fajnego chłopaka, też bym wyjechała.

– Więc zupełnie się tym nie przejmujesz?

Zamyślona Mary Sue zmarszczyła czoło.

– Nie tak jak jej matka. Ale trochę tak. To dziwne, że nie odpisuje na moje SMS-y, ale są w Palm Springs. Może nie mają zasięgu.

Po zastanowieniu doszedłem do wniosku, że to mało prawdopodobne. Nie przedłuża się pobytu i nie siedzi się gdzieś przez tydzień tylko dlatego, że nie ma tam zasięgu. Zastanawiałem się, czy nie powiedzieć jej o tych pięciuset dolarach, ale Nita prosiła mnie, żebym zaoszczędził córce wstydu.

– Czy Berman mógłby wplątać się w coś podejrzanego?

– Nigdy go nie widziałam. Nie wiem, ale wątpię.

Spojrzałem na nią zdziwiony.

– Poważnie?

– Gdyby pan znał Kristę, też by pan wątpił. To najprzyzwoitsza dziewczyna pod słońcem.

– Nie o to mi chodzi. Jak to nigdy go nie widziałaś? Są ze sobą od ponad roku.

Mary Sue wzruszyła ramionami.

– Nigdy tu nie przychodzi, przynajmniej przy mnie.

– Nawet wtedy, kiedy po nią przyjeżdża?

– Kiepsko tu z miejscem do parkowania. Krista do niego schodzi.

– I nigdy go tu nie zaprasza?

– Jeździ do niego. On mieszka sam.

W drzwiach stanęła Nita spięta i poirytowana.

– Nie mogę tak beczynnie siedzieć. Zajrzę do łazienki i szafy. Jeśli zamierzała zostać dłużej, musiała zabrać więcej rzeczy. Zobaczę, co wzięła.

– Dobry pomysł.

Pomysł był zły, ale przynajmniej będzie miała jakieś zajęcie. Zniknęła w łazience, a ja popatrzyłem na ścianę hańby, na zdjęcie Bermana przy mustangu. Może wrócili w niedzielę, tak jak mieli, ale Kris została z nim, żeby przedłużyć imprezę.

– Wiesz, gdzie on mieszka?

– Nie. Chyba w Brentwood albo w jednym z tych kanionów, ale nie jestem pewna.

– Krista ma notes z adresami?

– Na pewno ma telefon. Papier to już przeżytek. Może ma jakąś listę w kompie, ale jest zablokowany. Trzeba znać hasło.

– Dobrze. Pomożesz mi poszperać w jej rzeczach? Znajdziesz kopertę z kartką urodzinową i będziemy mieli jego adres. Albo jakiś odręczny list czy notatkę na papierze firmowym. Coś takiego.

– Dobra. Jasne.

Zaczęliśmy od biurka, ona od strony komputera, ja od tej zawałonej papierami. Przejrzałem wydruki i wycinki, szukając czegoś użytecznego na temat Bermiana albo ich wypadu do Palm Springs. Okazało się, że większość wydruków to artykuły o nielegalnej imigracji, o masowych grobach w Meksyku i rosnących wpływach meksykańskich karteli. Było tam również kilka wywiadów z aktywistami imigracyjnymi i politykami. Niemal w każdym duże fragmenty tekstu były zaznaczone na żółto, ale nie znalazłem w nich nic na temat Jacka Bermiana, kaplic ślubnych w Las Vegas czy tamtejszych imprez. Wyglądało na to, że są to materiały do jakiegoś artykułu: kto robi na tym pieniądze? Skąd ci ludzie pochodzą? Kto w tym siedzi?

Mary Sue przysunęła się bliżej, żeby sprawdzić, co robię.

– To materiały do wstępniaka. Nic pan tu nie znajdzie.

– Nigdy nie wiadomo. Ludzie robią notatki na czym popadnie.

– Fakt.

– To miała skończyć w niedzielę wieczorem?

– Tak. Wstępniak o nielegalnej imigracji i polityce imigracyjnej. Ślęczała nad tym przez dwa tygodnie.

W drzwiach stanęła Nita.

– Co robiła?

Mary Sue musiała powtórzyć.

– Pisała wstępniak. Swój ostatni. Od paru tygodni.

Nita podeszła do biurka i wzięła kilka wydruków. Zaczęła czytać i jej twarz pokryła się tak głębokimi zmarszczkami, że wyglądała jak sterta złożonych ręczników.

– Spakowała się na weekend czy na dłuższy wyjazd?

Spytałem, ale nie odpowiedziała.

– Pani Morales?

Spojrzała na mnie, ale oczy miała puste, jakby mnie nie widziała. Odpowiedziała po dobrej sekundzie:

– Wszystko w porządku.

Odsunęła się, trzy razy mrugnęła i ruszyła do drzwi. Po chwili trzasnęły te frontowe i dopiero wtedy zrozumieliśmy, że wyszła.

– Co się stało? – spytała Mary Sue.

Spojrzałem na artykuły z zaznaczonymi na żółto fragmentami, potem na nią.

– Zrobisz coś dla mnie?

– Jasne. Moje życie to służba.

– Szukaj dalej. Czegóż, co powiedziałyby nam, gdzie Krista wyjechała albo dlaczego i gdzie i jak można znaleźć jej chłopaka. Dobra?

– Dobra. Jasne.

Dałem jej wizytówkę, też wyszedłem i zobaczyłem, że Nita Morales siedzi w samochodzie. Założyła okulary przeciwsłoneczne, ale nie odpaliła silnika. Ręce trzymała na kierownicy w pozycji za dziesięć druga i patrzyła prosto przed siebie.

Usiadłem obok niej i łagodnym głosem spytałem:

– Wszystko w porządku?

Pokręciła głową.

– Niech pani coś powie.

Przyjrzała mi się tego wiosennego poranka z odległości dla jednych zbyt małej, dla innych kilometry za dużej. Wyglądała tak, jakbyśmy pędzili sto sześćdziesiąt na godzinę, chociaż samochód stał w miejscu.

– Przebywam w Stanach nielegalnie. Moją siostrę i mnie przysłano tu, kiedy miałam siedem lat, a ona dziewięć. Zamieszkałyśmy z wujkiem, który miał amerykańską wizę pracowniczą. Od tamtej pory jestem tu nielegalnie.

– Mogę spytać, dlaczego mi to pani mówi?

– Słyszał pan Mary Sue. Krista zaczęła to wszystko dwa tygodnie temu.

– Wtedy jej pani powiedziała.

– Dziecku czegóż takiego się nie mówi, ale ona ma prawie dwadzieścia jeden lat, a teraz dostała tę pracę w Waszyngtonie. Uznałam, że powinna wiedzieć. Żeby mogła się zabezpieczyć.

– Źle zareagowała?

– Początkowo chyba nie, ale kiedy zaczęłyśmy rozmawiać, co będzie, jeśli to się wyda, widziałam, że się niepokoi.

Nie studiowałem amerykańskiego prawa imigracyjnego, ale każdy mieszkaniec Kalifornii jest w tej kwestii ekspertem.

– Czy jest pani notowana?

– Ależ skąd.

– Czy była pani zamieszana w działalność przestępczą?

– Proszę się ze mnie nie naśmiewać.

– Nito, wcale się z pani nie naśmiewam. Próbuję tylko powiedzieć, że ci z Agencji

do spraw Imigracji i Ceł na pewno nie zapukają do pani drzwi. Boi się pani, że Krista robi to, bo jej pani powiedziała?

– Okłamywałam ją.

– Takich rzeczy nie mówi się dziecku. To pani słowa.

Nita zamknęła oczy i kurczowo zacisnęła ręce na kierownicy.

– Musi się bardzo wstydzić. Dostała pracę w Kongresie i nagle się okazuje, że jej matka jest nielegalną imigrantką.

Próbowała wziąć się w garść, ale nie wytrzymała i wstrząsnął nią szloch. Ukryła twarz w dłoniach. Nachyliłem się, objąłem ją i przytuliłem. Było mi niewygodnie, ale trzymałem ją tak, dopóki się nie wyprostowała.

– Przepraszam. Nie tak to sobie wyobrażałam. Nie wiem, co robić.

– Nie musi pani nic robić. Teraz zajmie się tym mistrz świata detektywów.

Przez jej usta przemknął cień uśmiechu.

– Myślałam, że nie lubi pan tego tytułu.

– Jeśli tylko poprawi to pani humor, zrobię dla pani wyjątek.

Przyglądała mi się przez chwilę, sięgnęła po torebkę i położyła ją na kolanach.

– Nie zadzwoniłam do pana tylko dlatego, że wpadło mi w ręce to czasopismo. Odrobiłam lekcje, tak, ale moją uwagę przykuło to zdjęcie. Dopiero potem przeczytałam artykuł. Zdjęcie z zegarem.

– Pinokio.

– Kukielka, która chciała być chłopcem.

Artykuł zilustrowano dwoma zdjęciami. Na jednym rozmawiałem przez telefon przy biurku. Drugie było duże, na całą stronę, i opierałem się na nim o ścianę. Byłem w ciemnych okularach, ślicznej hawajskiej koszuli w drukowane wzorki i miałem kaburę na szelkach. Kabura i okulary były pomysłem fotografa. Wyglądałem w nich jak dupek. Ale na ścianie za mną wisiał mój zegar z Pinokiem uśmiechającym się do każdego, kto wchodził do biura. Zegar tyka, a on patrzy to w lewo, to w prawo. Fotograf uznał, że Pinokio mnie ubarwi.

Nita wyjęła coś z torebki, ale nie widziałem, co to jest.

– Mój wujek też miał taki zegar. Opowiadał nam o Pinokiu, o drewnianej kukielce, która miała niemożliwe do spełnienia marzenie.

– Chciała być chłopcem z krwi i kości.

– Marzyła o lepszym życiu. Dlatego tu przyjechałyśmy.

– Pani wujek musiał być dobrym człowiekiem.

– Do snu kołysało mnie tykanie zegara. Ludzie mówią, że nie ma to jak szum morskich fal. Kiedy miałam siedem lat i mieszkałam w Boyle Heights, moimi falami było tykanie. Uwielbiałam ten zegar. Każdego dnia i każdej nocy Pinokio przypominał nam, że musimy realizować nasze marzenia. Rozumie pan?

Otworzyła rękę.

– Dał mi to, kiedy miałam siedem lat.

Na jej dłoni leżała wyblakła plastikowa figurka Gadającego Świerszcza w niebieskim cylindrze, wytartym już i wyszczerbionym.

– Kiedy zobaczyłam na zdjęciu ten zegar, pomyślałam, że może jesteśmy do siebie podobni.

Włożyła mi figurkę do ręki.

– Nie mogę tego przyjąć.

– Zwróci mi go pan wraz z córką.

Schowałam Świerszcza do kieszeni i wysiadłem.

JOE PIKE:
jedenaście dni po uprowadzeniu

3

Dennis Orlato

Ich zadaniem było pozbywanie się ciał.

Trzydzieści pięć kilometrów na zachód od Salton Sea, dwieście pięćdziesiąt dziewięć kilometrów na wschód od Los Angeles, przez pustynny zmrok pędził cadillac escalade, ciągnąc za sobą żółty ogon pyłu. Jechali z prędkością stu trzydziestu kilometrów na godzinę, z otwartymi oknami, żeby tak nie śmierdziało, ale dudniąca z głośników muzyka skutecznie zagłuszała wyjący wiatr.

Siedzący za kierownicą Orlato wyłączył radio i sprawdził GPS.

Pedro Ruiz wziął strzelbę i zaczął macać lufę jak drugiego fiuta.

– Ty co? Oddaj.

Ruiz, Kolumbijczyk ze źle zoperowaną zajęczą wargą, lubił *narcocorridos*, romantyczne piosenki o życiu handlarzy narkotyków i latynoamerykańskich partyzantów. Orlato należał do szóstego pokolenia Amerykanów meksykańskiego pochodzenia z Bakersfield i uważał, że są głupie.

– Szukam skrętu – powiedział. – Przegapimy skręt i spędzimy tu całą noc.

Siedzący z tyłu Khalil Haddad pochylił się do przodu. Był szczupłym, ciemnoskórym Jemeńczykiem, przemytnikiem, który przerzucał do Meksyku khat, zanim kartele nie pozbawiły go pracy. Teraz pracował dla Syryjczyka, tak jak Orlato i Ruiz. Orlato był pewny, że Haddad donosi na niego szefowi, że dogaduje się z nim jak Arab z Arabem, i nienawidził tego kurdupłowatego sukinsyna.

– Jeszcze kilometr – powiedział Haddad – najwyżej dwa. Nie przegapisz.

Kiedy znaleźli skręt, Orlato wyzerował licznik, wąską, piaszczystą drogą przejechał jeszcze cztery kilometry i zatrzymał się, by sprawdzić teren. Niecałe dwa kilometry dalej z ziemi sterczały walące się ściany, ruiny porzuconego magazynu, który na przełomie wieków zbudowali tam górnicy boksytu. Orlato i Ruiz otworzyli drzwiczki, wysiedli i w miedzianym mroku przytknęli do oczu lornetki.

Otoczająca ich pustynia była płaska jak stół i ciągnęła się tak kilometrami, upstrzona jedynie skałami i krzewami zbyt niskimi, by ukryć w nich samochód. Na piaszczystej drodze przed nimi widniały tylko ślady ich kół sprzed trzech dni i nie było tam śladów stóp. Widząc to, Orlato ponownie usiadł za kierownicą. Oprócz nich

nie przejechał tędy żaden samochód, ciężarówka czy motocykl, nie przeszedł ani jeden człowiek.

– Czysto. Możemy jechać.

Dwie minuty później zatrzymali się przed kamiennymi ruinami i zabrali się do pracy. O tej wieczornej godzinie zadanie było paskudne i niebezpieczne i najlepiej było wykonać je szybko, zanim zapadnie ciemność. Zdjęli koszule, odłożyli broń, włożyli rękawice i Haddad otworzył tylne drzwiczki. Dwie kobiety i mężczyzna byli ostatnimi z grupy Hindusów i należeli do *pollos*, nielegalnych imigrantów z Brazylii, którzy przez Meksyk i Amerykę Środkową jechali na północny zachód Stanów i których po przekroczeniu amerykańskiej granicy porwano dla okupu. Kiedy ich rodziny przestały płacić, całą trójkę zabito strzałem w tył głowy. Ciała leżały teraz w plastikowych workach i cuchnęły zgniłymi jajami. Orlato wyciągnął je spod resztek wykładziny i zrzucił na ziemię. Ruiz i Haddad powlekli dwa do rozpadliny w wyżłobionym przez wodę kanale za ruinami, Orlato zajął się ostatnim. Razem z tymi trzema w ciągu ostatnich dziewięciu dni przywieźli tu jedenaście ciał. Ich praca w zachodniej części Salton Sea dobiegła końca.

Kiedy Orlato zataszczył trupa na miejsce, Ruiz wyciągnął rękę i spytał:

– Widzisz ten syf? I co teraz?

Do ciała dostało się jakieś zwierzę, które rozdarło plastikowy worek. Z rozdarcia sterczała ludzka ręka.

– Przynieś chlor.

– Kurwa, wsypaliśmy tu ze sto kilo i gówno pomogło. Zostawmy to i zjeżdżajmy.

Sproszkowany chlor, biały i miękki jak cukier puder, miał odstraszać kojoty. Wszyscy wiedzieli, że ciała zostaną znalezione, ale im później, tym lepiej. To przedsięwzięcie miało charakter krótkoterminowy. Zaczynali, zwijali się i jechali dalej, przenosząc się z miejsca na miejsce, aż wydoili i zabili ostatniego imigranta.

Ale kojoty rozwłóczyły kości, a jeśli pies przyniósł do domu ludzką kość, na pustynię zjeżdżały sfory policji i agentów FBI.

Orlato łypnął spode łba na Ruiza.

– Idź po chlor, leniwy kutasie. Może ostatnim razem za mało wsypaliście.

Kiedy Ruiz odszedł, Orlato powiódł wzrokiem po horyzoncie, wyglądając nadjeżdżających samochodów. Potem przesunął wzrokiem po niebie, wypatrując śmigłowców, i wtedy usłyszał, że Haddad rozpina rozporek.

– Co ty robisz?

– Szczę.

– Nie na trupy. Policja znajdzie twoje DNA.

– To co, wynaleźli już wykrywacz sików?

Haddad zaczął lać i plastik zatrzeszczał jak rozdierany materiał. Orlato miał ochotę zepchnąć sukinsyna do rozpadliny, zrzucić go na stertę zasikanych trupów, ale

usłyszał, że wraca Ruiz. Gdy się odwracał, coś grzmotnęło go między oczy raz, a zaraz potem jeszcze trzy razy tak szybko, że zanim zdążył podnieść ręce, by osłonić twarz, ktoś podciął mu nogi. Upadł na plecy, oberwał w splot słoneczny, potem w skroń i głowa odskoczyła mu w bok.

Silny wstrząs i lęk. Atak był tak nagły, szybki i gwałtowny, że nie widział nawet tego czy tych, którzy mu przyłożyli, nie zrozumiał, co się stało. W głowie brzęczał mu rój os, uszy rozdzierał przeraźliwy pisk. Dryfując przez senny świat, poczuł, że ktoś go dotyka. Że ktoś maca go po nogach, w pasie i kroczu, że przetacza go na brzuch. Trochę rozjaśniło mu się w głowie, ale nie stawiał oporu.

– Spójrz na mnie.

Niski głos. Mężczyzna.

Orlato otworzył oczy i zobaczył wysokiego, umięśnionego i ogorzałego Amerykanina w szarej bluzie bez rękawów i džinsach. Był w ciemnych okularach, miał krótkie włosy i zamazane tatuaże na ramionach. Orlato zmrużył oczy, żeby lepiej widzieć. Czerwone strzały. I czarny rewolwer w opuszczonej ręce.

Orlato pokazał mu otwarte dłonie.

– *Policia?*

Z tyłu dobiegł czyjś głos.

– Jeszcze pożałujesz, że nie.

Wtedy zobaczył, że Haddada przygniata do ziemi mężczyzna o jasnych, ostrzyżonych na jeża włosach. Ten był uzbrojony w karabin szturmowy M4. Wskazał lufą ciała.

– To wy ich zabiliście?

Orlato zabił osobiście czterech spośród jedenastu, Ruiz dwóch, a Haddad pozostałych, ale teraz pokręcił głową.

– My tylko ich tu przywozimy. Nikogo nie zabijamy.

Blondyn pokazał mu zęby, jak rekin, chwycił za włosy zakrwawioną głowę Haddada i powiedział coś po arabsku. To Orlata zaskoczyło, bo oprócz Arabów niewielu mówiło po arabsku. I wiedział już, że ci dwaj nie są z policji. Przypuszczał, że dopadli ich *bajadores*, drapieżniki żerujące na innych przestępcach.

– Chcecie samochód? Kluczyki mam w kieszeni. Chcecie pieniędzy? Mogę je zdobyć.

– Wstań – rzucił ten wysoki.

Orlato wstał, z trudem i ostrożnie. Pamiętał, że go obszukali, ale w samochodzie miał pistolet i nie mógł sobie przypomnieć, czy znaleźli dwunastocentymetrowej długości nóż, który ukrył za paskiem za plecami.

Kiedy wstał, ten wysoki dotknął środka swego czoła.

– Biały Amerykanin. Tego wzrostu. Porwano go.

Orlato poczuł ukłucie w brzuchu. Wiedział, kogo tamten opisuje, ale pokręcił

głową, kłamiąc, tak jak skłamał o zabijaniu *pollos*.

– Nie wiem, o kim mówisz.

Rewolwer podskoczył tak szybko, że nie zdążył zareagować. Głowa znowu poleciała na bok i zmiękły mu kolana, ale tamten go podtrzymał.

– Elvis Cole.

– Gdzie on jest?! – krzyknął zaczerwieniony z wściekłości blondyn, siedząc na Haddadzie jak kura na grzędzie. – Co z nim zrobiliście?

Orlato otrzeźwiał, lecz udał, że oberwał mocniej, niż oberwał, zatoczył się i szybko zamrugał oczami. Gdyby na niego upadł, może udałoby mu się wyjąć nóż albo wyrwać mu rewolwer.

– Ja nic nie zrobiłem. Nie wiem, o czym mówicie.

Rewolwer znowu podskoczył, a blondyn krzyknął jeszcze głośniej:

– Kłamiesz, kurwa! Ten wóz był w tym domu. Wiecie, gdzie on jest. Pracujecie dla Syryjczyka.

Mocno szarpnął, poderwał z piachu głowę Haddada i pokazał Orlatowi jego gębę. Haddad miał wybałuszone oczy, jak przejechany pies, i bełkotał coś po arabsku.

– On wie, dokąd go zabrali! – krzyknął blondyn do tego wysokiego. – Wie kto.

Rewolwer znalazł się nagle tuż przed twarzą Orlata, z lufą wycelowaną dokładnie między oczy. W cylindrycznych kryptach spały płaskie, miedziane pyski kul.

– Elvis Cole. Gdzie on jest?

Mężczyzna odwiódł kciukiem kurek.

– Masz dziesięć sekund. Gdzie on jest?

– Myślisz, że blefujemy?! – wrzasnęła z furią blondyn. – Chcecie tu zdechnąć? Co z nim zrobiliście?

Orlato zdał sobie sprawę, że ma tylko jedną szansę. Miał coś, czego tamci chcieli, i to dawało mu władzę. Władza to czas, a czas to życie. Zapomniał o nożu i pokazał im rękę.

– Tak! Tak, oni go porwali!

Haddad warknął coś po arabsku, ale on go nie zrozumiał, zresztą było mu wszystko jedno. Blondyn wepchnął twarz Haddada w piach i coś odwarknął. Ten wysoki ich zignorował.

– Osiem sekund.

– Wymieńmy się, ja za niego. Syryjczyk się wymieni.

– Ja nie negocjuję.

– Gadaj, a będziesz żył! – wrzasnęła blondyn.

– Zróbmy wymianę! Do rana go zabiją!

– Pięć sekund.

– Jeden telefon! – krzyknął przeraźliwie Orlato. – Porozmawiam z Syryjczykiem, dogadamy się i on wróci. Przysięgam. Przysięgam!

Ten wysoki zawahał się i Orlato usłyszał cichutki szept nadziei. Ten, którego szukali, pewnie już nie żył, ale gdyby pozwolili mu zadzwonić do Syryjczyka, oni też nie dożyliby rana. Orlato mówił szybko, targując się o życie:

– Syryjczyk go wymieni. Jestem mężem jego siostry. Wasz przyjaciel wróci. Obiecuję.

Ten wysoki zerknął na blondyna. Nie drgnęła żadna inna część jego ciała. Rewolwer też nie. Poruszyła się tylko głowa, odwracając się i nieruchomiejąc z precyzją maszyny.

Blondyn znowu szarpnął Haddada za włosy.

– Sranie w banię. Ten sukinsyn wie.

Wysoki przeniósł wzrok z powrotem na Orlata.

– Trzy sekundy. Gdzie on jest?

Orlata załapała nowa fala strachu, ale wciąż nie wierzył, że go zabiją. Nie, nie zaryzykują straty przyjaciela.

– On wam nie pomoże. Nikt z nich nie pomoże. Tylko ja mogę to załatwić.

– Jedna sekunda – powiedział ten wysoki.

Orlato sięgnął po nóż, ale było już za późno.

Zanim przesunął rękę w stronę pleców, ogarnął go podziw i lęk. Pomyślał: on naprawdę to zrobi.

Zobaczył jeszcze oślepiający błysk i umarł.

4

Joe Pike

Pike odwrócił się i w blednym miedzianym świetle pustyni podszedł do Jona Stone'a i jego więźnia. Stone założył mu już plastikowe kajdanki, skrępował nogi w kostkach i ręce za plecami. Teraz podniósł jego głowę i podwinął górną wargę.

– Przemyca khat. Spójrz na te zęby. Zielenieją od żucia. A może mu zgniły?

– Przestań, Jon.

Stone roześmiał się i puścił głowę.

Khat to liście krzewu rosnącego w Afryce Wschodniej i na Półwyspie Arabskim, gdzie ludzie żują je dla ich właściwości stymulujących. Amfa dla ubogich.

Haddad miał trzydzieści kilka lat, rozczochrane czarne włosy i duże oczy oszalałe ze strachu. Światło powoli gasło, tykał zegar. Każda mijająca minuta przybliżała Cole'a do śmierci lub od niej oddalała. Czas był wszystkim, a szybkość życiem. Pike chciał przystąpić do działania, ale najpierw musiał wyciągnąć z Haddada to, co ten mógł mu powiedzieć, a to wymagało czasu.

Wskazał rewolwerem ciało Orlata.

– Rozumiesz, co się stało?

Zniekształconym głosem Haddad wyrzucił z siebie grad słów po arabsku. Pike pracował jako wolny strzelec w Libanie, Arabii Saudyjskiej, Somalii, Sudanie i w Iraku. Umiał się porozumieć, ale nie mówił płynnie.

– *Qala Inklizi* – rzucił.

Mów po angielsku.

Stone przyłożył mu karabinem w ucho, krzyknął coś po arabsku i Haddad się uspokoił. Stone mówił płynnie.

Pike przykucnął i podniósł więźniowi głowę.

– Będziesz stawiał opór i cię zabiję. Skłamiesz i umrzesz. Rozumiesz?

Haddad wykrztusił ciche „tak”.

Pike podciągnął go i posadził.

– Nazwisko.

– Khalil Haddad z Jemenu. Proszę, nie zabijajcie mnie. Zrobię, co zechcecie.

Stone odszedł i szybko powiódł wzrokiem po horyzoncie.

– Musimy się zwijać, brachu. Nie chcę tu być, kiedy przylecą śmigłowce tych z UIC.

UIC. Amerykański Urząd do spraw Imigracji i Ceł. Granica amerykańsko-meksykańska od Tijuany aż po Brownsville była gorącą strefą działania agentów DEA, którzy uganiali się tam za napływającymi z Meksyku narkotykami, agentów ATF, którzy ścigali przemytników broni, i agentów UIC, którzy próbowali powstrzymać strumień nielegalnych imigrantów. Pike lubił gorące strefy.

– Sprawdź wóz.

Stone potruchtał do cadillaca, a Pike wskazał lufą ciała w rozpadlinie.

– Przyjechali tu z Indii?

– Tak.

– Kto ich zabił?

– My. Ja, Orlato i Ruiz. Robimy to, kiedy nie mogą już płacić.

To była szczerza odpowiedź. *Bajadores* porywali ludzi, którzy próbowali nielegalnie przekroczyć granicę. Potem żądali okupu od ich rodzin lub pracodawców. Przetrzytywali swoje ofiary, dopóki napływały pieniądze, a kiedy przestawały napływać, po prostu je zabijali. Martwy nikogo nie wyda.

– Elvis Cole. Wiesz, o kim mówię?

– O tym, który przyszedł po tego chłopaka i dziewczynę.

– Po młodą Latynoskę. Kristę Morales. I po Amerykanina nazwiskiem Berman.

– Tak, po chłopaka i dziewczynę.

– Oni żyją?

– Chyba tak, ale nie wiem. Byłem z Hindusami.

– Dlaczego ich uprowadziliście?

– Przybłąkali się do *pollos*, których ci z Tijuany wieźli na północ. Nikt nie wiedział, że to Amerykanie.

– Do *pollos* z Korei?

Haddad zrobił zaskoczoną minę.

– Skąd wiesz?

Zanim zdążył dokończyć, Pike uderzył go otwartą dłonią w czoło. To miała być rozmowa jednostronna.

– Tak, z Korei! Sinaloas ukradli ich tijuńczykom. Syryjczyk ukradł.

Pike wyczuł, że Haddad nie kłamie. Tijuana, Sinaloa, Zeta, La Familia i tak dalej, i tak dalej – o ile amerykańska strona granicy była gorącą strefą dla agencji rządowych, o tyle meksykańska była strefą wojny, gdzie przeróżne frakcje karteli walczyły ze sobą i kradły jak wściekłe psy. Pike lubił strefę wojny. Czuł się w niej jak w domu.

– Czy Cole żyje?

– Dziś rano żył. Syryjczyk miał z nim rozmawiać.

– U was?

– Tak, tam, gdzie trzymaliśmy Hindusów.

Pike odwiódł kurek rewolweru i wycelował mu między oczy, tak jak Orlatowi.

– Co się z nim stało?

Haddad skurczył się i cofnął, ale Pike chwycił go i przyciągnął do siebie. Jemeńczyk nie chciał widzieć tego, co zobaczył Orlato. Nie chciał widzieć nadchodzącej śmierci.

– Syryjczyk go zabił?

– Nie wiem! Orlato, Ruiz i ja, my pojechaliśmy z trupami! Tamci mieli pilnować go do przyjazdu Syryjczyka.

Pike przytknął mu lufę do czoła i mocno przycisnął.

– Pilnować jak więźnia?

– Tak!

– Syryjczyk chce go zabić?

– Nie wiem! Tamci mówili, że podejrzewa, iż wasz przyjaciel jest agentem federalnym.

– Kiedy to było?

– Trzy godziny temu! Może cztery!

– Kiedy Syryjczyk miał przyjechać?

– Nie wiem!

– Za pięć minut? Za pięć godzin?

– Nie wiem! Mogę zaprowadzić was do tego domu! Może jeszcze czekają!

Pike przyjrzał mu się i opuścił broń.

– Tak.

Wrócił Stone. Pokręcił głową.

– Sztynniaki są czyste, żadnych dokumentów ani kart kredytowych. Znalazłem trzy dwieście w gotówce. Zabrałem. Według rejestracji wóz należy do Joan Harrell z San Diego. Żaden z tych kutasów nie wygląda na kobietę.

– Wszystko jest kradzione – powiedział Haddad. – On ma złodziei, kradną dla niego samochody i ciężarówki.

– Kluczyki?

Stone podniósł je do góry.

– Mam. Możemy jechać.

– Ty prowadzisz.

– Zabieramy pana Zielone Zęby?

– Zna drogę.

Stone pobiegł do samochodu.

Pike przeciął plastikowe kajdanki na nogach Jemeńczyka, ale te na rękach zostawił. Pomógł mu wstać.

– Nie zabijecie mnie? – spytał Haddad.

– Jeszcze nie teraz.

Silnik wielkiego cadillaca odpalił w chmurze pyłu. Pike wepchnął Haddada na tylne siedzenie i usiadł obok niego.

Stone ruszył, zanim zamknęły się drzwiczki. Jechał szybko. Coraz szybciej. Wóz podskakiwał na kamieniach i krzewach, ale mieli to gdzieś, rozwali się czy nie.

– To nie w tę stronę – powiedział Haddad.

– Zamknij mordę – rzucił Stone.

– Szybciej – powiedział Pike.

Pędzili w kierunku gór, bez świateł. Musieli się spieszyć, bo mogli stracić przyjaciela.

5

Zanim dojechali do dżipa, zasłoniętego krzakami w płytkiej rozpadlinie trzy i pół kilometra dalej, zapadła już noc. Pike wyciągnął Jemeńczyka z samochodu i wytarł odciski palców w całym wnętrzu, Stone usunął krzaki. Ruszyli niecałe trzy minuty później, Pike za kierownicą, Stone z tyłu z Haddadem; cadillaca porzucili. Przemykali chyłkiem przez pustynię w świetle księżyca i gwiazd, w którym błyszcząły krzewy.

Trzydzieści osiem minut później dojechali do ranczerskiego domu przy ulicy pełnej podobnych domów na przedmieściach Coachelli, najdalej na wschód wysuniętego osiedla na pustyni. Wszędzie garaże na dwa samochody, wszędzie okolone kamieniami trawniki, czyste chodniki, latarnie.

– To ten – powiedział Haddad. – Ten po prawej.

– Cole jest w środku?

– Był, kiedy wyjeżdżałem.

– Obyś nie kłamał – warknął Stone.

Było pięć po dziewiątej. Wcześniej. We wszystkich domach widać było światło i oznaki życia, we wszystkich z wyjątkiem tego. Ten wyglądał jak krypta.

– Nikogo tam, kurwa, nie ma – powiedział Stone. – Ciemno.

– Okna są zabite i zasłonięte czarnym plastikiem.

– Żeby mogli zapalić światło i żeby z ulicy nikt nic nie widział?

– Tak. I nie słyszał, co się tam dzieje. Wszystkie są tak zabezpieczone. Sklejką, żeby *pollos* nie mogli ich otworzyć, a potem jeszcze zasłaniają je plastikiem.

Pike zerknął w lusterko.

– Cywile?

– Nie rozumiem.

Stone dźgnął go karabinem.

– Kobiety i dzieci, kutasie. Rodzina. Są tam niewinni ludzie czy tylko chodzące trupy, takie jak ty?

– Nie, nikt tam nie mieszka. Dom jest pusty.

– Kto opłaca rachunki? – spytał Stone. – Za wodę, za prąd. To kosztuje.

– Może Syryjczyk, nie wiem. Daje nam tylko adres. Wtedy przyjeżdżamy,

zabijamy okna i przywozimy *pollos*.

Pollos. Po hiszpańsku „kurczaki”. Jakby zamordowane ofiary nie były ludźmi.

Pike zrobił kółko i podjechali do domu z drugiej strony. Zwolnił, kiedy go mijali.

– Ilu pilnuje Cole’a?

– Dwóch. Washington i Pinetta. Jak przyjeżdża Syryjczyk, jest paru więcej.

Pięć luf, pomyślał Pike.

– Czy ty i twoi zasrani kumple mieliście tu wrócić po robocie na pustyni?

– Tak. Żeby posprzątać i zabrać rzeczy. Washington i Pinetta mieli pojechać z Syryjczykiem. Ruiz był zły, że musimy sprzątać.

Stone przesunął karabin.

– Zamknij pysk. Gównu mnie to obchodzi.

Pike dojechał do pierwszego skrzyżowania, zawrócił, zgasił światła i zaparkował przy chodniku przodem do domu. Spojrzał w lusterko i spotkał się wzrokiem ze Stone’em.

– Obrót.

Znaczyło to, że trzeba obejść dom.

Stone podał mu karabin i wyslizgnął się z samochodu. Pike obserwował go, zastanawiając się, czy Cole jest w zaciemnionym domu. Czy jeszcze żyje, czy już go zabili, czy może właśnie umiera, podczas gdy oni czekają na tej cichej ulicy. Zastanawiał się, czy Haddad mówił prawdę.

– Po powrocie jak tam wchodzicie?

– Parkujemy w garażu, nigdy na ulicy ani na podjeździe. Wjeżdżamy do garażu, zamykamy drzwi i dopiero potem wysiadamy. Żeby sąsiedzi nie widzieli. Syryjczyk tak każe. Zabrania parkować na ulicy i na podjeździe.

– W garażu są jakieś drzwi?

– Tak. Do kuchni.

– Zamykane na klucz?

– Tak, Orlato go miał.

Pike wyjął klucze i pilota do garażu, które Stone znalazł w cadillacu, i kazał Haddadowi opisać plan parteru. Dom miał kształt foremki do ciasteczek. Po jednej stronie była kuchnia, jadalnia i salon, po drugiej główna sypialnia i dwa mniejsze pokoje połączone wspólną łazienką. *Pollos* przetrzymywano w pokojach.

Kiedy Jemeńczyk skończył, do dżipa wślizgnął się bezszelestnie Stone.

– Owinęli go jak paczkę. W środku pali się światło, ale nic nie widać i nie słychać.

Pike powiedział mu, jak chce się tam dostać, i spojrział na Haddada.

– Zrobisz dokładnie to, co powiedziałem. Jasne?

– Tak.

Pike ruszył, podjechał bez świateł do domu i skręcił na podjazd. Wyjął rewolwer

i wysiadł. Wschodzący księżyc świecił trochę za jasno, ale na ulicy było pusto.

Pike chwycił Haddada za ręce i pchnął go w stronę garażu. Oni ustawili się po lewej, Stone po prawej i Pike bez chwili wahania pstryknął pilotem. Kiedy drzwi ruszyły z łoskotem do góry, Stone natychmiast się pod nie wślizgnął. Wtedy Pike pchnął Jemeńczyka w dół i wpełzli razem do środka. Gdy weszli, Stone stał już po prawej stronie drzwi do kuchni i Pike znowu pstryknął pilotem.

Haddad przystanął.

– Nie ma samochodów. Wyjechali.

Pike wbił mu lufę rewolweru między żebra i pchnął go w stronę drzwi.

– Nie odzywaj się niepytany. Otwieraj.

Odruchowo napiął mięśnie, kiedy szczęknął zamek. Drzwi otwierał Haddad, bo ci w środku tego właśnie się spodziewali. Gdyby zobaczyli go w progu, oni mieliby przewagę. A gdyby otworzyli ogień, Pike cofnąłby się, żeby nie zasłaniać pola ostrzału Stone'owi.

Za drzwiami była dobrze oświetlona kuchnia.

Pike szepnął:

– Mów.

– To ja, Haddad! – zawołał głośno Jemeńczyk. – Wróciliśmy.

Pike odliczył trzy sekundy i nie usłyszawszy odpowiedzi, wepchnął Haddada do środka i natychmiast pociągnął go za sobą w lewo. Stone przebiegł przez kuchnię z bojową prędkością, z gotowym do strzału karabinem przy ramieniu sprawdził wyjście i zniknął w głębi domu.

Pike wyteżał słuch przy każdym jego ruchu, przygniatając Jemeńczyka do podłogi, dopóki Stone nie krzyknął:

– Czysto! Nikogo.

– Czysto – potwierdził Pike.

Postawił Haddada na nogi i w tym samym momencie w progu stanął czerwony z wściekłości Stone.

– Ten kutas kłamał. Tu nikogo nie ma.

Podszedł bliżej i dźgnął Jemeńczyka karabinem.

– Cole'a tu nie było. Łgałeś, psie!

Haddad spojrzał błagalnie na Pike'a.

– Nie kłamałem! Zajrzyjcie do salonu! Pokażę wam!

Salon był pusty, nie licząc trzech tanich kanap pod ścianami i dwóch tanich lamp na podłodze. Na kanapach walały się worki marynarskie i koce. Jemeńczyk rzucił się w tamtą stronę, próbując im coś pokazać, mimo związanych z tyłu rąk.

– Widzicie? To nasze rzeczy. Po to mieliśmy wrócić, żeby je zabrać, nie kłamałem. To tu widziałem przed odjazdem waszego przyjaciela.

Kąt, który wskazał, oświetlała lampa. Ten naprzeciwko tonął w cienistym

półmroku. Pike zerknął na ten z lampą.

– Spokojnie, Jon.

Stone krążył jak zwierzę w klatce, miotając się między cieniem i światłem, spalając adrenalinę.

– Wal się, Cole’owi grozi niebezpieczeństwo. Kurwa mać! Mam ochotę kogoś zabić. Jak zobaczysz, co tam jest, też zechcesz zabić tego sukinsyna.

Haddad zaczął bełkotać, wyrzucając z siebie słowa jak ktoś, kto boi się o swoje życie.

– Był tam, w kącie pod lampą. Przysięgam, to prawda. Widziałem go, kiedy wynosiliśmy trupy z Ruizem. Miał związane ręce, z tyłu, tak jak ja. Orlato kazał Washingtonowi i Pinetcie pilnować go do przyjazdu Syryjczyka.

Pike schował rewolwer do kabury i podszedł do kąta. Chociaż stał tuż obok lampy, światło było bardzo słabe. Spojrzał na Jemeńczyka, potem na Stone’a. Stone wyglądał w cieniu jak dryfujący rekin.

– Tylko tracimy czas. Jego tu nie było. A nawet jeśli był, zabili go i wywieźli.

Pike milczał. Przyklęknął, by plecami do ściany popatrzeć na pokój pod tym samym kątem i z tej samej wysokości, z jakiej patrzył Cole. Spojrzał na lampę i znalazł tam Świerszcza.

– Elvis.

Rzucił go Stone’owi, który złapał figurkę i zmarszczył czoło.

– Gadający Świerszcz?

Odrzucił go Pike’owi.

– Dała mu go matka tej dziewczyny.

– Nie kłamałem – powiedział Haddad. – Widziałem go tam, gdzie teraz jesteś.

Czekali na Syryjczyka.

– Był ranny?

– Nie wiem.

– Syryjczyk chciał mu coś zrobić?

– Nie wiem.

– Zajrzyj do pokojów. Sam zobaczysz.

Pchnęli Haddada do drzwi, Stone poszedł przodem.

Jedenastu Hindusów przetrzymywano w dwóch małych pokojach, w jednym pięciu, w drugim sześciu. W obydwu cuchnęło moczem, fekaliami i potem. Na ścianach widniały ciemne plamy, jakby wsiąkł w nie pot z nagich ciał, a jedna była pomazana czymś brązowym. Na podłodze walały się resztki podartych ubrań i sandałów, ale nie było tam nic należącego do Cole’a.

Stone czekał w drzwiach, a Pike rozejrzał się i zrobił mu przejście.

– Miejsce kaźni.

Umierali w sąsiadującej z pokojem łazience. Na podłodze leżał zwinięty kabel

elektryczny ze sterczącymi nagimi drutami na końcu. Na półce nad sedesem leżały szczypce, zapalniczki gazowe, zapałki i zakrwawiony młotek z kulistym noskiem. Narzędzia tortur. Na podłodze walały się zakrwawione ręczniki i zbryzgana krwią poduszka.

– Widzieliśmy takie miejsca – powiedział cicho Stone. – W Somalii. W Rwandzie. W tym zasranym Hondurasie.

To tu ofiary torturowano, żeby rodziny słyszały ich krzyk, to tu Orlato, Haddad i Ruiz żądali od rodzin pieniędzy, żeby krzyk umilkł. Kiedy bliscy przestawali odbierać telefony albo przesyłać pieniądze, jednego po drugim wprowadzali ich do łazienki i zabijali. Potem jedno po drugim pakowali ich ciała do grubych plastikowych worków, ładowali je w garażu do samochodu, wywozili na pustynię i wrzucali do rozpadliny.

Pike przyjrzał się temu wszystkiemu, minął Stone'a i Haddada i poszedł do głównej sypialni. Przystanął w drzwiach. Stone pchnął Jemeńczyka, a gdy ten stanął tuż za Pikiem, natychmiast powiedział:

– Nie pojechali.

– Kto? – spytał Stone.

– Ci, co pilnowali waszego przyjaciela. Washington i Pinetta. Orlato, Ruiz i ja spaliśmy w salonie. Oni tutaj.

Pod ścianą stały dwie kanapy. Na tej bliżej drzwi leżał niebieski worek marynarski, na tej dalej stała czarna torba sportowa. Na ekraniku radia z budzikiem migwały cyferki zegara.

Pike zerknął na Stone'a.

– Jesteśmy bliżej.

Stone uśmiechnął się jak rekin do Haddada i wyciągnął go na korytarz.

– Zyskałeś pięć minut życia.

Pike ścisnął w rękę figurkę Gadającego Świerszcza, schował ją i zaczęli przygotowywać się na to, co miało niebawem nadejść.

**JACK I KRISTA:
uprowadzeni**

6

Noc wibrowała chaosem i hałasem: rykiem silników, wizgiem obracających się kół, rozbłyskami wystrzałów i błękitnobiałym światłem omywającym zarośla. Kiedy mężczyzna w goglach uderzył Jacka w plecy, ten upadł na Kristę. Próbując osłonić ją przed ciosami, odepchnął napastnika i krzyknął:

– Jesteśmy Amerykanami! My nie...

Mężczyzna uderzył go jeszcze mocniej.

– My tu tylko siedzieliśmy, nic nie...

Mężczyzna w goglach uderzył go tak mocno, że Jack zobaczył gwiazdy przed oczami i od środka pleców aż po czubek głowy przeszło go bolesne mrowienie. Zachwiał się i upadł na kolana.

Krista pomogła mu wstać i gorączkowo szepnęła:

– Przestań. Zabiją nas.

– Myślą, że jesteśmy z tymi ludźmi.

– To są *bajadores*. Zabiją nas.

– Co?

– Przestań się stawiać...

Mężczyźni z kijami bejsbolowymi i pałkami elektrycznymi roili się wokół jak rozwścieczone osy, zapędzając gęstniejący tłum z powrotem do ciężarówki. Jack powlókł się za Kristą. Dominowali Azjaci, ale byli tam również Latynosi i mieszkańcy Bliskiego Wschodu. Krista zagadała po hiszpańsku do idącej obok wystraszonej kobiety, a on zerknął w bok i zobaczył, jak dwóch mężczyzn podnosi z ziemi ludzkie ciało. Krista nachyliła się ku niemu i szepnęła:

– Ta pani jest z Gwatemali. Większość tych ludzi to Koreańscy. Mówi, że nas porwano.

– Obłąd. Przecież to jest Ameryka...

– Przez granicę przeprowadził ich człowiek imieniem Sanchez, ale *bajadores* go zabili. Daj mi swój portfel.

– Po co?

– Ciii.

Znowu zamieniła kilka słów z Gwatemalką, odwróciła się do niego i dodała:

– Trzeba się tego pozbyć, wszystkiego z twoim nazwiskiem. Proszę cię, skarbie, zaufaj mi. Nie zwracaj na siebie uwagi.

Jack podał jej ukradkiem portfel, ale nie widział, co z nim zrobiła.

Uzbrojeni ludzie pędzili ich do ciężarówki, jakby gonił ich czas. Kiedy gęstniejący tłum zwolnił, zaczęli bić ich jeszcze mocniej i razić prądem. Ludzie krzyczeli, błagali w językach, których Jack nie rozumiał, i nawet w świetle gwiazd widać było, że są zagubieni i przerażeni.

Kiedy doszli do ciężarówki i tłum zgęstniał jeszcze bardziej, Jack postanowił uciec. Uciec, przebić się przez tych wszystkich płaczących ludzi, popędzić przez pustynię, zygzakując między kaktusami i krzakami, i dobiec tak aż do Los Angeles. Waliło mu serce, miał mdłości. Nie bał się tak nawet wtedy, kiedy zginęli jego rodzice.

Ale nie uciekł. Objął Kristę, wtulił twarz w jej włosy i szepnął:

– Znajdą mój wóz. A potem nas. Zobaczą mój wóz.

Skrzynia ciężarówki wyglądała jak czarna jaskinia z wejściem, którego pilnowali uzbrojeni *bajadores*. Przeszukiwali każdego i wpychali go do środka. Obmacali Kristę w taki sposób, że Jack się zawstydział, potem sprawdzili mu kieszenie i wepchnęli łapy pod kurtkę. Zabrali komórkę i klucze i pchnęli go w stronę wejścia. Ktoś podał mu rękę i wciągnął go na górę.

– Jack!

– Tutaj. Gdzie jesteś?

Ludzi przybywało i robiło się coraz ciasniej, wreszcie skrzynia ciężarówki wypełniła się szczelnie spoconymi ciałami. Wtedy opadły z łoskotem wielkie drzwi, odcinając ich od resztek słabego światła. Zapadła ciemność, głęboka i czarna, zgęstniałe powietrze cuchnęło potem i moczem. Jack nic nie widział, ani kształtów, ani linii, ani najmniejszego zarysu. Usłyszał trzask rygla i szepnął:

– Zamknęli nas.

Niewidoczna w ciemności Krista przywarła go niego jeszcze mocniej. Trzasnęły drzwiczki, zadudnił silnik. Wielka ciężarówka drgnęła i ruszyła.

Jack nie wiedział, co robić. Ludzie szlochali i płakali, niektórzy rozmawiali, ale za cicho, by ich zrozumieć. Jakaś kobieta po drugiej stronie skrzyni głośno zawodziła, ale po chwili nie wiedział już, czy to na pewno kobieta. Cuchnęło tak bardzo, że wstrzymywał oddech. Przytulił Kristę i spytał:

– Czy ktoś z nich wie, dokąd nas wiozą?

Krista zagadała po hiszpańsku i tym razem odpowiedział jej głos jakiegoś mężczyzny. Dołączyła do niego kobieta, ale rozmowa była krótka i Krista znowu przeszła na angielski.

– Mówią, że chcą nas sprzedać. Że *bajadores* tak robią, dużo o nich słyszeli.

– Jak to sprzedać? Jak niewolników?

– Nie, za okup. Chyba o to mu chodziło. Porywają ludzi i żądają okupu.

– Dokąd nas wiozą?

Krista zadała to pytanie po hiszpańsku i przetłumaczyła odpowiedź.

– Do jakiegoś domu, obozu albo stodoły. On nie wie. Mogą nas nawet przetrzymać tutaj, w ciężarówce. Martwi się, bo nie ma pieniędzy. Wszystko oddał kojotowi.

Ciężarówka podskakiwała na sterczących z ziemi kamieniach i krzakach. Przed pięcioma minutami Jackowi było zimno. Teraz, w czarnym brzuchu wypełnionej trzydziestoma osobami ciężarówki, pocił się jak mysz, czując, że zaraz zwymiotuje.

Krista porozmawiała z kimś i znowu przeszła na angielski.

– Będą nas wypytywać. Nie mów im, skarbie. Kłam. Nie mogą się dowiedzieć, kim jesteś.

– Może by nas wypuścili.

– Nie. Musisz kłamać.

– Mogę im zapłacić.

– Nie. Obiecuj. Nawet nie próbuj.

Jack objął ją obiema rękami i przytulił. Ciężarówka toczyła się powoli przez pustynię. Kilka minut później wjechali na bitą drogę i przyspieszyli. Jack spojrzął na zegarek. Kwadrans później droga przeszła w asfalt. Po kolejnych dwudziestu minutach zwolnili, cofnęli i się zatrzymali. Jechali krótko, co znaczyło, że wciąż są na pustyni.

Trzasnął rygiel, zaterkotały zębatki i drzwi podniosły się, wypełniając wnętrze posępnymi czerwonymi cieniami. Jack sprawdził czas. Za pięć trzecia nad ranem. Stojący przed nimi ludzie ruszyli do wyjścia.

Z tyłu dobiegł go szept Kristy:

– Nie mów im, kim jesteś.

Wraz z innymi wyszli na świat w kolorze krwi.

ELVIS COLE:
sześć dni po uprowadzeniu Jacka
i Kristy

7

Tego ciepłego poranka, sześć minut po tym, jak Nita Morales odjechała wraz ze swoimi lękami i obawami, zadzwoniłem na informację i spytałem, czy mają numer telefonu Jacka Bermana z Brentwood w Kalifornii.

– Nie, proszę pana. W Brentwood taki nie mieszka.

– Może w Westwood, West Hollywood albo Santa Monica?

W pobliskich miasteczkach i osiedlach.

– Nie. Tam też nie. W Los Angeles też takiego nie ma. Jest kilkunastu Johnów, jeden Jason, Jonah i mnóstwo Jamesów, ale...

– Ilu w sumie?

– Co najmniej pięćdziesięciu albo sześćdziesięciu.

– Dobrze, dziękuję.

Rozłączyłem się i zadzwoniłem do Carol Starkey, znajomej policjantki. Starkey jest detektywem, pracuje w wydziale zabójstw w Hollywood i lubi mnie na tyle, by od czasu do czasu oddać mi przysługę.

– Czy ty nie miałeś przypadkiem zrobić mi czegoś na kolację?

Od tego zaczęła.

– Już niedługo. Mogłabyś sprawdzić pewną rejestrację?

– Ostatnim razem też tak mówiłeś. Chyba boisz się, że będziemy uprawiali seks.

Starkey już taka jest.

– Sprawdzisz czy nie?

W tle usłyszałem jakiś hałas i zniżyła głos.

– Jestem na Ptaszkach, na miejscu zbrodni. Pełno tu paparazzich i helikopterów.

Ptaszki to ekskluzywna dzielnica nad Bulwarem Zachodzącego Słońca, gdzie są ulice o nazwach takich jak ulica Przedrzeźniacza, Słowika czy Sójki. Słynie z pięknych widoków i z tego, że na centymetr kwadratowy przypada tam więcej celebrytów niż w Beverly Hills.

– Nie możesz z tym poczekać do wieczora?

– Skoro muszę. Potrzebne mi tylko nazwisko właściciela i jego adres.

– Jezu, Cole, ja tu mam morderstwo. Dobra, podaj mi ten cholerny numer.

Podałem jej numer rejestracyjny wozu Bermana i wróciła do swoich zajęć. Z tego, co mówiła Mary Sue, wynikało, że Berman mieszka sam, ale równie dobrze mógł mieszkać z rodzicami, pięćdziesięcioma czy sześćdziesięcioma Bermanami, o których mówiła ta z informacji. Numer rejestracyjny mustanga powinien uciąć spekulacje, rozszyfrować pełne nazwisko właściciela i jego adres. Jeśli nie, musiałbym wydzwaniać do wszystkich Bermanów w okolicy, pytając ich, czy znają Jacka.

Ostatnią osobą, do której zadzwoniłem, była Krista Morales. Nie oczekiwałem, że odbierze, ale nigdy nie wiadomo. Odszukałem jej numer w rzeczach od Nity i zadzwoniłem. Natychmiast włączyła się poczta głosowa, co znaczyło, że komórka jest wyłączona albo że Krista z kimś rozmawia.

Nagrane powitanie brzmiało tak: „Hej, tu Kris. Zaraz oddzwonię. Miłego dnia”.

Nagle dotarło do mnie to, o czym wspominała Nita. Krista mówiła bez obcego akcentu. Zupełnie inaczej niż dziewczyna, która zadzwoniła do swojej matki, mówiąc mieszaniną hiszpańszczyzny i silnie akcentowanej angielszczyzny. Jak ktoś, kto kogoś udaje, ale robi to na poważnie. Bo nie wyglądało na to, żeby żartowała czy niezdarnie próbowała wyciągnąć od niej pięćset dolarów. Rozłączyłem się, zadzwoniłem jeszcze raz i powiedziałem:

– Mówi Elvis Cole. Znajdę cię.

Dziesięć po dziesiątej schowałem telefon do kieszeni, pojechałem na stację benzynową, zatankowałem, wróciłem na I-10 i ruszyłem na wschód, do Palm Springs. Czekają mnie dwie godziny jazdy. Uznałem, że lepsze to niż wydzwaniać na ślepo do sześćdziesięciu Bermanów albo czekanie do wieczora, aż Starkey skończy swoją robotę.

Przejechałem przez centrum Los Angeles, dolinę San Gabriel, Inland Empire i znalazłem się na pustyni. Wczesnowiosenny chłód, lekka mgiełka, która odsłaniała więcej błękitu, niż go zasłaniała – był ładny dzień, w sam raz na przejażdżkę.

Tuż za kasynami w Cabazon autostrada skręca na południe, w kierunku Salton Sea, a potem znowu odbija na północ, by następnie przeciąć całą Amerykę. Zjechałem z niej przed skretem i wziąłem kurs na południe, na Palm Springs, gdzie można znaleźć ulice upamiętniające zmarłe osobistości takie jak Bob Hope, Frank Sinatra i Dinah Shore. Na północ od autostrady rozciągał się inny świat, gdzie celebryci rzadko kiedy zaglądali. W niskich, przysadzistych domach mieszkali tam ci, którzy pracowali w kurortach i na polach golfowych na południe od niej. Z tego, co mówiła Nita Morales, wynikało, że mieszka tam i Jack Berman, ale GPS w mojej komórce zaprowadził mnie na południe, do bardzo ładnego, nowoczesnego domu przy zadbanej ulicy między dwoma wiejskimi klubami i kurortem golfowym.

Dom był szary, drewniany, z białym dachem, wiatą i kilkunastoma strzelistymi palmami królewskimi. Wierzchołki dwóch wyglądały nawet zza domu, a frontowych drzwi strzegła olbrzymia palma dzemowa wraz z dwoma daktyłowcami

wyrastającymi spośród białych kamieni. Podobne palmy rosły wokół niemal wszystkich sąsiednich domów. Ostatecznie było to Palm Springs.

Wiata była pusta, a dom robił wrażenie opuszczonego. Zaparkowałem na podjeździe, ale wróciłem na ulicę, żeby zajrzeć do skrzynki pocztowej. Pękała od ogłoszeń, ulotek i przesyłek reklamowych. Wszystkie były adresowane do „mieszkańców domu”, ale ci nie zaglądali do skrzynki co najmniej od kilku dni. Wróciłem do frontowych drzwi. Pod matą wciąż tkwiła karteczka z wiadomością od Nity Morales, nietknięta i nieprzeczytana. Zerknąłem na nią, włożyłem z powrotem pod matę i nacisnąłem przycisk dzwonka, wiedząc, że nikt mi nie otworzy.

Potem cofnąłem się na podjazd, minąłem dwa plastikowe kubły na śmieci, drzwi do pomieszczenia gospodarczego i wszedłem pod wiatę. Za wiatą było ogrodzenie z kutego żelaza oddzielające ją od basenu kąpielowego z kilkoma betonowymi pomostami i zadaszonym kąciem rekreacyjnym wokół zewnętrznej kuchni i baru. Furtka była otwarta.

Podwórze było ładne. Za barem w stylu obłąkanego Kon-Tiki wisiał sześćdziesięciocalowy telewizor. Przez rozsuwane szklane drzwi widać było wnętrze domu. Miałem nadzieję zobaczyć tam całujących się Kristę i Jacka albo jego matkę piekącą szarlotkę, ale ani w domu, ani nad basenem nikogo nie było. Cieszyłem się tylko, że nie ma tam również ciał ani śladów przemocy.

Nita Morales zostawiła pod matą wiadomość, ale druga tkwiła na wysokości oczu na rozsuwanych drzwiach do salonu. Była przyklejona do szkła gumą do żucia i napisana czarnym długopisem na rachunku z całodobowej stacji benzynowej. „Stary! Pojechałeś beze mnie? Co się dzieje? D.T.”. Ktoś kupił dziewięćdziesiąt litrów benzyny. I to chyba nie Nita.

W kręgach detektywistycznych nazywało się to tropem.

Wnętrze domu było dziwnie surowe, jakby ktoś zaczął go meblować i nagle przestał, pozostawiając prawie puste pokoje. W salonie stała czarna skórzana sofa, dwa czerwone fotele i kolejny telewizor, ale o dywanach i stolikach zapomniano. Na ścianach nie było nic oprócz włączników elektrycznych i panelu sterowniczego systemu alarmowego, co nadawało wnętrzu niewykończony wygląd. Przyjrzałem się panelowi i wydawało mi się, że widzę tam mrugające zielone światełko. Czerwone znaczyłoby, że alarm jest uzbrojony. Zielone, że nie.

Wróciłem do drzwi pomieszczenia gospodarczego, otworzyłem zasuwę i wszedłem do środka. Komputerowy głos z panelu przy drzwiach frontowych uprzedził mnie, że drzwi od południowej strony domu są otwarte. Wytężyłem słuch, ale nic nie usłyszałem. W domu nie było żywego ducha.

– Halo? Dzwonek jest chyba zepsuty.

Nikt mi nie odpowiedział, więc zamknąłem drzwi i szybko przeszukałem dom. Dwa z trzech pokoi były zupełnie puste, co ułatwiło mi zadanie.

Główna sypialnia należała na pewno do samotnego mężczyzny, ale w nogach łóżka stała jaskrawoniebieska torba. Były w niej trzy pary damskich majtek, dwa przezroczyście staniki, buty do biegania, dwa kostiumy kąpielowe i czarna bluza z kapturem – rzeczy, które młoda kobieta zabrałaby na pustynny weekend z chłopakiem. W jasnoszarej kosmetyczce znalazłem zestaw do makijażu, szczoteczkę do zębów i różowe pudełko z tabletkami antykoncepcyjnymi. Na aptecznej naklejce przeczytałem, że receptę wystawiono na nazwisko Kristy Morales. Znaczyłoby to, że uciekając z Bermanem do Las Vegas, zostawiła u niego wszystkie kosmetyki i tabletki, czego młode kobiety raczej nie robią.

Zrobiłem kilka zdjęć i wróciłem do kuchni. Na blacie, tuż obok mrugającej automatycznej sekretarki, stał bezprzewodowy telefon. Nagrano trzy wiadomości. Nacisnąłem przycisk.

„Nie wystawiaj mnie do wiatru, stary! Gdzieś ty przepadł?”.

Tak brzmiała pierwsza. Drugą zostawił ten sam mężczyzna.

„Hej, Berman, wyłączyłeś komórkę? Co się dzieje? Wróciliście do miasta? Wziąłem wolny dzień”.

„Wróciliście” było dobrym znakiem. Znaczyło, że dzwoniący zna Bermana i Kristę, że się spotykali.

I to właśnie on zostawił następnego dnia trzecią i ostatnią wiadomość.

„Kurde, stary, mam nadzieję, że wszystko u ciebie OK. Twoja komórka pieprzy mi do ucha, że nie odbierasz telefonów ani SMS-ów. Nie wiem nawet, czy do ciebie docierają. Zahaczyłem o twój dom. Wpadłem sprawdzić, czy wszystko gra. OK?”.

Wziąłem telefon i przejrzałem listę połączeń przychodzących. Trzy ostatnie wykonano z tego samego numeru w Palm Springs. Zadzwoiłem tam. Po czterech sygnałach odezwał się ten sam głos, tyle że przyciszony.

– Stary! Co się, kurwa, z tobą działo? Gdzieś ty był, w kosmosie?

Jego telefon wyświetlił numer domowy Bermana.

– To nie Jack. Jestem znajomym matki Kristy.

Chłopak nazywał się Daniel Trehorn. „D.T.”, ten od rachunku przyklejonego gumą do drzwi.

Przedstawiłem się, powiedziałem, że matka Kristy bardzo się niepokoi, i spytałem, kiedy ostatnio ich widział, razem lub osobno.

Odpowiedział tym samym przyciszonym głosem.

– W piątek. Prawie tydzień temu.

A dokładniej przed sześcioma dniami. Dzień po tym, jak Krista wyszła z domu na spotkanie z Jackiem Bermanem. I dwa dni przed tym, jak jej matka odebrała pierwszy telefon z żądaniem okupu.

– Gdzie?

Trehorn wymamrotał coś do kogoś w tle i odparł:

– Na pustyni. Możemy pogadać za dwadzieścia minut? Pracuję. Noszę sprzęt na polu golfowym w Sunblaze. Wie pan, gdzie to jest?

– Znajdę.

– Przy Dinah Shore, na wschód od Gene Autry. Jesteśmy przy dziewiątym dołku, zaraz kończymy. Będę czekał przed klubem.

– Do zobaczenia za dwadzieścia minut.

– Mieliśmy plany na następny dzień, chcieliśmy się zabawić. Nic im nie jest?

– Za dwadzieścia minut.

Daniel Trehorn był zaniepokojony. Ja też.

8

Trehorn okazał się chudym chłopakiem w szarych szortach, kasztanowej koszulce polo i dziewczęco białych tenisówkach. Policzki miał obsypane pryszczami i był w ciemnych lustrzanych okularach, w których połyskiwała pomarańczowa pustynia. Jechaliśmy pikapem silverado, takim z dużymi kołami, dużymi amortyzatorami i dużymi reflektorami, które miały ułatwić życie na pustkowiu. On prowadził.

– Mieliśmy wyskoczyć do Vegas. Krista nigdy tam nie była. Wyjechać w sobotę rano i wrócić w niedzielę po południu. W poniedziałek Kris musiała być na uczelni. Przyjechałem po nich o dwunastej, ale nie było ich w domu. Dzwonię. Nic. Wysłałem SMS-a. Nic. Myślę: kurde, co jest? Nigdy tak ze mną nie pogrywali.

– Przyjaźnisz się z Jackiem?

– To mój najlepszy kumpel. Znamy się od lat.

– Kristę też znasz?

– Jasne. Od dawna ze sobą chodzą.

Trehorn wiózł mnie do wraku starego samolotu trzydzieści siedem kilometrów na południe od Palm Springs, gdzie zostawił ich wieczorem przed sześcioma dniami. W tamten piątek on, Jack i Krista wraz z jeszcze jedną parą, Chuckiem Lautnerem i Deli Blake, siedzieli przy ognisku, pijąc piwo i słuchając muzyki.

– Dlaczego zostali?

– A dlaczego chłopak i dziewczyna chcą zostać sam na sam pod gwiazdami? Nie wie pan?

– Wiem tylko, że od tamtego czasu nikt ich nie widział ani z nimi nie rozmawiał.

Większość trzydziestosiedmiokilometrowej trasy wiodła dobrą asfaltową szosą, ale przez ostatnie jedenaście kilometrów jechało się to żwirówką, to drogą biegnącą przez piach i skały. Trzydzieści dwa kilometry przez odludne pustkowia to spory kawałek. Zastanawiałem się, czy nie nawalił im wóz albo czy nie mieli wypadku i czy nie znajdziemy zaraz ich przewróconego samochodu.

– Przyjechaliście tu wieczorem?

– O zachodzie słońca, ale kiedy odjeżdżaliśmy, dochodziła północ. Przyjeżdżam tu z bratem od gimnazjum. Kiedy zna się drogę, to żadna sprawa.

Popatrzyłem na ciągnące się w dal zarośla i usłaną kamieniami ziemię. Jeśli zajrzycie do słownika i poszukacie hasła „gdzie diabeł mówi dobranoc”, nie znajdziecie tam lepszej definicji.

– Jack znał drogę?

– Był tu kilka razy. Kiedy wiadomo, jak i którędy jechać, nie sposób zabłądzić.

Dziesięć minut później zatrzymaliśmy się gwałtownie w chmurze żółtego pyłu i Trehorn wskazał ręką.

– No i jest.

Sto metrów od drogi, wśród pustynnych krzewów i kaktusów, na usianym kamieniami piachu leżała dwusilnikowa cessna. Kępy rosnącej wokoło szarej zieleni wyglądały jak łaszące się do matki szczeniaki. Samolot nie miał śmigieł i szyb, lewe skrzydło i ogon były zgniecione i wykrzywione, a przez czterdzieści lat jego zardzewiałe poszycie zdążyło pokryć się malunkami i bazgrołami, które były zapisem niemal każdego romansu chłopców i dziewczyn z pobliskich ogólniaków. Nawet po tylu latach, po tym, jak rosły krzaki, widać było, w którą stronę biegnie oczyszczony z kamieni pas.

– Tu ich zostawiliście?

– Tak. Siedzieliśmy przy samolocie. Wszyscy tam siedzą, bo widzi pan ten gładki kawałek pasa? Można rozpalić ognisko, coś ugotować, jeśli ktoś chce, pogadać i w ogóle. Jack zostawił samochód tutaj, bo ma mustanga, więc Chuck i ja podjechaliśmy bliżej. Jak się robi ciemno, ni cholery tu nie widać. Włączyłem reflektory.

Jego wóz miał z przodu baterię reflektorów i lamp na stalowych pałkach.

– Gdzie dokładnie zostawił samochód?

– Chyba kawałek za nami. Chuck pojechał dalej, a on i Krista przesiedli się do mnie. Ten jego kucyk po tym nie przejedzie.

Wysiadłem.

– Rozejrzyjmy się.

– Możemy podjechać.

– Spacer dobrze nam zrobi.

Dawno temu armia Stanów Zjednoczonych nauczyła mnie polować na ludzi w kompletnej dziczy. Głośno mówiący mężczyźni w czarnych podkoszulkach pokazywali nam, jak poruszać się i ukrywać bez pozostawiania śladów i jak odczytywać ślady pozostawione przez innych. Potem wysyłali nas w niebezpieczne miejsca, żebyśmy nabrali wprawy i doświadczenia. Byłem w tym niezły. Na tyle dobry, by przetrwać.

Ale nie podszedłem do samolotu, nie od razu. Najpierw przyjrzałem się śladom kół samochodu Danny’ego, potem przeszedłem się kawałek dalej, aż identyczne ślady znalazłem w miejscu, gdzie skręcały z drogi w stronę samolotu.

– To ty. Widzisz? Pójdźmy twoimi śladami.

Minęło sześć dni, ale wciąż były widoczne. Szliśmy między zmiażdżonymi przez koła krzewami, potem skręciliśmy do samolotu. Leżał dwadzieścia metrów od pasa startowego, gdzie zatrzymał się po katastrofie. Pas był poprzecinany starymi koleinami i śladami opon, zaśmiecony butelkami po wodzie i puszkami, które musiały tam leżeć od lat.

Graffiti pokrywało każdy centymetr kwadratowy poszycia wraku jak psychodeliczny kamuflaż miejski, zupełnie niepasujący do pustyni. Samolot był mały i leżąc tak na brzuchu bez silników i z powybijanymi szybami, nie wyglądał na coś, dla czego warto by było jechać taki kawał drogi.

Złomiarze, śmieciarze i miłośnicy pamiątek już dawno ograbili go ze wszystkich wartościowych rzeczy. Nie było foteli, w desce rozdzielczej ziały puste oczodoły, z których wyjęto instrumenty pokładowe. Z tyłu, gdzie kiedyś leżały pewnie przypięte pasami bele marihuany, wały się pokryte kurzem zardzewiałe puszki.

Minęliśmy nos samolotu, wyszliśmy na otwarty teren i Trehorn wskazał czarny placek ziemi, gdzie rozpalili ognisko. Potem machnął ręką w stronę luki między krzakami i powiedział:

– Zaparkowaliśmy, puściliśmy muzykę i rozpaliliśmy ognisko. Widzi pan te polana? Inni zbierają chrust, ale daje główniany ogień. Chuck przywiózł dobre drewno. Wieczorem jest zimno.

– Kiedy odjeżdżaliście, ognisko wciąż się paliło?

– Nie, dogasało. Tylko się tliło.

Obszedłem samolot, nic nie znalazłem i myślałem już, że przyjechaliśmy na próżno, kiedy trzy metry dalej zobaczyłem coś błyszczącego. Podeszedłem bliżej i podniosłem to z ziemi.

– Co to? – spytał Trehorn.

– Łuska od dziewiątki.

Mosiężna łuska nie zdążyła jeszcze zmatowieć, co wskazywało, że leżała tu od niedawna. Ale na Trehornie nie zrobiła żadnego wrażenia.

– Ludzie strzelają tu cały czas – powiedział. – Ten wrak ma więcej dziur niż szwajcarski ser.

Kilka kroków dalej znalazłem kolejne dwie łuski i łuskę naboju do strzelby, która wyglądała jak wyjęta prosto z pudełka.

Trehorn odszedł trochę dalej, szukając wraz ze mną, i po chwili zawołał:

– Kurde, ale bydlę!

– Co?

Wskazał ziemię.

– Opony. Jeżdżę na dwieściepięćdziesiątkachpiątkach, a te tu to chyba pięćsetsiedemdziesiątki. Kawał ciężarówki.

Nie rozróżniałem dwieście pięćdziesiątek pięć od pięćset siedemdziesiątek, ale znalezione przez niego ślady musiały pochodzić od podwójnych kół. Podwójne koła sugerowały, że przejechała tędy duża, ciężka ciężarówka. Tyle że taka ciężarówka nie miała tu co robić.

– Były tu wtedy?

Trehorn zrobił dziwną minę i wzruszył ramionami.

– Nie wiem. Było ciemno.

Ziemię przecinała płatanina krzyżujących się ze sobą śladów stóp i opon. Wydawało się, że niektóre są świeższe od innych, ale nie umiałem powiedzieć, kiedy dokładnie powstały.

– I co pan myśli?

– Że było tu dużo ludzi. Które są twoje?

– Te przy samolocie, za ogniskiem. Nie podjeżdżałem tu. Chuck też nie.

Podążając śladami opon ciężarówki, Trehorn ruszył w stronę drogi, a ja w przeciwną, w stronę śladów opon za ogniskiem, które tamtej nocy zostawił jego wóz. Znalazłszy wyraźny przykład, oznaczyłem go dużą literą E i odnotowałem jego położenie względem ogniska i samolotu. Potem minąłem samolot, żeby przeszukać miejsce, gdzie biwakowali, i wtedy na pobliskim krzewie zobaczyłem coś białego. Włożyłem rękę między kolczaste gałązki i znalazłem kalifornijskie prawo jazdy. Było na nim zdjęcie młodego białego chłopaka o krótkich rudych włosach i pociągłej twarzy z dwoma fatalnymi pryszczami na czole. I nazwisko: M. JACK BERMAN.

– No proszę – mruknąłem.

Trehorn był wciąż za samolotem, więc rozchyliłem gałązki. Między tymi niższymi utknęły trzy karty kredytowe na to samo nazwisko i znoszony skórzany portfel. W portfelu było trzysta dolarów w gotówce.

Zerknąłem na Trehorna, zastanawiając się, czy to Berman to tu zostawił i dlaczego. Porzucony portfel pełen banknotów – to nie miało sensu. Gdyby Krista i Jack wyjechali dobrowolnie, na pewno nie zostawiliby pieniędzy. Gdyby zaś ktoś zagroził im pistoletem, oddaliby je tak czy inaczej. Dobry, zły czy obojętny – każdy, kto wyrzuciłby portfel, połakomiłby się na kasę.

Wsadziłem rękę głębiej. Na rosnącej tuż przy ziemi gałązce wisiała jakaś karteczka. Karteczka z napisem: PYTKOJ SANCHEZ. Tuż przy korzeniu zaś leżało drugie prawo jazdy ze zdjęciem ładnej, młodej dziewczyny o złocistej cerze i kruczoczarnych włosach. KRISTA LOUISE MORALES.

Przyjrzałem się zdjęciu, potem karteczce. PYTKOJ SANCHEZ. Ktoś napisał to niebieskim długopisem, drżącą ręką i koślawymi dużymi literami.

Trehorn odszedł jeszcze dalej, przeczesując busz, jakby szukał tam Świętego Graala. Martwił się o przyjaciela, ale nie powiedziałem mu, co znalazłem. Jeszcze raz przeczytałem napis.

PYTKOJ SANCHEZ.

– Danny!

Trehorn podniósł wzrok, a ja schowałem znalezisko do kieszeni.

– Jedziemy. Nic tu nie ma.

Chciałem porozmawiać z Nitą Morales i kimś nazwiskiem Joe Pike.

9

Trzy minuty po tym, jak Danny podrzucił mnie do samochodu, wszedłem do orzeźwiająco chłodnego Burger Kinga i kupiłem mrożoną herbatę. Przed telefonem do Nity chciałem trochę pomyśleć, bo nie bardzo wiedziałem, co to wszystko znaczy ani co jej zaproponować. Poza tym było mi gorąco. Jak to w Palm Springs.

Oto jak prywatny detektyw (czyli *moi*) przygotowuje raport dla klienta: Krista Morales i Jack Berman dojechali bezpiecznie do Palm Springs i w piątek późnym wieczorem byli widziani w odległym, lecz dobrze znanym miejscu na pustyni. Przyjechali tam samochodem Jacka i z własnej woli zostali, chociaż towarzyszący im koledzy wrócili do miasta. Od tej pory nikt ich nie widział ani z nimi nie rozmawiał, nie licząc dwóch telefonów z prawdopodobną próbą wyłudzenia śmiesznie małych kwot. Sześć dni później prywatny detektyw podjął próbę (to określenie dobrze działa na klienta) dotarcia do wspomnianego wyżej miejsca, gdzie znalazł rzeczy należące zarówno do Kristy Morales, jak i Jacka Bermana, w tym – choć nie tylko – ich prawa jazdy, trzysta dolarów w gotówce oraz karteczkę z niezrozumiałym napisem „Pytkoj Sanchez”. Samochodu Bermana tam nie było, choć detektyw nie znalazł również śladów działań przestępczych. („Działania przestępcze” to kolejne dobre określenie).

Herbatę podał mi młody, masywny Latynos w wieku dziewiętnastu, dwudziestu lat. Na identyfikatorze miał imię: JOHNNY. Kiedy wydał mi resztę i podziękował, pokazałem mu karteczkę.

– Przepraszam, czy zna pan może hiszpański?

– Nie, niestety. Ale może Imelda...

Spojrzał na młodą, przysadzistą kobietę przy okienku dla tych kupujących z samochodu.

– Imelda! Znasz hiszpański?

Imelda przyjrzała mi się podejrzliwie.

– Trochę.

Podeszła do nas i zerknęła na karteczkę.

– Co to znaczy „pytkoj”?

– Miałem nadzieję, że pani mi powie.

– Sanchez to nazwisko.

– Uhm.

Wzruszyła ramionami.

– Nie wiem. Może ktoś tu coś przekręcił?

– Domyśla się pani co?

– Nie, nie bardzo.

Ktoś podjechał do okienka i wróciła na stanowisko.

Stanął za mną następny klient, więc wziąłem herbatę i rozłożyłem się w boksie jak najdalej od innych. Kilka minut później weszło dwóch mężczyzn w podkoszulkach z hasłem „Union 76”, ale oni też nie potrafili przetłumaczyć napisu, podobnie jak chuda kobieta z dwoma małymi, pulchnymi chłopcami.

Kobieta i jej synowie zajęli boks obok mojego. Chłopcy usiedli po jednej stronie, ona po drugiej i kobieta postawiła na stole waniliowe jogurty i frytki. Nie ma to jak zrównowazona dieta. Jedząc, chłopcy szarpali się ze sobą, popychali i śmiali tak głośno, że ludzie zaczęli odwracać głowę. Kobieta kazała im przestać, lecz jej nie słuchali. Robiła wrażenie zupełnie wyczerpanej, ale ucieszyła się, gdy spytałem, czy zna hiszpański.

Przeczytała napis i oddała mi karteczkę.

– Sanchez to nazwisko. Ale tego pierwszego słowa nie znam.

– Dzięki, że zechciała pani spojrzeć.

– To „koj” coś mi mówi, ale nie wiem. Pewnie myślę to z czymś innym.

– Może coś się pani skojarzy.

– To chyba nie po hiszpańsku.

– Aha.

Chłopcy wciąż rozrabiali, a gdy kazała się im uspokoić, zagłuszyli ją śmiechem, jakby nie istniała.

Popatrzyła na nich pustymi oczami, nachyliła się ku mnie i zniżyła głos.

– Nienawidzę ich. Czy to źle? Naprawdę ich nienawidzę.

Chłopcy roześmiali się jeszcze głośniej.

Wciąż ryczeli ze śmiechu, kiedy ktoś do mnie zadzwonił. Nie znałem tego numeru.

– Elvis Cole.

– Mary Sue Osborne.

Wraz z herbatą i telefonem odsunąłem się od rozbrykanych bachorów. Za oknem widziałem swój samochód na parkingu i patrzenie w tamtą stronę dało mi pretekst, by uciec wzrokiem od kobiety nienawidzącej swoich koszmarnych synków.

– Hej.

– Hej. Znalazłam w necie ten artykuł o panu. Dobry tekst. Zrobili z pana bohatera.

– Zrobili?

– Odkryłam swoją ciemną stronę. Włamałam się do komputera Kristy. Próbowałam wszystkich możliwych haseł, ale żadne nie działało, więc tak dla jaj wystukałam „otwórz”. Ta-da! Znalazłam adres Jacka.

– Radujesz moje uszy.

– Właśnie, powinnam dostać jakąś nagrodę.

– Podasz mi ten adres?

Berman mieszkał przy Tigertail Road w Brentwood. Tigertail to kanion w zamożnej okolicy na wzgórzach na zachód od Przełęczy Sepulveda. Jego rodzicom dobrze się powodziło.

– Skoro już dzwonicz, chcę cię o coś spytać. Mówisz po hiszpańsku?

– *Si, amigo. Ale poquito.* Mówię płynnie po francusku i włosku, po hiszpańsku tylko trochę.

– Przeczytam ci coś.

Przeczytałem napis z karteczki i go przesyłabizowałem.

– To nie jest po hiszpańsku – powiedziała.

– Wszyscy tak mówią.

– To Kris napisała?

– To ważne? Powiedzmy, że tak.

Mary Sue zamilkła.

– Tylko zgaduję, ale myślę, że to znaczy „spytać kojota Sancheza”. Albo „pytać o kojota Sancheza”.

– Tak?

– Chodzi o to „pyt”. Pisząc, często używamy skrótów. „Pyt” to pytać, spytać, zasięgnąć informacji. A „koj”? Jak się szybko pisze, skraca się słowa. Myślę, że chodziło jej o „kojota”, bo prawie każdy artykuł na jej biurku jest o kojotach przerzucających ludzi przez granicę. A poza tym jestem geniuszem.

– Uwielbiam bystre dziewczyny.

– Wiedziałaś, że pan przejrzy na oczy. Z wami tak zawsze.

– Dobrze, jeszcze jedno.

– Wiem. Mam przeczytać te wszystkie artykuły i sprawdzić, czy Krista wspomina w nich o Sanchezie.

– Otóż to.

May Sue teatralnie westchnęła.

– Jestem taka łatwa. Powinien mnie pan wykorzystać.

– Jesteś moją najlepszą kumpelką. Wielkie dzięki. Bardzo mi pomogłaś.

– Kumpelką. Każda dziewczyna marzy, żeby zostać najlepszą kumpelką jakiegoś przystojniaka.

– Mógłbym być twoim ojcem, Mary Sue. No prawie.

– Tylko małe umysły przestrzegają ograniczeń konwencji społecznych.

Uśmiechnąłem się, rozłączyłem i zadzwoniłem do Nity Morales. Była na jakimś spotkaniu, ale natychmiast podeszła do telefonu. Powiedziałem jej, skąd dzwonię, i przeszedłem do rzeczy. Zacząłem opowiadać, starannie budując napięcie, gdy mnie zaskoczyła pytaniem:

– Pojechała do tego samolotu?

– Wie pani o nim?

– Tamtędy przyjechałam. Chciała się dowiedzieć, jak to było, jak wyglądała nasza podróż, więc jej opowiedziałam. Ci, którzy przejeżdżali przez Imperial Valley, tam się najczęściej spotykali. Nasz przewodnik nazywał to lotniskiem. Miejsce było bezpieczne i łatwe do znalezienia. Mówił: jutro wylądujemy na lotnisku i przesiądziecie się do innego samolotu. Mam nadzieję, że pilot umie latać. Uważał, że to zabawne.

– Jak się nazywał wasz kojot?

– Nie nazywaliśmy ich kojotami. Byli naszymi przewodnikami.

– Dobrze. Więc jak się nazywał?

– Chyba nie znałam jego nazwiska. Miałam siedem lat.

– Słyszała pani o kojocie nazwiskiem Sanchez?

W jej głosie pojawiła się nutka poirytowania.

– Nie znam takich ludzi. Ja i tacy jak ja, my nie należymy do jakiejś podziemnej kasty. Myśli pan, że spotykamy się, urządzamy przyjęcia, pijemy margaritę i wspominamy ze śmiechem, jak to wykiwaliśmy Wuję Sama? Miałam wtedy siedem lat. Próbuję o tym zapomnieć. Nie chcę, żeby było to częścią mojego życia.

Powiedziałem jej o rzeczach, które znalazłem na pustyni, w tym o karteczkach.

– Mary Sue twierdzi, że znaczy to „spytać kojota Sancheza”.

– Ale o co?

– Nie wiem. Może nie ma to nic wspólnego z tym, gdzie Krista teraz jest ani dlaczego zaginęła, ale jeśli chciała go o coś spytać, chciałbym spytać go i ja.

– Mój adwokat się na tym zna.

– Ten, u którego była pani, żeby sprawdzić, czy da się zmienić pani status?

– Tak. Specjalizuje się w sprawach imigracyjnych i jest dla nas bardzo życzliwy. Wiem, że reprezentuje nielegalnych imigrantów, kiedy policja ich aresztuje. Mam jego numer.

– Dobrze.

– Thomas Locano. Jest bardzo miły. Niech pan zapisze...

Podawała mi numer i adres w Pasadenie. Poprosiłem, żeby do niego zadzwoniła. Był jej adwokatem i musiała mu pozwolić na rozmowę.

– Panie Cole? Jeśli uważa pan, że tak będzie lepiej, zawiadomię policję.

– Zajmuję się tą sprawą od niecałych pięciu godzin. Najpierw zobaczmy, jak się to rozwinie.

– Zrezygnuję dla niej ze wszystkiego. Bez wahania. Chcę, żeby pan o tym wiedział.

– I wiem, ale na razie pani nie musi. Tu nie chodzi o panią. Chodzi o Kristę i o to, żeby sprowadzić ją do domu. Policja nie spyta o pani status, nic ich to nie obchodzi.

– Jest pan pewien?

Na parking wjechał czerwony džip i stanął obok mojego wozu. Kierowca nie wysiadł. W ciemnych okularach, czekał, patrząc przed siebie, nieruchomy jak posąg.

Zerknąłem na zegarek.

– Absolutnie. Dlatego jestem mistrzem świata detektywów.

– Znowu próbuje mnie pan rozśmieszyć.

– Tak.

– Nie udało się.

– Wiem. Ale musiałem spróbować.

Schowałem telefon i wyszedłem na parking. Kierowca džipa spojrział na mnie, gdy wsiadłem, ale nic nie powiedział. Rozmowa nie należała do jego najmocniejszych stron.

Pike – Joseph bez drugiego imienia – poznał sztukę tropienia jako mały chłopiec, dorastając na skraju tartaczego miasteczka, i udoskonalił ją, tropiąc ludzi najpierw w piechocie morskiej, potem w policji Los Angeles, wreszcie jako pracownik prywatnych korporacji wojskowych na kontraktach w Afryce, Ameryce Środkowej i na Bliskim Wschodzie. Jeśli byłem dobry w polowaniu na ludzi, on był lepszy. Był również moim wspólnikiem, odkąd kupiliśmy agencję detektywistyczną, a jeszcze dłużej moim przyjacielem.

– Dzięki, że przyjechałeś.

Lekko skinął głową, tylko raz. Dwie godziny jazdy, a on zjawił się, nie pytając po co i dlaczego.

Opowiedziałem mu o Kriście Morales, o jej piątkowym wypadzie na miejsce katastrofy samolotu i o moich znaleziskach. Pokazałem mu mosiężną łuskę od dziewiątki i łuskę naboju do strzelby.

– Leżały na ziemi. Trehorn mówi, że wielu przyjeżdża tam postrzelać, więc może nie mieć to żadnego znaczenia.

Pike powąchał mosiężną łuskę, jakby jej zapach mógł mu coś powiedzieć, po czym mi ją oddał. Nie wiem, może umiał tropić jak pies.

– Ślady opon wozu Trehorna oznaczyłem dużym E. Ciężarówka miała podwójne koła. Sprawdź, co się tam działo.

Pike znowu skinął głową.

– Zawieźć cię tam?

Pokręcił głową. Współrzędne geograficzne wysłałem mu już z iPhone'a.

– Podesłać ci Trehorna?

– Poradzę sobie.

– Dobra. Jadę do jej adwokata. Daj znać.

Było w pół do drugiej, gdy on wyruszył na pustynię, a ja na spotkanie z Thomasem Locano.

10

Locano miał ładną kancelarię na górze piętrowego domu przy Mission Street w Południowej Pasadenie. Dom był stary, z dachem pokrytym czerwoną dachówką, z tynkowanymi ścianami i ciężkimi drewnianymi drzwiami. Podobnie jak dom mecenasa Locano był wytwornym mężczyzną w wieku sześćdziesięciu kilku lat. Zatrudniał dwóch młodszych asystentów oraz swoją żonę.

– Elizabeth – przedstawiła się, prowadząc mnie do gabinetu.

Locano uśmiechnął się na mój widok i wstał na powitanie, ale odniosłem wrażenie, że czuje się nieswojo.

– Napije się pan kawy? – spytała Elizabeth. – Może czegoś innego?

– Nie, bardzo dziękuję.

Wychodząc, nie zamknęła drzwi.

Locano wyszedł zza biurka, byśmy mogli usiąść razem w dużych wygodnych fotelach, i wyciągnął do mnie rękę. Ręka była sucha, uścisk silny.

– Wiem od Nity, że pan dla niej pracuje i że wtajemniczyła pana w sprawę swojego statusu.

– Tak. Czy powiedziała panu, o co chodzi?

– Tak, o zaginięcie jej córki. Uważa, że ma to coś wspólnego z tym, że przebywa tu nielegalnie, i prosiła mnie, żebym rozmawiał z panem szczerze i otwarcie.

Podał mi karteczkę z pustyni.

– Znalazłem to trzydzieści dwa kilometry od Palm Springs, na miejscu katastrofy starego samolotu przemytników. Prawdopodobnie napisała to Krista.

Locano zmarszczył brwi i chciał oddać mi karteczkę, ale jej nie wziąłem.

– To nie jest po hiszpańsku.

– Nie. Domyślamy się, że znaczy to „spytajcie kojota Sancheza” albo „pytajcie o kojota Sancheza”. Więc to robię. Zna pan kojota nazwiskiem Sanchez, który przeprowadza ludzi przez Imperial Valley?

Locano opuścił rękę. Jego chłodna twarz mówiła, że go obraziłem.

– Praktykuję prawo imigracyjne. Pomagam klientom zdobyć wizę i zieloną kartę, bronię ich przed deportacją i eksmisją. Jeśli myśli pan, że robię coś niezgodnego

z prawem, źle pan rozumie charakter mojej pracy.

– Niczego takiego nie chciałem powiedzieć. Jeśli tak pan to odebrał, bardzo przepraszam.

Locano nie robił wrażenia udobruchanego.

– Nita mówi, że często reprezentuje pan aresztowanych o nieudokumentowanym statusie imigracyjnym, dlatego domyślam się, że wie pan, w jaki sposób pańscy klienci przekraczają granicę i kto ich tu przyprowadza.

– O tym nie będę z panem rozmawiał.

Wskazałem karteczkę.

– Pytać o kojota, o Sancheza. Nita widziała to miejsce, kiedy miała siedem lat, kiedy ktoś przemycił ją przez granicę. Mówi, że był to popularny punkt transferowy, gdzie odbierano i przekazywano jadących na północ nielegalnych imigrantów. Krista była tam w piątek wieczorem i wtedy widziano ją ostatni raz. Dzisiaj, sześć dni później, znalazłem tę karteczkę i jej prawo jazdy dziesięć metrów od wraku samolotu.

Locano zerknął na karteczkę jeszcze raz i znowu zmarszczył czoło. Oddał mi ją i tym razem ją wziąłem.

– Myśli pan, że spotkała tego Sancheza?

– Nie wiem, ale to możliwe. Tak czy inaczej, nie napisała tego bez powodu, dlatego o niego pytam. Żeby go znaleźć, muszę znać jego nazwisko.

Locano kiwnął głową, ale bardziej do siebie niż do mnie.

– Chciałbym panu pomóc, ale proceder, o którym pan mówi... To już nie to samo co kiedyś.

– Chce pan powiedzieć, że nikt nie przeprowadza już ludzi przez granicę?

– Oczywiście, że tak, ale przewodników, których znałem, już nie ma. Dawniej zajmowali się tym kuzyni, którzy przyjechali tu na zbiory jako robotnicy sezonowi, albo krewni odwiedzający rodzinę. Pomagali swoim za parę dolarów, bardziej z przyjaźni niż dla pieniędzy, ale zmieniły to wszystko kartele i ich bandziory. Patrolują drogi jak wojsko, kontrolując cały przemyt broni i narkotyków, i bez ich pozwolenia nie prześlizgnie się tamtędy nawet mysz.

– Ani kojot?

– Przemyt ludzi to teraz dochodowy interes. Imigranci z Azji, Europy i Bliskiego Wschodu jadą najpierw do Ameryki Środkowej, a stamtąd dużymi grupami zabierają ich do Meksyku. Dzisiejsze kojoty nie nazywają ich nawet ludźmi. Nazywają ich *pollos*. Kurczakami. Jakby byli zwierzętami.

– Kojoty pożerają kurczaki.

– Nie tylko. Pożerają się nawzajem, pożerają kurczaki innych kojotów. Wie pan, co to znaczy *bajadore*?

– Bandyta?

– Bandyta, który okrada innych bandytów. Należą zwykle do jakiegoś kartelu: ci

z Baja okradają tych z Zeta, ci z Tijuany tych z Sinaloa czy La Familia. Kradną narkotyki, broń i *pollos*, wszystko, co można sprzedać. Porywają nawet siebie samych.

– Sprzedać? Jak niewolników?

– Za okup. Ci biedacy płacą najpierw kojotowi, a potem porywają ich *bajadores*. Nic już wtedy nie mają, więc te bandziory żądają okupu od ich rodzin. Nie znam takich ludzi. Nigdy ich nie reprezentuję.

Kiedy to do mnie dotarło, zaschło mi w ustach.

– Nita miała dwa telefony od Kristy i jakiegoś mężczyzny, który domagał się pieniędzy w zamian za jej powrót. Zrobiła przelew, ale Krista nie wróciła.

Mecenasowi pociemniały oczy.

– Nie wspominała, że ją uprowadzono.

– Myśli, że to żart albo nieudolna próba wyłudzenia. Zażądali tylko pięciuset dolarów.

Locano zaniepokoił się jeszcze bardziej.

– Dla pana czy dla kobiety prowadzącej dobrze prosperującą firmę to niewiele, ale dla rodziny, która musi liczyć każdy grosz, to fortuna. Ci ludzie są biedakami. Kilkaset dolarów, tysiąc dolarów, potem jeszcze pięćset. *Bajadores* wiedzą, z kim mają do czynienia.

– Wydaje się, że to tak mało.

– Proszę pomnożyć to przez tysiąc. Przez dwa tysiące. Liczba uprowadzonych by pana zaszokowała, ale w Stanach do takich porwań dochodzi bardzo rzadko. Miejmy nadzieję, że Nita ma rację.

Zamilkliśmy i przez chwilę siedzieliśmy bez ruchu, wsłuchując się w głos jego żony rozmawiającej w sekretariacie z młodszym asystentem.

– Panie mecenasie, nie zna pan tego człowieka, ale może znają go pańscy znajomi albo ktoś, kto mógłby się czegoś dowiedzieć. Popytać. Proszę.

Locano patrzył na mnie i widziałem, że myśli. Zabębnił palcami w podłokietniki fotela i zawołał żonę.

– Liz. Możesz zaprowadzić pana Cole'a do łazienki?

Wstał, kiedy w drzwiach ukazała się żona, wstałem i ja.

– Proszę się nie spieszyć. Niech pan się dobrze umyje. Czystość jest bardzo ważna, nie uważa pan?

– Owszem.

– Więc proszę się nie spieszyć.

Elizabeth Locano uprzejmie wskazała mi łazienkę, gdzie od razu przestało mi się spieszyć. Łazienka była ładna, z oprawionymi w ramki dużymi zdjęciami prekolumbijskiego Teotihuacan w południowym Meksyku, które Aztekowie nazywali Miastem Bogów. Były to ruiny jednego z najpiękniejszych miast, jakie kiedykolwiek

zbudowano, miejsce, które zawsze chciałem zobaczyć. Zastanawiałem się, czy Locano zabrał tam swoją żonę.

Umyłem się dokładnie raz i drugi, bo dobrze jest być czystym, no i uznałem, że powinienem być grzeczny. Za drzwiami Locano omawiał moją prośbę z żoną, może nawet do kogoś dzwonił. Miałem nadzieję, że tak.

Właśnie patrzyłem na Piramidę Słońca, gdy zawibrowała moja komórka.

– Mówi pana przyszła żona.

Mary Sue Osborne.

Widzicie? One nigdy nie odpuszczają.

– Co się dzieje?

– No więc przejrzałam jej materiały. Nie znalazłam żadnego Sancheza ani kojota, ani nikogo innego. Przykro mi.

Znaczyło to, że pozostał mi tylko mecenas Locano. Jeśli nie zechce mi pomóc albo mu się nie uda, sprawa pytkoja Sancheza utknie w miejscu.

Właśnie jej dziękowałem, kiedy komórka zawibrowała ponownie i tym razem zadzwonił Pike.

– Muszę kończyć, Mary Sue. Dzięki.

– Tak bez pogawędki?

Przełączyłem się na rozmowę z Pikiem.

– Agencja detektywistyczna Elvisa Cole’a, najczystszej detektywa w branży.

– Jest gorzej, niż myślałeś.

On mówił, a ja patrzyłem na Aleję Zmarłych.

JOE PIKE:
sześć dni po uprowadzeniu Jacka
i Kristy

11

Pike popatrzył, jak jego przyjaciel Elvis Cole wyjeżdża z parkingu przed Burger Kingiem, po czym wprowadził do GPS-u współrzędne. Nie używał cywilnego systemu. Używał jego wojskowego odpowiednika, zaawansowanego odbiornika obronnego GPS, znanego również jako DAGR, czyli „sztylet”. „Sztylet” działał z precyzją samonaprowadzających się pocisków raketowych, był wyposażony w system przeciwwakłóceniowy oraz system kryptograficzny, dzięki któremu mógł łączyć się z satelitami wojsk powietrznych i lądowych. Cywile nie mieli prawa go posiadać, ale Pike korzystał z niego na odludnych terenach Afryki, Bliskiego Wschodu, Ameryki Środkowej i Południowej. Bywał tam głównie jako pracownik międzynarodowych korporacji wojskowych, ale pracował i dla amerykańskiego rządu. Ci z rządu dali mu „sztylet”, chociaż jego posiadanie było przestępstwem. Oni już tacy są.

Trzydzieści dwie minuty później Pike wysiadł z samochodu na drogę, sto metrów od rozbitego samolotu i porośniętego zielskiem pasa. Popatrzył na cessed, potem na otaczającą ją pustynię. Lądowisko było dobrze widoczne. Przemytnicy oczyścili pas ziemi szerokości dwunastu i długości siedmiuset pięćdziesięciu metrów, odrzucając kamienie na ciągnącą się wzdłuż niską pryzmę. Teraz, nawet po tylu latach, mimo licznych krzaków i kęp trawy, lądowisko tworzyło nienaturalnie płaską powierzchnię o prostych brzegach.

Pike wziął głęboki oddech i czekał, aż zapadnie cisza. Silnik dzipa pykał i tykał, ale pustynia, jak to pustynia, pochłaniała te dźwięki, tłumiąc je pustką. Na pustyni panuje pustka, której nic nie wypełni, i w miarę jak metal stygł, pykanie i tykanie zwalniało jak nienakręcony zegar, aż zapadła cisza.

Pike wziął kolejny oddech, jeszcze bardziej rozszerzając płuca i spowalniając rytm serca. Czterdzieści cztery uderzenia na minutę. Czterdzieści trzy. Czterdzieści. Chciał być cichy i nieruchomy jak pustynia. Najlepsi myśliwi tworzą z ziemią jedność.

Przeszedł przez krzaki i szybko znalazł pozostałości ogniska, które opisał mu Cole, i ślady opon oznaczone literą E. Wóz Trehorna, a tuż obok ślady kół wozu jego

kolegi. Oznaczył je w myśli jako „przyjazne”, by podczas dalszych oględzin nie zwracać na nie uwagi.

Rozpoznawszy te przyjazne, poszukał śladów podwójnych kół. Trudno je było znaleźć, tak jak trudno jest znaleźć ślady na piaszczystej plaży. Pustynne podłoże składało się z łupków wymieszanych z piaskiem, kamieniami i spieczoną przez słońce ziemią. Chociaż na nielicznych spłachetkach piasku ślady były dość wyraźne, te, które znalazł między kamieniami, miały długość ledwie kilkunastu centymetrów i wyglądały jak odcisk cienia.

Pracował ostrożnie i bez pośpiechu. Opadł na ręce, jakby chciał zrobić kilka pompek, nisko schylił głowę, zmienił pozycję i opuścił się tuż nad ziemię. Kiedy był pracownikiem kontraktowym, często wynajmowano go do obrony afrykańskich wiosek przed bandytami i kłusownikami. Misje te łączyły się z koniecznością tropienia niebezpiecznych ludzi w rozległym buszu i na suchej sawannie. Zatrudniał do tego masajskich wojowników. Masajowie byli szczupłymi tajemniczymi mężczyznami, którzy potrafili przez godzinę przyglądać się pochylonemu źdźbłu trawy albo dotykali drzewa, jakby umieli wyczuć ciepło Bantu, który obok niego przeszedł. Twierdzili, że drzewa i trawa do nich przemawiają, i próbowali pokazać mu to, co widzą i słyszą: stań się z nimi jednością, a będziesz widział bez patrzenia. Pike nigdy nie słyszał głosów ani nie widział tego co oni, ale nauczył się szukać i przekonał się, że aby coś znaleźć, trzeba być cierpliwym. Pike był cierpliwy.

Trzy łuski od naboju kalibru dziewięć milimetrów znalazł niemal natychmiast, bo błyszczały w słońcu jak miedziane lusterka. Znalazł również wyraźne ślady kół dwóch pojazdów wielkości pikapa, fragmenty trzech różnych odcisków buta, a potem ślady podwójnych kół. Cole miał rację: koła były duże, zamontowane jedno obok drugiego, każde szerokości około dwudziestu pięciu centymetrów. Duża ciężarówka pojawiła się w miejscu, gdzie nie powinno jej być. Pike obejrzał podwójne ślady i zauważył, że biegną równolegle do pasa startowego. Podążył za nimi, zauważając kolejne fragmenty śladów węższych, które to przecinały te szersze, to się pod nimi ukrywały. Te węższe nie biegły prosto, tylko gwałtownie skręcały w pustynny busz. Niektóre tworzyły szerokie koleiny, jakby szybko jadący samochód wpadł w poślizg. To go zastanowiło, ale poszedł dalej za śladami podwójnych kół.

Dwadzieścia metrów za samolotem ślady skręcały w stronę drogi, gdzie stał teraz dżip. Ciężarówka odjechała i tam się pewnie kończyły, dlatego zawrócił i poszedł w przeciwnym kierunku.

Trzydzieści metrów za wrakiem samolotu na ziemi zaroilo się od śladów butów, głównie ich fragmentów – krawędzi obcasów i podeszew – na tyle jednak dużych, że dało się zauważyć różnice w ich kształcie i wielkości. Zachodziły na siebie, jakby stała tu duża grupa ludzi. Pike przykucnął, by przyjrzeć im się z bliska, i spostrzegł, że ślady butów nakładają się na ślady podwójnych kół. Znaczyło to, że ludzie ci

znaleźli się tu po przyjeździe ciężarówki.

Coś nie dawało mu spokoju, więc cofnął się kilka metrów i stwierdził, że ślady opon prowadzące w stronę drogi są czyste. I że ślady butów pojawiają się na nich kilka metrów od drogi. Granica między strefą czystą i tą, gdzie nakładały się na ślady kół, była bardzo wyraźna.

Teraz już wiedział, że ciężarówka nadjechała z południa, podjechała do wraku i się zatrzymała. Wsiadła do niej lub z niej wysiadła grupa ludzi, po czym ciężarówka odjechała w stronę drogi, gdzie czekał teraz dżip.

– Mmm – mruknął.

Poszukał zagłębienia, jakie jej koła musiały zrobić w ziemi, kiedy stała. Znalazł pierwsze, potem trzy pozostałe. Zmierzył krokami odległość między tylnymi i przednimi, by sprawdzić rozstaw osi. Ciężarówka miała mniej więcej sześć metrów długości i ponad cztery metry szerokości. Była wielkości chłodni do rozwożenia mięsa albo ciężarówki, jaką można wynająć do przewiezienia mebli podczas przeprowadzki.

Zastanawiał się właśnie nad jej rozmiarami, gdy zauważył długi ślad poślizgu w miejscu, gdzie skręcając w busz, któryś z mniejszych pojazdów zmiażdżył kilka puchatych kaktusów. Poszedł za nim wzrokiem i odkrył wyraźną ścieżkę między połamanymi krzakami. Krzewy kreozytowe są duże i masywne i mogłyby uszkodzić pojazd, ale kierowcy było wszystko jedno. Na ziemi leżało pięć kolejnych łusek do nabojów kalibru dziewięć milimetrów.

Ten trop był dobrze widoczny. Połamane krzaki i głębokie koleiny w miejscach, gdzie koła traciły przyczepność, tworzyły szeroki łuk. Czterdzieści metrów od pasa startowego znalazł cztery wyraźne ślady hamowania i poślizgu. Kilka kroków dalej wypatrzył siedem łusek od dziewiątki i trzy żółte łuski z nabojów do strzelby. Ktoś podjechał tu na pełnym gazie, gwałtownie zahamował i otworzył ogień. Dwie sztuki broni, dwóch strzelców. Kogoś ścigali. Złapali. I zabili.

Pike obszedł ten teren, ale nie musiał długo szukać. Na pokrytych pyłem łupkach sześć metrów dalej znalazł rozlaną jak ameba brązową plamę. Kolor wypłowiwał, zlewając się niemal z kolorem pyłu, ale on widywał podobne plamy na pustyniach na całym świecie i wiedział, że kiedyś była to czerwień.

Zdarzyło się tu coś złego.

Ktoś tu zginął.

A zabójcy zabrali ciało.

Pike spędził tam godzinę i dwanaście minut. Dochodziła trzecia. Oznaczył to miejsce, pobiegł do samochodu i zadzwonił do Cole'a.

**ELVIS COLE:
cztery dni przed jego uprowadzeniem**

12

Kiedy powiedział, co odkrył, zrobiło mi się zimno.

– Duża grupa ludzi. Nie wiem ilu, ale ponad dziesięciu. Dwa, trzy mniejsze pojazdy otoczyły dużą ciężarówkę. Raczej trzy, ale nie da się tego potwierdzić.

– Ciężarówka przyjechała pierwsza? Tamci po niej?

– Ciężarówka nie uciekała. Kiedy zaatakowali, stała w miejscu.

– Śledzili ją?

– Albo wiedzieli, że przyjedzie, i czekali w pobliżu. Kierowca stanął, ludzie wysiedli i wtedy pojawili się tamci.

– Wszyscy zaczęli uciekać, ale tamci otoczyli ich i zapędzili z powrotem?

– Na to wygląda. Co najmniej jeden zginął. Sądząc po ilości krwi, oberwał kulę.

– Jezu.

– Uhm.

– A te dzieciaki? Znalazłeś więcej śladów?

– Nie, ale mogę zostać dłużej.

Właśnie się nad tym zastanawiałem, gdy zza drzwi wychynęła głowa starannie ostrzyżonego blondyna, który powiedział, że mecenas Locano już czeka. Mówił z lekkim rosyjskim akcentem i miał na palcu sygnet z Uniwersytetu Kalifornijskiego. Asystent. Powiedziałem Pike'owi, że oddzwonię, i wróciłem do gabinetu. Tak jak poprzednio Locano siedział przy biurku i wstał, ale tym razem nie usiedliśmy.

– Jest pewien człowiek... – zaczął.

– Jak zawsze, prawda?

– Rudy Sanchez. Rudolfo. Pan Sanchez ma ustaloną reputację i wiadomo, że miał z tym do czynienia.

– Dziękuję. Obiecuję, że nikt się nie dowie, skąd wiem.

– Chwileczkę. Dam panu adres.

Dał mi białą wizytówkę, na której napisał „Holowanie – Sanchez i Synowie”; pod spodem był adres w Coachelli. Zarówno nazwa firmy, jak i adres bardzo mnie zaskoczyły.

– Mieszka w Coachelli?

– To podobno Amerykanin i naprawdę ma firmę holowniczą.

Schowałem wizytówkę. Ktoś taki czułby się pewnie, prowadząc dużą ciężarówkę po wyboistej pustyni, ale ta dziwna zbieżność mogła być zupełnie przypadkowa. Sanchez Kristy i Rudy Sanchez mogli być dwiema różnymi osobami, Mary Sue mogła źle rozszyfrować napis i Sanchez z karteczki mógł nie być żadnym kojotem, tylko nieśmiałym flirciarzem, któremu spodobał się chłopak Kristy. Rudy Sanchez mógł nigdy nie słyszeć o Kriście Morales ani ona o nim.

– Czekając, rozmawiałem z moim współpracownikiem. Wygląda na to, że na pustyni są ślady uprowadzenia.

– Kristy?

– Konkretnie jej nie, ale to, co znalazł, źle wygląda.

– W takim razie pozostaje nam tylko mieć nadzieję.

Locano ściągnął usta, jakby chciał coś dodać, w końcu spytał:

– Słyszał pan o tych masowych grobach na południe od granicy?

Kiwnąłem głową. Groby z dziesiątkami zamordowanych ofiar, które tam czasem znajdowano, były tak przerażające, że wiadomość o nich trafiała do krajowych serwisów informacyjnych.

– To są właśnie imigranci porwani dla okupu, panie Cole. *Bajadores* nie pozostawiają świadków. Dlatego dopóki nie dowiemy się czegoś więcej, bądźmy dobrej myśli.

Podziękowałem mu za pomoc i wróciłem do samochodu. Chciałem porozmawiać z Pikiem, ale kiedy tylko wsiadłem, zadzwoniła Starkey.

– Sprawdziłam tego mustanga. Możesz rozmawiać?

– Jasne.

– Ten samochód nie ma właściciela.

– Jak to nie ma?

– Właścicielem nie jest konkretna osoba. Według bazy danych wydziału komunikacyjnego wóz należy do funduszu powierniczego Arrowhead. To znaczy, że ten, kto nim jeździ, nie kupił go jako osoba fizyczna, tylko przez fundusz, albo kupił go i przekazał funduszowi prawo własności. Milionerzy robią tak, żeby uciec od podatków.

– Wiem, Starkey. Dzięki.

– Wiem, że wiesz. Po prostu ci mówię. Chcesz adres?

– Tak.

Adres, który mi podała, różnił się od znalezionej przez Mary Sue adresu z komputera Kristy. Siedziba Arrowhead Trust mieściła się przy bulwarze Wilshire, niedaleko uniwersytetu, w okolicy, gdzie roilo się od korporacyjnych biurów.

– Wilshire sto osiem-osiemdziesiąt sześć, dziesiąte piętro. Westwood dziewięćset-dwadzieścia cztery.

Powtórzyła, zanim zdążyłem ją o to poprosić. Chociaż fundusze mogły kupować i kupowały wszystko, co chciały, fordymustangi nie należały do ich typowych nabytków. Fundusze powiernicze lokowały pieniądze w czymś o wiele droższym, w jachtach, ferrari czy luksusowych domach za miliony dolarów.

– Starkey – spytałem – jesteś teraz w biurze?

– Tak. Na dzisiaj skończyłam. Chcesz po mnie wpaść?

– Nie. Chciałbym, żebyś sprawdziła dla mnie pewne nazwisko. Rudolfo albo Rudy Sanchez. Ma firmę w Coachelli. Holowanie, Sanchez i Synowie.

Podaliśmy jej namiary i wyjaśniłem, czym się facet zajmuje. Jeśli kiedykolwiek aresztowano go na terenie Kalifornii, jego nazwisko i przeszłość kryminalna figurowały w rejestrach Kalifornijskiego Departamentu Sprawiedliwości. Słyszałem, jak Starkey klnie, stukając w klawiaturę, i wcale się jej nie dziwiłem. Musiała wprowadzić do systemu numer sprawy i swój numer służbowy, co znaczyło, że dowie się o tym jej przełożony i że będzie musiała się przed nim tłumaczyć. Sfabrykowanie wiarygodnego powodu, dla którego szukała informacji o Rudolfie Sanchezie, było proste, wkurzała ją tylko papierkowa robota.

Przestała kląć i zniżyła głos.

– Kim jest dla ciebie ten Sanchez?

– Jeśli to ten, mógł mieć kontakt z kobietą, której szukam. Ale nie wiem, czy to na pewno ten. Dowiem się, kiedy z nim porozmawiam.

– No to powodzenia.

– Znalazłaś go?

– Jasne. Nienotowany. Nie dostał nawet mandatu.

Mam spóźniony refleks.

– To dlaczego jest w systemie?

– Bo w sobotę po południu znaleziono go z kulą w głowie. W Salton Sea.

Naszły mnie mdłości, jakbym miał nadmiar kwasu w żołądku.

– To na pewno ten?

– Tak, Cole, na pewno. Rudolfo Sanchez z Coachelli.

– Właściciel firmy holowniczej?

– Chryste, mam go właśnie na ekranie. Holowanie, Sanchez i Synowie, Coachella, Kalifornia. To twój Rudolfo. W zeszłą sobotę pływał na plecach w słonym jeziorze.

W sobotę. Krista Morales i Jack Berman zniknęli w piątek wieczorem.

Starkey czytała dalej:

– Brak podejrzanych, wszelkie informacje kierować do sierżanta Mike'a Bowersa z posterunku w Coachelli, bla-bla-bla, bla-bla-bla.

Pomyślałem o Pike'u i o tym, co znalazł na pustyni.

– Z jakiej broni go zastrzelono?

– Z dziewiątki. Oberwał pięć kul z dziewiątki i ładunek śrutu. Pistolet i strzelba.

Wiesz coś o tym?

- Tylko to, co ci powiedziałem.
- Co to za kobieta?
- Studentka.
- Powinam o czymś wiedzieć?
- Jest tak, jak mówię, Starkey. Nie wiem nawet, czy to na pewno ten Sanchez.

Wiesz, ilu ich tu mieszka?

- Wiem, że to ósme z najbardziej popularnych hiszpańskich nazwisk w Stanach.

Jest ich mnóstwo.

- Właśnie. Dlatego muszę wracać do roboty.
- Cole, lepiej nic przede mną nie ukrywaj. Rozumiesz?
- Rozumiem.

Rozłączyłem się i popatrzyłem na komórkę. Potem spojrzałem na adres. Coachella, Sanchez i Synowie. Było trzy po czwartej. Zadzwoiłem do Pike'a.

- Jesteś tam jeszcze?
- Tak.
- Wracam.

13

Od Coviny do Pomony na międzystanówce I-10 był duży ruch, mimo to pod Ontario zadzwoniłem na informację. Okazało się, że w pustynnych miasteczkach i osiedlach mieszka w sumie trzydziestu dwóch Sanchezów. Jeden figurował w spisie jako Rudolfo Junior, jeden jako Rudy. Adres zamieszkania Rudy'ego był taki sam jak adres jego miejsca pracy. Rudolfo Junior miał mieszkanie w Coachelli.

Zapisałem adres i numer telefonu juniora i poprosiłem o numer firmy holowniczej Sancheza i synów.

– Pomoc drogowa czy biuro?

– Biuro.

Telefonistka połączyła mnie i po trzecim sygnale odezwał się jakiś mężczyzna.

– Holowanie.

– Hej, mówi Billy Dale. Nie wiedziałem, że jesteście otwarci. Po tym wszystkim...

– Jesteśmy.

– Czy to Rudy Junior?

– Eddie. Chwileczkę, zaraz go dam.

– Nie, nie trzeba. Pan też jest jego synem, tak? Tak myślałem. Chciałem tylko złożyć wam kondolencje. Słyszałem, co się stało, i Chryste, zważyło mnie to z nóg.

Eddie zawahał się i odprężył.

– Dzięki. Jestem Eddie, ten środkowy. Tak, bardzo nas to przybiło.

Środkowy syn – a więc było ich trzech. W firmie musiał być teraz co najmniej jeszcze jeden.

– Złapali tego, kto to zrobił? To niemożliwe, żeby sukinsynowi odpuścili. Rudy był wspaniałym facetem.

– Nie, jeszcze nikogo nie aresztowano. Dzięki, że pan zadzwonił.

– Niech pan posłucha, robiłem interesy z waszym tatą. Mógłbym do was wpaść na chwilę?

– Pracujemy do szóstej.

– Super. Dzięki.

Super.

Dawało mi to pięćdziesiąt dwie minuty.

Zadzwońłem do Pike'a i przez Fontanę dojechałem do Redlands, gdzie autostrada skręca na południe, do przełęczy Banning. Z pustyni Pike miał znacznie bliżej.

– Będę tam za pół godziny. A ty?

– Stoję po drugiej stronie ulicy, za jakimś magazynem. Nie jestem sam.

– To znaczy?

– Budka z tacos na rogu naprzeciwko. Azjata w brązowym subaru. Opuszczone szyby. Kiedy przejeżdżałem obok drugi raz, miał w rękach lornetkę.

– Policja?

– Wszystko jedno. Obserwuje.

Zastanawiałem się, czy policja dowiedziała się, że Rudy Sanchez był kojotem, czy wiedziała o tym od samego początku. Ich obecność utrudniłaby mi rozmowę z braćmi, aleby jej nie uniemożliwiła.

– Dobra. Co widzi?

– Pięciu mężczyzn na podwórzu, jeden wyjechał właśnie lawetą. Dużo ciężarówek. Małe biuro z tyłu. Wygląda na prawdziwą firmę.

– Locano mówi, że są czyści. Rozmawiałem z jednym z braci.

– Myślisz, że wiedzą?

– Zobaczymy. Zamykają o szóstej. Będę tam za dwadzieścia pięć minut. Zerknę i coś wymyślimy.

– Po drugiej stronie autostrady, kilka przecznic na zachód, jest market Ralpa. Znajdziesz mnie.

Pike rozłączył się, a ja przyspieszyłem.

Coachella okazała się miasteczkiem o niskiej, płaskiej zabudowie, zupełnie szarym mimo licznych kanałów nawadniających. Wszystkie domy były z nagich pustaków albo z pustaków otynkowanych i większość wyglądała jak magazyny. Spragnione drzewa walczyły z suchym upałem, a splechotki trawników nigdy nie były zielone, jakby swój prawdziwy kolor ukrywały pod cienką warstwą kurzu, który mieszkańcy regularnie zmiatali i który zawsze z nimi wygrywał. W łagodnym pustynnym wietrze, niczym czarodziejski pył, spadały z nieba drobinki miążkiego piasku. Miasteczko wyglądało jak hurtownia albo tani outlet.

Kiedy dotarłem na miejsce, Pike'a już nie było, ale tuż obok malutkiej białej budki z tacos, z dobrym widokiem na podwórze firmy holowniczej, wciąż parkowało brązowe subaru. Kierowca siedział za kierownicą dokładnie tak, jak mówił Pike: był w ciemnych okularach, jakby myślał, że jest w nich niewidzialny, i w stylowym szarym kapeluszu z płaskim denkiem. Przed budką czekało w kolejce trzech brudnych, obszarpanych mężczyzn. Nie zwracali uwagi na tego w kapeluszu, on nie zwracał uwagi na nich. Obserwował podwórze.

Sanchez i Synowie była dużą firmą holowniczą po niewłaściwej stronie

autostrady. Ogrodzenie z siatki otaczało podwórze wraz z małym budynkiem biurowym, który był kiedyś stacją benzynową. Czarne napisy na kilku tablicach głosiły: „WYMIENŃ WRAKA NA GOTÓWKĘ! SKUPUJEMY STARE SAMOCHODY! SERWIS DWADZIEŚCIA CZTERY GODZINY NA DOBĘ PRZEZ SIEDEM DNI W TYGODNIU! HOLOWANIE NA TERENIE CAŁEGO KRAJU!”. Za tablicami parkowało sześć białych ciężarówek z firmowym logo Sanchezów: dwie lekkie półciężarówki ze sztywnym holem, dwie małe lawety z niebieskimi dźwigami i dwie lawety na tyle duże, że zmieściłby się na nich samochód kempingowy. Brama była otwarta i powiewała na niej żałobna wstęga. Jedną z ciężarówek mył węzem młody mężczyzna w zatłuszczonej niebieskiej koszuli roboczej. Pod maską innej pracował jego starszy kolega. Żaden nie był uzbrojony ani nie robił wrażenia groźnego, ale nie oczekiwałem tu bandytów. Bardziej niepokoił mnie kapelusznik w subaru. Policja odwiedziła ich pewnie w dniu, kiedy zidentyfikowano ciało. Zależnie od tego, czego się dowiedzieli, najpierw poinformowali rodzinę i pracowników, a potem wy pytali ich, co robili w dniach poprzedzających morderstwo. Jeśli wciąż obserwowali podwórze, znaczyło to, że wiedzą o pozasłużbowych zajęciach Rudy'ego Sancheza – albo że od jakiegoś czasu go podejrzewali – co mogło utrudnić zdobycie informacji o Kriście. Trzy minuty później zaparkowałem obok wozu Pike'a i wysiadłem. Stanęliśmy między samochodami, żeby pogadać.

– Kapelusznik? – spytał Pike.

– Tak jak mówiłeś, wciąż tam siedzi.

– Mm.

– Pójdę sam, ty go popilnujesz.

– Co z braćmi?

– Wybadam ich. Mogą nawet nie wiedzieć, co robił ich ojciec.

Pike odwrócił się bez słowa, wsiadł do dżipa i odjechał. Gaduła.

Sześćdziesiąt pięć sekund później zaparkowałem naprzeciwko bramy i gdy ruszyłem w stronę biura, nie zwrócił na mnie uwagi nikt oprócz kapelusznika. Mężczyzna z węzem wciąż mył ciężarówkę, inny, którego przedtem nie widziałem, wsiadł do półciężarówki, wycofał i wyjechał na ulicę. Pewnie na pomoc jakiemuś pechowemu kierowcy. Nie widziałem Pike'a i nie wiedziałem, gdzie jest, ale tamci też tego nie wiedzieli. A już na pewno nie kapelusznik.

Wszedłem do biura i uderzyła mnie fala zimnego powietrza. Przy biurku siedziało dwóch mężczyzn, jeden odchylił się do tyłu z fotelem, drugi, obok biurka, z wyciągniętymi nogami. Spojrzeli na mnie. Młodszy dobijał trzydziestki, starszy, ten w fotelu, był tuż po trzydziestce. Młodszy był w niebieskiej koszuli roboczej z napisem „Eddie” wyszytym na lewej piersi, starszy – w jaskrawozielonej koszuli w żółte palmy i różowe flamingi. Był to pewnie Rudy Junior. Obydwaj mieli podbite

oczy i guzy na kościach policzkowych, a Juniorowi spuchła górna warga. Podobieństwo było widać mimo sińców.

– Hej – powiedziałem.

– Hej – odparł ten starszy. – Czym możemy służyć?

– Kilka minut temu rozmawiałem z Eddiem. Pan jest Rudy Junior?

Rudy uniósł brwi i spojrzał na brata, który rozpoznał mój głos.

– To ten, co dzwonił. Znał ojca.

Przeniosłem wzrok na Juniora.

– Moje kondolencje.

– Eddie mówi, że robił pan z ojcem interesy.

– Tak. Szukam Kristy Morales. Znacie ją?

Bracia spojrzeli na siebie i Eddie pokręcił głową.

– Przykro mi, przyjacielu – odparł Junior. – A powinniśmy?

– Jestem pewien, że wasz ojciec ją znał, a przynajmniej z nią rozmawiał. Miałem nadzieję, że wiecie o czym. Proszę, spójrzcie, co napisała...

Wyjąłem i pokazałem im kartkę. Oni czytali, a ja popatrzyłem na czarno-białe zdjęcie na ścianie, przedstawiające Eddiego i Rudy'ego Juniora z mężczyzną, który mył ciężarówkę na podwórzu, i z mężczyzną znacznie starszym od nich. Ten starszy musiał być ich ojcem. Wszyscy się uśmiechali.

Eddie przeczytał napis na głos.

– „Pytkoj Sanchez”. Co to znaczy?

– Spytajcie kojota Sancheza. Krista zbierała informacje o nielegalnych z południa. Ojciec nic wam o tym nie mówił?

Mówiąc, obserwowałem Juniora, próbując zbadać jego reakcję. Eddie wstał, wstał i Junior, zdecydowanie i z wyraźnym zamysłem.

– Kto ty jesteś?

– Szukam Kristy Morales. Przyjechałem w jej sprawie. Nic innego mnie nie interesuje.

– Kurwa, to agent – powiedział Eddie.

Rudy Junior wzruszył ramionami.

– Wszystko jedno. Znalazł nie tego Sancheza. Nas jest dużo. Tak jak Smithów i Jonesów, tylko że my jesteśmy brązowi.

– Może spytamy waszego młodszego brata? Może on coś wie.

Junior wskazał okrągły zegar na ścianie. Ten był bez Pinokia.

– Jest szósta. Już nie pracujemy. Niech pan wyjdzie albo wezwę policję.

– Pieprzony agent – mruknął Eddie.

Łypali na mnie spode łba, gdy Eddie spojrzał nagle ponad moim ramieniem i zmartwił.

– O kurwa.

Odwrociłem się, Rudy Junior sięgnął za biurko po kij bejsbolowy i wtedy otworzyły się drzwi.

Najpierw wszedł potężnie zbudowany Azjata w ładnym garniturze i okularach przeciwsłonecznych. Urodził się z grubą szyją i grubymi kośćmi, a od częstych wizyt na siłowni nabawił się ostrych kantów i surowych krawędzi. Uśmiechnął się na widok kija, zrobił przejście i dwóch kolejnych Azjatów wepchnęło do środka trzeciego brata. Nie mógł mieć więcej jak dziewiętnaście lat. Azjaci byli szczupli, stanowczy i srodzy i coś mi mówiło, że nie są z policji.

Ten, który trzymał najmłodszego Sancheza za ramię, odezwał się do Rudy'ego, jakby mnie tam nie było, chociaż stałem ledwie krok dalej.

– Daliśmy wam czas – warknął. – Teraz płąćcie.

Mówił z silnym obcym akcentem, każde słowo brzmiało jak eksplozja.

Junior wskazał mnie ruchem głowy. Bał się, ale bardziej tego, co tamci mogą zrobić bratu, niż tego, co mogę usłyszeć.

– Puśćcie go. Nie widzicie, że mamy klienta? Gadamy o interesach.

Do tej pory Azjaci patrzyli na mnie, jakbym był niewidzialny, ale teraz ten, który przytrzymał najmłodszego Sancheza, łamaną angielszczyzną warknął:

– Ty wyjdź. Przyjdź jutro.

Spojrzałem na Sanchezów, zastanawiając się, co jest grane. Nie podobało mi się to, jak Azjaci trzymają tego najmłodszego, ani to, że każą mi wyjść, ani wreszcie to, że mimo trzydziestosiedmiostopniowego upału są w garniturach.

– Ty wyjdź – powtórzył głośniejsz Azjata.

– Pracuję dla rządu – odparłem. – Przyjechałem, żeby zepsuć wam dzień.

Azjata warknął coś w języku, którego nie rozumiałem, i paker z grubą szyją wyciągnął do mnie rękę. Był ode mnie cięższy i pewnie silniejszy, ale nie zdążył wykorzystać ani jednego, ani drugiego. Jednym płynnym ruchem odtrąciłem jego rękę, lewą nogą zrobiłem wykrok i kolaniem prawej grzmotnąłem go w wątrobę. Facet upadł, wtedy w drzwiach stanął Pike, który podciął nogi temu drugiemu i wbił mu twarz w podłogę. Jednocześnie wyjął rewolwer i wycelował w tego, który tak warczał, podobnie jak ja. Wszystko razem trwało trzy czwarte sekundy.

Uśmiechnąłem się do Azjaty.

– Ładny garnitur.

Ten puścił Sancheza i chłopak podbiegł do braci. Wtedy Azjata coś powiedział, ale znowu nic nie rozumiałem.

– Koreańczyk – rzucił Pike.

Koreańczyk nie robił wrażenia wystraszonego.

– Musicie wyjść. Idźcie. Już.

Pike zabrał im pistolety i schował je do kieszeni.

Spojrzałem na braci. Nie wyglądali na bandziorów ani na kojotów. Wyglądali jak

trzy przerażone zające w świetle samochodowych reflektorów.

Wskazałem pistoletem Azjatów.

– Kto to jest?

Rudy Junior oblizwał usta i pokręcił głową. Za bardzo się bał, by coś powiedzieć.

– Wezwać policję?

Junior znowu pokręcił głową, ale dla Koreańczyka to było za mało.

– Są nam winni pieniądze. Nie mieszajcie się.

– Nieprawda – odezwał się Junior. – Już ci mówiłem. Syryjczyk ich zabrał. Nie wiem, co jeszcze powiedzieć.

Niemal go błagał.

Paker poruszył się, jakby chciał wstać. Odwiodłem kurek i wycelowałem mu w głowę, ale odezwałem się do tego drugiego.

– Jeśli wstanie za szybko, zrobię mu krzywdę.

Koreańczyk spojrzał na mnie, jakby zastanawiał się, czy ciągnąć to dalej, i nagle kopnął pakera w plecy, krzycząc coś w swoim języku. Kopnął go jeszcze dwa razy i nagle usłyszeliśmy głośne buczenie. Koreańczyk włożył rękę do kieszeni, wyjął wibrującą komórkę i spojrzał w okno. Podążyliśmy za jego wzrokiem.

Z ciemnoszarego czterodrzwiowego sedana wysiadało trzech mężczyzn. W koszulach z krótkimi rękawami i krawatach, marynarki trzymali na ręku jak ktoś, kto nie ma ochoty ich wkładać. Patykowaty Afroamerykanin i blady, biały łysol wysiedli z przodu. Z tyłu wysiadł szczupły, wysportowany, dobrze zbudowany mężczyzna o krótko ostrzyżonych rudych włosach. Poruszali się niespiesznie, rozglądając się wokoło, jakby lustrowali wzrokiem teren albo jakby upewniali się, że nikt ich nie zastrzeli. Domyśliłem się, że to gliny, zanim ten patykowaty wyjął z samochodu małą kaburę i przypiął ją sobie do pasa obok służbowej odznaki.

– To policja – powiedział Rudy Junior. – Ten czarny to detektyw Spurlow.

Koreańczyk, ten główny, spojrzał na mnie i pomógł kumplom wstać.

– A ten łysy to Lance – ciągnął Junior. – To oni zawiadomili nas o śmierci ojca. Tego trzeciego nie znam.

– Lange – poprawił go Eddie. – Lange, nie Lance.

Policjanci z trudem włożyli marynarki, bo przywierały do ciała.

Koreańczyk, ten główny, podszedł bliżej, jakby chciał mi wyrwać serce.

– Masz broń. Oddaj.

– Nie on – rzucił Pike. – Ja.

Azjata patrzył na niego przez chwilę, potem uśmiechnął się, jakby sobie odpuścił, i ruszył do drzwi. Jego przydupasy poszły za nim. Uśmiechnęli się do policjantów, wsiedli do czarnego bmw i odjechali.

– Teraz uważaj – powiedział Pike.

Kiedy mijali kapelusznika w subaru, ten skinął im głową. Chwilę później usiadł

prosto i odpalił silnik.

Pike potruchtał do tylnych drzwi i zniknął.

Policjanci spotkali się przed samochodem i ruszyli w naszą stronę. Nie spieszyli się, mieli blisko.

Rudy patrzył na mnie. Poruszał ustami przerażony tym, co mogę zaraz zrobić.

– Kto to był? – spytałem.

– Nie wiem. Ojciec robił z nimi jakieś interesy.

Oblizął usta, zerknął na zbliżających się policjantów, potem na mnie.

– Jeszcze tu wrócę.

Wyszedłem frontowymi drzwiami, tak jak Koreańczycy, jak obcy obcemu skinąłem głową policjantom i wymamrotałem coś o koszmarnej upale. Spurlow odpowiedział mi skinieniem, Lange mnie zignorował, ale ten rudy spojrzał mi prosto w oczy i już nie odpuścił.

Szedłem dalej jak ktoś, kto po dniu pracy wraca do samochodu, ale pozory mylą. Każdy mój krok był wystudiowany i starannie odmierzony, z każdym miałem nadzieję, że tamci mnie nie zatrzymają.

Kiedy doszedłem do bramy, Spurlow i Lange byli już w środku, ale rudy wciąż stał w drzwiach. Obserwował mnie oczami tak bardzo zmrużonymi, że wyglądały jak szparki.

Wsiadłem do samochodu, zadzwonił Pike.

– Subaru wjechało na autostradę. Bmw jest gdzieś przed nimi.

– W którym jadą kierunku?

– Na Los Angeles.

– Znajdź beemę. Jedź za nią. Ja tu jeszcze zostanę.

Skręciłem za róg i zaparkowałem za budką z tacos, by poczekać na policję.

**JACK I KRISTA:
dziewięć godzin po uprowadzeniu**

14

Wypędzono ich z czerni, przepędzono przez krwawoczerwony świat i zapędzono do miejsca zalanego tak jaskrawym światłem, że Krista zamknęła oczy. Kiedy je otworzyła i zmrużyła, noga za nogą szli przez jakiś dom, Jack tuż za nią. Wtedy po raz pierwszy wyraźnie zobaczyła pozostałych. Byli tam głównie Azjaci, ale także kilku Latynosów i ludzi, którzy mogli pochodzić z Bliskiego Wschodu i z Indii. Kiedy tak szli, obszukiwano ich jednego po drugim. Zabierano im paski i buty i rzucano je na rosnącą stertę. Pilnowało ich i popychało sześcioro czy siedmiu mężczyzn z elektrycznymi pałkami i kijami. Krista nie patrzyła na nich. Aby uniknąć kontaktu wzrokowego, szła ze spuszczoną głową.

Dom był obskurny i bez mebli. Jaskrawe światło biło z nagich stuwatowych żarówek. Idący zwolnili i wepchnięto ich do małego pokoju.

– Kurwa – szepnął idący za Kristą Jack. – Stąd nie da się uciec.

Do okien były przyśrubowane grube panele ze sklejki, które całkowicie je zasłaniały. Na podłodze leżała poplamiona wykładzina, za wąskimi drzwiami była pusta szafa, a na mdławoniebieskich ścianach roiło się od zrobionych kredkami znaków i dziur w miejscach, gdzie zerwano taśmę samoprzylepną i wyrwano gwoździe. W kącie czekał pusty plastikowy kubek, rolka papieru toaletowego i zgrzewka wody.

Krista domyśliła się, że są w chłopięcej sypialni. Pokój był mały; szybko się zapełnił i zamknięto drzwi.

Nikt się nie poruszył. Ludzie jakby na coś czekali, jakby byli zbyt zaszokowani czy przerażeni, by wykonać jakikolwiek ruch.

Krista i Jack też znieruchomieli. Po chwili Krista odwróciła się do niego, on ją przytulił i stali tak wśród płaczących ludzi.

Krista też się rozpląkała, a on stłumił szloch.

– Nazywam się Samuel Rojas – powiedział mężczyzna. – Możesz mówić mi Sam.

Widział, że jest Latynoską, więc mówił po hiszpańsku, a ona odpowiedziała w tym samym języku, udając Meksykankę.

Zabierano ich z pokoju na chybił trafił. Otwierały się drzwi, jeden z nich

wchodził, wskazywał kogoś i go wyprowadzał. Po kilku minutach wszyscy wracali cali i zdrowi, dlatego Krista nie wystraszyła się, kiedy strażnik, ten, który przedstawił się teraz jako Samuel Rojas, wskazał właśnie ją. Jack chwycił Kristę za rękę, ale zabrała ją łagodnie i powiedziała, że wszystko będzie dobrze.

Rojas zaprowadził dziewczynę do kuchni i usiedli naprzeciwko siebie na brudnej podłodze. Idąc za nim, widziała innych strażników, którzy rozmawiali z więźniami w salonie i jadalni. Zauważyła również, że okna w tych pomieszczeniach są zasłonięte taką samą grubą sklejką, okna, a także frontowe drzwi. Z przyprawiającą o mdłości pustką w żołądku zdała sobie sprawę, że więzieniem jest cały dom i mimo klimatyzacji w kuchni zrobiło się nagle jeszcze goręcej.

Kiedy usiedli, Rojas otworzył notes ze spiralnym grzbietem. Na okładce widniał stający dęba jednorożec.

– Jak się nazywasz?

– Krista Morales.

– Skąd jesteś, Kristo?

– Z Hermosillo. Z Sonory.

– Piękne miasto. Zawsze chciałem tam pojechać. Jestem z Torreon w Coahuili.

U nas nie jest tak ładnie.

Rozmawiając, Rojas notował. Miał dodający otuchy uśmiech i łagodny głos.

Z sąsiedniego pokoju dobiegały dźwięki jakiegoś azjatyckiego języka i krzyki sfrustrowanych strażników. Mówili po hiszpańsku i nie mogli dogadać się z więźniem.

– Masz rodzinę w Hermosillo?

– Nie, jestem ostatnia. Ciocia, z którą mieszkałam, niedawno zmarła.

– To straszne. Dlatego jedziesz na północ?

– Tak. Tam nic już nie zostało.

– Masz na północy rodzinę albo pracę?

– Mamę.

Rojas uśmiechnął się i Krista wiedziała już, że to był celny strzał. Rozpaczliwie próbowała przypomnieć sobie wszystko, co wiedziała o *bajadores*, i to, co mówili jej uchodźcy z Gwatemali.

– To świetnie. Mama w nowym domu. Gdzie mieszka?

– W Los Angeles. W Eagle Rock.

– Bardzo dobrze. Czeka na ciebie?

– Tak. Wysłała po mnie syna przyjaciółki.

Rojas przekrzywił głowę.

– Syna przyjaciółki?

– Tak, nazywa się Jack Berman. To ten biały Amerykanin. Kiedy nas zabraliście, czekał przy samolocie.

Rojas oblizał usta i zerknął w stronę salonu.

– On tu jest?

– Tak. W pokoju.

Rojas podszedł do drzwi i przywołał kogoś gestem ręki. Chwilę później podszedł do niego ciemnoskóry mężczyzna o długich włosach i malutkich, czarnych oczach. Patrzył na nią, kiedy Rojas szeptał mu coś do ucha. Porozmawiali, mężczyzna odszedł i Rojas wrócił na miejsce.

– Czy mama ma dobrą pracę?

– Jest gospodynią domową.

– Bardzo dobrze, stała praca. Masz jeszcze kogoś? Ciocię, wujka albo kuzynów?

– Nie. Tylko mamę.

Rojas szybko coś zapisał.

– Jak się mama nazywa i jaki jest jej numer telefonu?

– Dlaczego pan pyta?

– Zanim cię do niej zawieziemy, będzie musiała zwrócić nam koszty. Tak, to bardzo niefortunne, ale jak tylko nam zapłaci, pojedziesz do domu.

– Mama jest gosposią.

– To bardzo dobra, stała praca, więc pewnie ma oszczędności albo hojnego chlebodawcę. Pozwolimy ci do niej zadzwonić. Ale nie teraz, potem.

Krista podała mu nazwisko matki i jej numer komórki. Podczas gdy Rojas zapisywał to w notesie, z pomieszczenia gospodarczego drzwiami, którymi wprowadzono ich do domu, wyszło dwóch mężczyzn. Jeden był wysoki i ciemnoskóry, z zapadniętymi policzkami i twarzą jastrzębia. Krista pomyślała, że to mocno opalony biały Amerykanin, ale potem stwierdziła, że to Arab. Drugi był niskim, brzuchatym Latynosem o szerokich barach. Ten wysoki spojrzął na nią bez żadnego zainteresowania. Był w obcisłych dżinsach z butiku i koszuli z dzianiny odsłaniającej nadmiernie wyrobione mięśnie ramion i rąk. Długie, czarne włosy miał ściągnięte w kucyk. Zerknął na nią, przeszedł przez kuchnię, zajrzał do salonu i zawołał jakiegoś Vasco. Niemal natychmiast wyrósł przed nim mężczyzna o malutkich oczach, który powitał go z szerokim uśmiechem. Krista zauważyła, że ma wyszczerbione i połamane zęby, jakby uczestniczył w licznych bójkach i ani razu nie był u dentysty. Mężczyźni zniknęli w głębi domu.

Brzuchaty Latynos trącił nogą Rojasa i powiedział:

– Jest żarcie. Chodź, Syryjczyk nie chce tu siedzieć przez całą noc.

Rojas odpowiedział po angielsku:

– Wal się, Orlato. Nie jestem twoim pieskiem.

– Powiesz mu to, kiedy się dowie, dlaczego musi czekać. Wtedy zobaczymy, czyim jesteś pieskiem.

Orlato znowu trącił go nogą.

- No chodź, niech ta *puta* ci pomoże. To tylko kilka pudełek. Ilu ich macie?
- Trzydziestu dwóch.
- Spoko.

Rojas przeszedł na hiszpański i kazał Kriście iść za sobą. Zaprowadził ją do pomieszczenia gospodarczego, potem do garażu. W pomieszczeniu gospodarczym stała pralka i suszarka. Boczne drzwi były zabezpieczone sklejką, tak jak okna. Aby je otworzyć, najpierw trzeba było zdjąć sklejkę, ale przykręcono ją do ramy kilkunastoma śrubami.

Kiedy ich tu przywieziono, ciężarówka wjechała tyłem do garażu i zanim wysiedli, jej drzwi osłonięto czarnym plastikiem. Teraz jej nie było, tak jak nie było przyćmionych czerwonych świateł, a w garażu stał tylko grafitowy suv lexus i długie, niebieskie bmw.

- To chyba pepperoni – powiedział Rojas. – Pyszota!

W bmw były trzy sterty wielkich pudełek z pizzą, po pięć w każdej. Rojas podał Kriście pięć, sam wziął dziesięć i dwie plastikowe reklamówki z zakupami. Poszli z powrotem do pomieszczenia gospodarczego i idąc między samochodami, zauważyła włącznik na ścianie przy drzwiach do garażu. Z włącznika wybiegał przewód, który przeciąwszy sufit, zniknął pod obudową silnika elektrycznego. Od razu domyśliła się, że jest to włącznik otwierający i zamykający główne drzwi.

Patrzyła nań z bijącym sercem. Narobiłaby hałasu i straciła wiele cennych sekund, zanim drzwi by się podniosły, ale wystarczyło tylko go nacisnąć i byłaby wolna.

Zaraz potem weszli do pomieszczenia gospodarczego. Tak jak wszystkie inne było małe i ciasne i idąc, Rojas wpadł na pralkę. Dwa górne pudełka zsunęły się ze sterty, a kiedy próbował je złapać, z trzaskiem spadły trzy kolejne. Rojas zaklął i kazał jej je podnieść. Kładąc swoje pudełka na pralce, zauważyła kwadratową klapę w suficie. Kłapa nie była zabezpieczona sklejką, aby serwisanci mieli swobodny dostęp do urządzeń klimatyzacyjnych czy biegnących tam rur.

- Dość wysoko, ale mogłaby jej dosięgnąć, stając na pralce.

Krista Morales, dziewczyna bystra i pomysłowa, zaczęła opracowywać plan.

15

Pięć sekund po tym, jak ją zabrali, Jack przepchnął się przez tłum i przekręcił klamkę, ale drzwi były zamknięte. Przekręcił klamkę najmocniej, jak mógł, zaczął nią szarpać, lecz na próżno. Nie były to zwykłe klamki ani zwykłe zamki. Gałki wymieniono, tak aby drzwi można było otworzyć tylko od zewnątrz, a zamki zastąpiono zasuwami. Sfrustrowany Jack grzmotnął pięścią w drewno i wcisnął się między ludzi, próbując spalić gniew, ale nie mógł się prawie poruszyć. W końcu dotarł do skrawka wolnego miejsca pod oknem i oparł się plecami o ścianę, przyglądając się swoim współtowarzyszom.

W pokoju było gorąco jak w łaźni. Z zamontowanego pod sufitem klimatyzatora biło zimne powietrze, ale jego wąski strumień momentalnie stygł wchłonięty przez ciepło stłoczonych w pokoju ciał. Ich smród przyprawiał go o mdłości i zastanawiał się, od jak dawna ludzie ci są w drodze.

Naliczył trzynaścioro. Razem z nim i Kristą było ich piętnaścioro. W tym dziewięciu Azjatów w wieku dwudziestu i trzydziestu kilku lat, chociaż troje było znacznie starszych. Było tam również dwóch Latynosów i małżeństwo z Gwatemali. Wszyscy robili wrażenie głodnych, zmęczonych i biednych. W sfatygowanych, przepoconych ubraniach, zbyt cienkich albo zbyt grubych, mieli przerażone oczy. Kilkoro tuliło do siebie torby podróżne, ale zaraz po przyjeździe wszystkie zostały przeszukane i ograbione.

Azjaci zbili się w gromadkę w kącie naprzeciwko, głównie chude, młode kobiety i mężczyźni, którzy siedzieli w kucki z nieobecny wyrazem twarzy – wszyscy oprócz jednego, który siedział nieco dalej, z boku. On też był młody, ale różnił się od pozostałych. Dobrze umięśniony, wysportowany i porządnie ubrany, miał błyszczące włosy, krótsze po bokach i proste na czubku głowy. Oczy miał gniewne i harde, a gdy zaciskał zęby, marszczyła mu się twarz. Musiał wyczuć, że Jack na niego patrzy, bo nagle spojrzał mu prosto w oczy.

Jack uciekł wzrokiem w bok i spytał:

- Czy ktoś z was mówi po angielsku? Czy ktoś zna angielski?
- Ja – odpowiedział Gwatemalczyk. – Trochę.

Szczupła Azjatka podniosła delikatną rękę.

– Ja trochę rozumiem. Mówię słabo.

– Skąd jesteście?

– Z Korei. Czy już blisko do Olympic Boulevard? Jedziemy na Olympic Boulevard.

Mówiła z tak złym akcentem, że początkowo Jack jej nie zrozumiał i dopiero po chwili dotarło do niego to, co powiedziała. Na odcinku między bulwarami Olympic i Wilshire w śródmieściu osiedliło się tylu Koreańczyków, że miejsce to nazywano Koreatown. Był tam dwa razy z Kristą, raz na *galbi*, raz na karaoke. Nie śpiewali, ale świetnie się bawili, słuchając innych.

Otworzyły się drzwi i weszło dwóch strażników. Jeden był niskim, muskularnym Afroamerykaninem. Powiódł wzrokiem po pokoju i wskazał hardego Koreańczyka.

– Ty. Tak, ty. Wstawaj.

Mówił wyraźnie, płynną angielszczyzną, ale trudno było powiedzieć, czy Koreańczyk go zrozumiał. Strażnik zrobił gest ręką, więc powoli wstał. W ten sam sposób strażnik kazał mu podejść bliżej, więc niespiesznie podszedł. Nie powłóczył nogami jak reszta, nie spuścił głowy. Trzymał się prosto i patrzył strażnikowi prosto w twarz. Ten wziął go za ramię i wyprowadził.

Dwie minuty później drzwi otworzyły się ponownie i Jack z ulgą zobaczył w nich Kristę. Powiedziała mu oczami, by zachował spokój, więc gdy ruszyła w jego stronę, patrzył na nią, z trudem powściągając emocje.

Strażnik, który ją przyprowadził, wszedł do pokoju, spojrzał na niego i przywołał go gestem ręki.

– Jack Berman?

– Tak, to ja.

Gdy przebijał się przez tłum, Krista zaszła mu drogę i tyłem do strażnika szepnęła:

– Pamiętaj, co ci powiedziałam.

Zrobiła mu przejście i usiadła z Gwatemalczykami, a on poszedł dalej, próbując sobie przypomnieć, co mu mówiła.

Strażnik zaprowadził go do dużego pokoju obok kuchni. Kiedyś był to salon, ale teraz pomieszczenie przypominało wielkie pudło z drzwiami i oknami zasłoniętymi grubą sklejką. Doszedł go silny zapach pizzy i poczuł głód.

Tuż za drzwiami strażnik kazał mu usiąść na podłodze. W kącie hardy Koreańczyk rozmawiał z dwoma innymi strażnikami, a po przeciwległej stronie z trzecim strażnikiem siedziała jakaś Latynoska. Koreańczyk spojrzał na niego i łypnął spode łba na tego, który z nim rozmawiał.

– Nazywam się Samuel Rojas. Możesz mówić mi Sam.

Jack bez słowa kiwnął głową. Rojas miał notes i długopis.

- Na pustyni był srebrzysty mustang. To twój samochód?
- Tak. Gdzie jest?
- Jesteś Amerykaninem?
- Tak. Co zrobiliście z moim wozem?
- Skąd znasz Kristę?
- Nie znam Kristy. Znam jej matkę. Przyjaźni się z moją. Co się tu, kurwa, dzieje?

Kim wy jesteście?

- Jaki jest jej numer? Chcielibyśmy do niej zadzwonić.
- No to powodzenia. Jest w Chinach.

Rojas spojrział na niego niepewnie.

- Twoja matka mieszka w Chinach?
- Pojechała na wycieczkę z kółkiem różańcowym. Dlaczego pan mnie tak wypytuje?

– A twój ojciec?

– Zmarł w zeszłym roku. Dlaczego przywieźliście nas do tego zabitego dechami domu?

Z korytarza wyszedł wysoki mężczyzna z kucykiem i niski z wyszczerbionymi zębami. Przystanęli w progu, rozmawiając cicho po hiszpańsku, ale ten wysoki nie wyglądał na Latynosa.

- Masz braci czy siostry?
- Jestem jedynakiem.
- Kiedy matka wraca?
- Za dwa tygodnie.

Rojas przyglądał mu się i Jack zastanawiał się, o czym myśli. Po chwili Rojas spojrział na notes, przewrócił kartkę i podniósł wzrok.

- Mustang to ładny samochód. Skąd miałeś pieniądze?
- Matka mi kupiła. Co to za różnica? Dlaczego o tym rozmawiamy?
- Nie miałeś prawa jazdy. Jeździsz bez prawa jazdy?
- Mam, zostawiłem w samochodzie.

Rojas pokręcił głową.

- W samochodzie nic nie było.
- Kolego, zostawiłem prawko w portfelu, a portfel w samochodzie. Portfel, karty kredytowe i pieniądze. Co się z nimi stało?

Rojas kazał mu zostać i podszedł do tych w drzwiach. Jack nie rozumiał, o czym rozmawiają, ale ten wysoki zmarszczył brwi. Mówił głównie on, Rojas tylko kiwał głową, jakby słuchał poleceń.

Jack obserwował ich, gdy nagle hardy Koreańczyk zaczął krzyczeć, wyrzucając z siebie słowa z szybkością karabinu maszynowego. Gdy Jack odwrócił głowę, tamten już stał. Strażnicy wepchnęli go do kąta. Dołączył do nich trzeci, dźgając go

w bok pałką elektryczną, która poraziła go prądem z tak głośnym trzaskiem, że słycać go było po drugiej stronie pokoju. Pojawiła się druga pałka, trzeci strażnik uderzył go kijem. Koreańczyk upadł i zwinął się w kłębek, ale kij wciąż podnosił się i opadał, wciąż trzeszczały i trzaskały pałki. Strażnicy kopali go, bili i razili prądem, zdawało się, że bez końca, wreszcie Jack nie wytrzymał.

– Przestańcie! Przecież on się nie broni!

Zrobił krok w ich stronę, ale ktoś uderzył go w plecy tak mocno, że się zatoczył. Czyjaś ręka chwyciła go od tyłu za szyję i dźwignęła z podłogi.

– Ty też chcesz?

Upadł ciężko na brzuch. Usiadł na nim ten z wyszczerbionymi zębami i chrapliwym głosem wyszeptał mu do ucha:

– Chcesz tak jak on? Jak chcesz, nie ma sprawy.

W tej samej chwili Jack zobaczył Koreańczyka. Obydwaj leżeli na brzuchu. Koreańczyk patrzył na niego. Tamtych trzech krępowało mu ręce za plecami.

Szczerbaty strażnik grzmotnął go pięścią w bok, plecy i głowę i Jack zamknął oczy. Strażnik postawił go na nogi, odwrócił i otwartą dłonią uderzył go w twarz. Jack próbował się zasłonić, ale tamten uderzył go jeszcze raz i chwycił za ręce.

– Mam je związać? Zwiążę i będziesz srał w spodnie. Chcesz tak?

– Nie.

– Co powiedziałaś?

– Nie, proszę pana.

– Będziesz rozrabiał?

– Nie, nie będę.

Szczerbaty chwycił go za kark i ścisnął jak szczypcami. Wypchnął go z salonu na korytarz i zaprowadził z powrotem do pokoju. Wciąż z ręką na jego karku przystanął w drzwiach, patrząc na Kristę. Był bardzo blisko. Zęby miał tak wyszczerbione i powykrzywiane, że wyglądały jak te wycięte w halloweenowej dyni. Spojrzał na Kristę, potem na niego i nachylił się ku niemu tak blisko, że Jack poczuł na uchu jego oddech.

– Mam ją na oku. Zacznieś rozrabiać i zobaczysz, co będzie.

Wepchnął go do salonu i zamknął drzwi. Trzask zasuwki zabrzmiał jak odgłos katowskiego topora uderzającego w pień.

Jack zwymiotował. Próbował dobiec do kubła, ale nie zdążył.

**ELVIS COLE:
cztery dni przed jego uprowadzeniem**

16

Powoli zapadała ciemność, stygnące powietrze robiło się coraz bardziej aksamitne, a tamci wciąż siedzieli u Sanchezów. Czekać, kupiłem colę bez cukru i dwa tacos z kurczakiem. Tacos były po meksykańsku. Mała, cienka tortilla, w niej kurczak z cebulą i kolendrą, do tego duża porcja świeżej, ostrej papryki jalapeño i słonawy zielony sos tomatillo. Bez fasoli i sera. Fasola i ser są dla mięczaków. Tacos były gorące i soczyste i w miarę jak jadłem, robiło mi się coraz cieplej. Były tak dobre, że wziąłem jeszcze dwa. Coś pysznego.

Od czasu do czasu w biurze widziałem jakiś ruch, ale z mojego punktu obserwacyjnego nie mogłem dostrzec nic więcej. Osiemnaście minut po tym, jak zjadłem ostatnie taco, na podwórzu wyszedł ten rudy. Z tylnego siedzenia samochodu wziął walizeczkę, wyjął z niej papierową teczkę i położył walizeczkę tam, gdzie leżała. Ruszył z powrotem do biura, gdy wtem gwałtownie przystanął i popatrzył na ulicę, jakby wyczuł, że ktoś go śledzi. Cofnąłem się za budkę, obserwując go przez wąską szparę między ścianą i słupem telefonicznym.

W mojej kieszeni zabuczała komórka, ale ani drgnąłem.

Rudy obracał się powoli wokół własnej osi, aż jego wzrok spoczął na budce. Stała tam teraz Latynoska w średnim wieku. Dzieliło nas czterdzieści metrów, ale nawet z tej odległości widziałem zmarszczki, które oplatały jego oczy jak pajęczyna.

Komórka buczała jak budzik. Bałem się, że usłyszy to Latynoska, że odwróci się, by na mnie spojrzeć. Ścisnąłem telefon w rękę i czekałem.

Rudy gapił się na budkę przez osiem, dziesięć minut, nagle zawrócił i ruszył z powrotem do biura.

Wyjąłem komórkę i okazało się, że mam wiadomość od Carol Starkey.

– A ty, kurwa, co? Oddzwoń.

Starkey tak mówi.

Oddzwoniłem.

– To ja.

– W kulki ze mną lecisz, jełopie?

– Co się stało?

– Byli tu federalni. ICE. Policja imigracyjna. Szukałam tego twojego chłoptasia, Sancheza, i namierzyli mnie. Pytali, dlaczego się nim interesuję.

– Co im powiedziałaś?

– Czyżbyś się zaniepokoił? Dopiero teraz? Boisz się, że cię sypnę?

– Wiem, że tego nie zrobisz. Masz nieprzyjemności? Co im powiedziałaś?

– Że ci z Green Light skatowali kogoś w Hollywood i że podczas śledztwa wyskoczyło jego nazwisko. Że jestem dokładna i przepuściłam je przez system, ale okazało się, że mój Rudy Sanchez mieszka w Venice, a nie w Coachelli. Że to nie mój człowiek.

Green Light, Zielone Światło, czyli meksykańska mafia. La Eme. Meksykańską mafią mogła spokojnie uwiarygodnić każde wejście do systemu.

– Dobry unik.

– Wiedziałaś, że był kojotem?

– Tak.

– Ty matole.

– Chciałem go znaleźć. Co to za różnica, jakim był przestępcą i co robił?

– Taka, że ten przestępca bardzo ich interesował. Współpracował z kartelem Sinaloa. Zataiłeś przede mną coś jeszcze?

– Kto go zabił?

– Jeśli wiedzą, to mi nie powiedzieli. Ty wiesz?

– Wspominali o Korei albo o gangsterach z Korei?

– Co to, kurwa, jest? ONZ jakieś czy co? Wiesz coś o tym?

– Na razie nic. Muszę kończyć. Dzięki.

– Lepiej ze mną nie pogrywaj, Cole.

– Muszę kończyć.

Ledwo schowałem telefon, kiedy tamci wyszli na parking. Myślałem, że wyprowadzą kogoś w kajdankach, ale nie, bracia zostali w biurze. Dwanaście minut później wyszedł najmłodszy, James, wsiadł na stojący z boku motocykl i wyjechał na ulicę. Osiem minut później wyszli razem Eddie i Rudy Junior, ale na parkingu każdy ruszył do swego wozu. Eddie odjechał pierwszy. Junior zatrzymał się za bramą, zamknął ją i założył kłódkę. Zanim wrócił do samochodu, objechałem budkę i ruszyłem za nim.

Niecałe półtora kilometra później skręcił na parking przed marketem Ralpa, gdzie czekał na mnie Pike. Zupełny przypadek.

Już wysiadł i szedł właśnie w stronę drzwi, gdy do niego podjechałem.

– Wsiadaj.

Próbował mnie wyminąć, ale dodałem gazu i zajechałem mu drogę.

– Kiedy wyjdiesz, i tak będę tu czekał. Wsiadaj.

– Nigdzie nie wsiadę.

– Chcę tylko pogadać.

Ruszył w drugą stronę, ale zajechałem mu drogę na wstecznym.

– Tylko pogadamy. Nie chcę obijać ci gęby ani cię aresztować. Mogę wam pomóc.

Przyjrzał mi się.

– Nie jesteś agentem?

– Szukam Kristy Morales.

– Nie wiem, kto to jest.

– Nie szkodzi. Ważne, że ja wiem. No? Wskakuj.

Patrzył na mnie przez pięć sekund, potem obszedł samochód i wszedł. Pojechałem na drugą stronę parkingu i stanąłem w cieniu. Rudy Junior siedział spokojnie, patrząc przed siebie, jakby przygniatał go wielki ciężar, którego nie mógł zrzucić z ramion.

– Czy ty i twoi bracia macie z tym coś wspólnego?

Pokręcił głową.

– Nie. Ojciec trzymał nas od tego z daleka. To był jego interes, nie nasz. Nie chciał nas w to mieszać.

– W przerzucanie ludzi przez granicę.

– Tak. Na północ. Zaczął, kiedy byłem mały, wtedy sprowadził tu kuzynów. On tu się urodził. Oni nie. Chyba lubił to robić.

– Kim są ci Koreańscy?

– Kimś, kto ma broń.

– To gangsterzy?

– Chryste, spójrz na moją gębę. Nie mam pojęcia, kto to jest. Pierwszy raz zobaczyłem ich dopiero kilka dni temu.

– To oni zabili waszego ojca?

– Nie. Zapłacili za przerzut, ale ich ludzie tu nie dotarli. Dwieście tysięcy dolarów. Dwieście tysięcy! Teraz chcą zwrotu kasy albo tych, za których ją wyłożyli, i nie zamierzają płacić okupu.

Przypomniała mi się matka Kristy i telefony z żądaniem pięciuset dolarów.

– Ci, których ojciec przeprowadził przez granicę, zostali porwani?

– Właśnie to robią *bajadores*. Porywają ludzi, a potem doją ich rodziny. Dopadli go na pustyni.

– Skąd wiesz, że to oni?

– Było u nas kilku dupków z kartelu. Powiedzieli, że jakiś *bajadore* ukradł im *pollos*.

Federalni powiedzieli Starkey, że ojciec Rudy'ego Juniora współpracował z kartelem Sinaloa.

– Ojciec pracował dla tych z Sinaloa?

– Skąd wiesz?

– Wiem. Czytam w myślach.

– Nie z własnego wyboru. Te kutasy wysiadały go z rynku.

Pasowało to do tego, co powiedział mi mecenas Locano.

– A więc nie pracował na własną rękę? Koreańczycy zapłacili tym z Sinaloa?

– Jasne. Kurczę, nie wiedzieliśmy nawet, że ojciec wtedy pojechał. A potem jakieś pacany znalazły go w jeziorze. Wtedy przyszli do nas Spurlow i Lange. Tak się dowiedzieliśmy. Po nich przyjechali ci z Sinaloa i powiedzieli, że zabił go ten *bajadore*, Syryjczyk.

Starkey miała rację. Poczuję się jak w ONZ.

– Syryjczyk z Syrii?

Rudy Junior ukrył twarz w dłoniach.

– Chuj go wie. Byli wkurzeni, jakby facet ciągle ich okradał. I bez przerwy powtarzali, że jak pójdziemy na policję, to nas zabiją.

– I zostawili was tym Koreańczykom?

Junior sflaczał jak przekłuty balon i pokręcił głową.

– Powiedzieli, że się tym zajmą, ale sam widziałeś. Ci z Sinaloa pewnie się ich boją, ale nie zamierzają zwracać kasy.

– Dlatego Koreańczycy przyszli do was.

Rudy szybko zamrugał i wiedziałem, że próbuje powstrzymać łzy. Nagle krzyknął:

– Kurwa mać!

Obserwowałem jego ukrytą w cieniu twarz. Wierzyłem mu. Bracia Sanchez nie wiedzieli, co ich ojciec robił tamtej nocy, i nie pomagali mu przerzucać ludzi przez granicę, ale tak jak Nita i Krista Morales stali się zakładnikami sytuacji, która wynikała z wydarzeń na pustyni.

– Byłeś kiedyś przy wraku tego samolotu na południe stąd?

Rudy powoli podnosił na mnie wzrok.

– Jeździłem tam jako młody chłopak. Jak wszyscy.

– Czy ojciec wykorzystywał to miejsce jako punkt transferowy?

Junior zmarszczył brwi, ale widziałem, że się zastanawia.

– Czasami. Bywało, że kojoty i przemytnicy spotykali się tam prawie codziennie, a potem przez lata nikt tam nie przyjeżdżał. Pamiętam, jak mówił, kurczę, po co marnować tak dobre miejsce.

– Był tam wtedy?

– Nie wiem. Nie mówił, którędy jeździ ani nic, ale lubił ten wrak. Mówił, że łatwo go znaleźć.

Może za łatwo.

Oczywiście wyobraźni zobaczyłem, jak Rudy Senior jedzie ciężarówką przez pustynię i jak *bajadore* zwany Syryjczykiem napada go, by przejąć ludzki ładunek.

I jak Krista i Jack wpadają przypadkowo w jego sieć.

– Możemy sobie pomóc, Rudy. Masz kontakt z Sinaloas, którzy u was byli?

– Naprawdę nie jesteś agentem?

– Nawet gdybym był, czy miałoby to jakieś znaczenie?

Junior przyjrzał mi się i odwrócił głowę, jakby wstydził się swoich myśli.

– Nie. Teraz już nie. Chcę tylko uciec od tego koszmaru.

– Gdybym musiał z nimi pogadać, dałbyś radę to zorganizować?

– Tak. Jasne. Mam ich numer.

Odwiozłem go do samochodu, a gdy wysiadł, pojechałem z powrotem do miasta. Każdy z nich miał swoją opowieść i opowieści te zaczynały do siebie pasować, ale potrzebowałem czegoś więcej, i to szybko.

Krista i Jack zostali uprowadzeni. Uprowadzeni przez bandytę, którego gangsterzy z kartelu Sinaloa nazywali Syryjczykiem. Jak na jeden dzień odwaliłem kawał dobrej roboty.

Patrzyłem na czarny krajobraz za światłami autostrady, wiedząc, że Krista i Jack gdzieś tam są. Gdyby udało mi się znaleźć Syryjczyka, znalazłbym i ich.

Jechałem z opuszczonymi szybami, za którymi był czysty, orzeźwiający wiatr, aż opuściłem pustynię i zadzwoniłem do Pike'a.

17

Zapadł jedwabście chłodny wieczór, a ja wciąż pędziłem na zachód, do Los Angeles. Przerażliwy ryk wiatru działał na mnie jak balsam.

– Śledzisz kapelusznika? – spytałem, kiedy odebrał.

– Kapelusznik dogonił beemkę i pojechali na *soju* do baru przy Vermont na północ od Olympic. Weszli do środka, więc obserwuję bar.

Soju to koreański trunek.

– To w Koreatown?

– Tak. W Niebieskim Szopie.

Zapisałem nazwę.

– Co robią?

– Brak danych. Oni są w środku, ja ulicę dalej. Bar jest w ciągu sklepów. Grill. Karaoke. Kilka biur. Parkowacz. Ekskluzywne miejsce.

Streściłem mu to, czego dowiedziałem się od Rudy’ego Juniora, wytłumaczyłem, jak to się stało, że bracia wpadli w krzyżowy ogień.

– Mówi prawdę? – spytał.

– Chyba tak. Siedzi im na karku policja, Koreańczycy chcą od nich pieniędzy, a Sinaloas zostawili ich samych sobie. To dla nas dobrze. Jeśli z tym Syryjczykiem to prawda, całkiem możliwe, że to on zgarnął Kristę i Bermiana razem z resztą. Rudy mówi, że ich ojciec wykorzystywał to miejsce jako punkt transferowy.

Pike chrząknął.

– Syryjczyk powiózł ich na południe?

Gdyby wywieziono ich do Meksyku, trudniej by było ich namierzyć i do nich dotrzeć.

– Nie wiem. W ogóle nic o nim nie wiem, Sanchezowie też nie. Wiedzą tylko to, co powiedzieli im ci z kartelu.

– Możesz się dowiedzieć?

– Spróbuję. Jak tylko skończymy, zadzwonię do Locana. Jeśli nie będzie mógł pomóc, znajdziemy inny sposób. W razie czego pójdziemy prosto do Sinaloas.

Pike znowu chrząknął i tym razem wiedziałem, że pomysł mu się spodobał. Lubił

radykalne rozwiązania.

– Musimy dowiedzieć się czegoś o tych Koreańczykach – dodałem. – Masz numer rejestracyjny subaru i beemki?

– Zapisz.

Podał mi numery.

– Długo tam możesz zostać?

– Ile będzie trzeba.

– Pilnuj beemki. Jeśli pojedzie do domu, zapisz adres.

Pike rozłączył się, a ja zadzwoniłem do mecenasa Locana. Było już po godzinach, mimo to najpierw wybrałem numer kancelarii i zostawiłem długą, mętną wiadomość. Myślałem, że może siedzi do późna w pracy, i chciałem dać mu trochę czasu na podniesienie słuchawki, ale niestety. Znalazłem jego domowy numer i tam go złapałem.

Był poruszony.

– Mam zastrzeżony numer. Jak go pan zdobył?

– Jestem prywatnym detektywem, panie mecenasie. Wystarczyły dwa telefony.

To też mu się nie spodobało i w jego głosie zabrzmiała nutka zniecierpliwienia.

– No więc o co chodzi? Mamy gości. Właśnie siadamy do stołu.

– Rudolfo Sanchez nie żyje. Zamordowano go tej samej nocy, kiedy zniknęła Krista i jej chłopak.

– O Boże. Chwileczkę. Przejdę do drugiego pokoju.

Usłyszałem kroki i po chwili odezwał się ponownie, tym razem głosem czujnym i przyciszonym.

– Dobrze, teraz mogę rozmawiać. Czy to się z sobą łączy?

– Tak myślę. Sanchez nie pracował na własną rękę, tak jak pan mówił. Kiedyś tak, ale wygryźli go ci z kartelu.

– Z którego? Z Bajas, Tijuany, z Beltran-Leyva? Z którego? Jest ich dużo.

– Przeprowadzał przez granicę ludzi na zlecenie Sinaloas. Prawdopodobnie napadł na nich *bajadore*, którego nazywają Syryjczykiem.

– Skąd pan to wszystko wie?

Powiedziałem mu o Juniorze i jego braciach i o tym, że Rudy Senior wykorzystywał pustynne lądowisko jako punkt transferowy.

– Wiemy, że Krista i Berman zostali tam po tym, jak ich przyjaciele wrócili do miasta. Jeśli byli tam, kiedy przyjechał Sanchez, możliwe, że ludzie Syryjczyka zgarnęli ich wraz z innymi.

– Myśli pan, że teraz przetrzymuje ich ten Syryjczyk?

– Tak.

Powiedziałem mu o łuskach i śladach, które znaleźliśmy na pustyni i które sugerowały, że trzy mniejsze pojazdy zaatakowały jeden większy. Powiedziałem

o brązowej plamie krwi, którą znalazł Pike, i o śladach stóp wskazujących na to, że z tyłu ciężarówka stała duża grupa ludzi.

– Wyjaśniałoby to, dlaczego Krista dzwoniła do matki, domagając się pięciuset dolarów. Ci bandyci tak robią, prawda? Kazał swoim ofiarom dzwonić do rodziny.

– Tak, to prawda.

– Słyszał pan kiedyś o jakimś Syryjczyku?

– Nie, nigdy. On jest z Syrii?

– Nie mam pojęcia. Nie mówili o nim po imieniu ani nie powiedzieli, dlaczego go tak nazywają, a Rudy o nic nie pytał. Chciał tylko, żeby jak najszybciej wyszli.

Locano milczał przez chwilę, wreszcie spytał:

– Synowie Sancheza też maczali w tym palce?

– Rudy twierdzi, że nie, i ja mu wierzę. Oni się boją. Znaleźli się między młotem i kowadłem, między kartelem, policją i koreańskimi gangsterami, których ludzie byli w tej ciężarówce. Muszę namierzyć tego człowieka, panie mecenasie. Jeśli to on uprowadził Kristę, muszę go znaleźć.

Locano znowu zamilkł, ale wiedziałem, że intensywnie myśli i że mi pomoże.

– Pomagałem byłym członkom Sinaloas. Porozmawiam z nimi.

– Byłoby świetnie.

– Poda mi pan swój domowy numer? Zadzwonię jeszcze dzisiaj albo jutro rano.

Podaliśmy mu obydwa, domowy i numer komórki, i poprosiliśmy go o jeszcze jedną przysługę.

– Zadzwonię do Nity, ale chciałbym, żeby pan też z nią porozmawiał. Ona potrzebuje wsparcia.

– Bo nie ma dokumentów?

– Właśnie. Martwi się, że może stracić firmę i dom, a i bez tego ma teraz dużo na głowie.

– Niczego nie straci. Sądy imigracyjne są przeładowane sprawami brutalnych przestępców, których nie nadążają wyrzucać z kraju. Ktoś taki jak ona, kobieta z własną firmą i pracownikami, bez trudu uzyska zawieszenie procesu deportacyjnego. To leży w gestii sędziego. To niemal rutyna.

– Wyjaśni pan to jej?

– Jeśli przyjdzie co do czego, będę ją reprezentował.

– Dziękuję. Za to i za wszystko. Przyda mi się każda wiadomość o tym Syryjczyku.

– Oddzwonię, kiedy tylko będę mógł.

Schowałem komórkę i wziąłem głęboki oddech. Chciałem zadzwonić do Nity, ale nie byłem pewny, co jej powiedzieć i jak. Opuściłem szyby i corvette wypełnił grzmot powietrza. Tylne światła samochodów jadących przede mną były zastygłymi bez ruchu punkcikami, przednie tych nadjeżdżających z naprzeciwka śmigającymi

z rykiem pociskami świetlnymi. Cały dzień spędziłem za kółkiem, jadąc szybko, być może za szybko, może tak szybko, że musiałem zwolnić, zanim popełnię błąd, za który Krista Morales mogła zapłacić życiem.

Pike podał mi numery rejestracyjne subaru i beemki. Podkręciłem szyby, wyjąłem karteczkę i zadzwoniłem do znajomej zastępczyni szeryfa hrabstwa Los Angeles, która miała nocną służbę w West Hollywood. Szybka i sprawna, chętnie ze mną współpracowała za dwa bilety tuż za ławką trenerską na mecz Dodgersów z Gigantami.

Według danych wydziału komunikacji subaru było zarejestrowane na Paula Andrew Willetsa z Northridge w Kalifornii. Nie znałem się na subaru, ale komputer twierdził, że pan Willets jest właścicielem niebieskiego, tymczasem nasz był brązowy. Co znaczyło, że kapelusznik jeździ skradzionym wozem i podprowadził tablice rejestracyjne panu Willetsovi.

Natomiast z bmw było zupełnie inaczej. Jego właścicielem okazało się coś o nazwie Yook Yune Entertainment z siedzibą w mieszkaniu przy bulwarze Wilshire. Mogło się tam mieścić biuro, ale podejrzewałem, że jest to tylko skrzynka pocztowa. Spróbowałem wygooglować coś iPhone'em, ale nie znalazłem ani ich strony internetowej, ani nazwy, ani nic.

Zadzwoniłem do Pike'a, który wciąż parkował ulicę za koreańskim barem. Subaru i beemka nie drgnęły z miejsca. Było siedem po dziesiątej.

- Yook to nazwisko – powiedział. – Nie wiem, co znaczy Yune.
- Zostaw kapelusznika. Jedź za beemką. Po adresie dojdziemy do właściciela.
- Pamiętasz Jona Stone'a?
- Jasne.
- Jon mówi po koreańsku. Często tam bywa. Mógłby pomóc.
- Świetny pomysł. Zadzwoń do niego.

Pike rozłączył się, nie czekając na odpowiedź, i zostałem sam na sam z Nitą Morales. Przecwiczylem w pamięci to, co chciałem jej powiedzieć, i wybrałem numer. Do powiedzenia miałem niewiele, w dodatku same złe rzeczy. Nawet twardzi detektywi, tacy jak ja, nie lubią przekazywać złych nowin.

Ale odezwała się tak cichym, łamiącym się głosem, że moja próba na nic się zdała. Nita musiała dowiedzieć się czegoś o wiele gorszego niż to, co chciałem jej powiedzieć.

- To prawda, tak? Porwano ją.
- Co się stało?
- Zadzwoiła dzisiaj wieczorem, z tym śmiesznym hiszpańskim akcentem. Potem odezwał się ten mężczyzna i zażądał więcej pieniędzy. Powiedziałam, że nie wysłę ani centa więcej...

Załamał jej się głos, ale stłumiła szloch.

- Wtedy zaczęła strasznie krzyczeć.
- Wysłała pani pieniądze?
- Jeszcze nie.
- Niech pani zapłaci. Niech pani zapłaci i nie przestaje płacić, to jej nie zabiją.
- Wiedział pan, że to prawdziwe porwanie?
- Tak. Wiem, co się stało i jak, wiem, kto ją uprowadził.
- Kto?
- *Bajadore* zwany Syryjczykiem. Wie pani, kto to jest *bajadore*?
- Tak, oczywiście. Gdzie ona jest?
- U niego. Szukam go. Kiedy go znajdę, znajdę i Kristę.
- Co pan chce zrobić?
- Sprowadzić ją do domu.
- Ale jak? Jak?
- Odbiję ją. Proszę mi zaufać. Znajdę ją, odbiję i przywiozę do domu.
- Proszę, panie Cole. Proszę...

Znowu załamał jej się głos i przełknęła łzy.

– Niech pani płacze, Nito. Niech pani się nie powstrzymuje. Proszę ze mną porozmawiać. Jestem przy pani. Nie zostawię pani samej...

Jechałem przez ciemność, szepcząc do niej, aż straciłem sygnał w tej czarnej, ryczącej nocy, i zastanawiając się, jak zmusili Kristę do krzyku.

**JACK I KRISTA:
cztery dni po uprowadzeniu**

18

Prosząc o płyn, odezwał się głośniejszym, niż to było konieczne.

– Mogę wziąć płyn? Straszny tam bałagan.

Odpowiedziała równie oficjalnym głosem:

– Oczywiście, ale przynieś z powrotem. Muszę zmyć te wszystkie garnki.

– Zaraz przyniosę. Słowo.

Byli w kuchni, pod oknem strażników, z których jeden siedział w drzwiach na składanym krześle ogrodowym, a drugi opierał się o ścianę od strony salonu.

Jack upewnił się, że ich nie obserwują, i zniżył głos.

– Widziałaś? Kaszka z mleczkiem. Pozwolili mi przyjść.

– Ciii.

Krista podała mu butelkę płynu do zmywania naczyń. Jack ruszył do drzwi, odwrócił się i spytał:

– Mogę wziąć i ręczniki? Papierem toaletowym tego nie sprzątnę.

– Dobrze. Oczywiście. Weź.

Podała mu rolkę i popatrzyła, jak wraca do łazienki w głębi domu. Ona pracowała w kuchni. On miał opróżnić kubek z moczem. Zajęcie było obrzydliwe, bo zawartość kubła nie zawsze była płynna. Trzy, cztery razy dziennie pozwalano mu wynosić go do łazienki, gdzie wylewał wszystko do muszli i mył go w wannie. Kilka minut wcześniej rozlał trochę na sedes i podłogę, żeby pójść do Kristy po mydło i ręczniki. Zrobił to celowo, chcąc sprawdzić, czy strażnik pilnujący łazienki pójdzie z nim do kuchni, czy puści go samego. Strażnik puścił go samego.

Dzięki mydłu i ręcznikom mógł również wrócić, co stanowiło część ich planu. Krista chciała, by przez pięć minut mógł zostać sam w pomieszczeniu gospodarczym. Nie zdołała otworzyć klapy serwisowej w suficie i teraz miał spróbować on, ale żeby spróbować, musiał mieć powód, aby tam być.

Wróciła do zlewu i zajęła się garnkami.

Zajęcia przydzielono więźniom mówiącym po hiszpańsku i angielsku. Ponieważ angielski znało tylko dwóch Koreańczyków, a żaden nie znał hiszpańskiego, całą ich grupę trzymano w pokoju. Minęły już cztery dni, a ona wciąż nie wiedziała, ilu ich

jest, chociaż wraz z nią w kuchni pracowały dwie inne kobiety. Tych z drugiej grupy widywała rzadko, a liczba strażników ciągle się zmieniała i czasem było ich sześciu, a czasem ośmiu. Domyślała się, że w domu przebywa w sumie ponad czterdzieści osób.

Więźniom wydawano jeden posiłek dziennie, późnym popołudniem. Ona i dwie inne mówiące po hiszpańsku kobiety gotowały, roznosiły jedzenie i zmywały. Cieszyła się z tego, bo miała więcej swobody niż Jack i większość pozostałych. Gotowały wielkie gary fasoli albo zupy z dużą ilością ryżu lub makaronu. Mięsa było mało, chociaż czasem strażnicy przynosili dla siebie wołowinę lub kurczaka i często kupowali pizzę na wynos albo tamales. Nigdy się z nikim nie dzielili.

Kucharkom dano trzy powgniatane sagany, olbrzymią patelnię, dwie obieraczki do warzyw i wiaderko pełne wyszczerbionych łopatek, łyżek i chochli. Noży nie miały. Jeśli trzeba było pokroić cebulę lub kapustę, robił to strażnik albo któraś z nich, jego nożem i w jego obecności. Warzywa kroił zwykle Miguel, ten, który siedział teraz na składanym krześle. Do zmywania miały metalowe czyściki i dużą butelkę mydła w płynie. Niebieskiego.

Praca zajmowała jej trzy, cztery godziny dziennie, od początku do końca, i cały ten czas spędzała w kuchni i pomieszczeniu gospodarczym z klapą serwisową w suficie i drzwiami do garażu. Na jej prośbę Miguel przywiózł tam na wózku duży plastikowy kubeł, dzięki czemu łatwiej im było pozbywać się dużych ilości obierki, śmieci i resztek. Łatwiej było również śledzić ruchy strażników, poznać trasy, którymi poruszali się po domu, i zaglądać do garażu, kiedy otwierali drzwi.

Miguel siedział teraz na składanym krześle, chudy jak patyk strażnik, którego nazywała Modliszką, obijał się w jadalni, a trzeci spał na materacu w salonie. Codziennie po południu Miguel ucinął sobie drzemkę. Obserwowała go. Zamykały mu się oczy, opadała głowa i zasypiał.

Zawsze uśmiechała się na ten widok.

Pozostali strażnicy byli w głębi domu, z więźniami. Jeden snuł się zwykle w korytarzu, by mieć oko na drzwi do pokoi i odprowadzać więźniów do ubikacji. Jeśli któryś z nich miał tam do załatwienia grubszą sprawę, nie pozwalano mu zamykać drzwi. Musiał to robić na jego oczach. Czasem dwóch czy trzech strażników zbierało się w korytarzu, by lubieżnie popatrzeć na siedzącą na muszli kobietę. Było to tak poniżające i przerażające, że niektóre załatwiały się do kubła w pokoju, podczas gdy kilka innych zasłaniało je koszulami od mężczyzn, by miały choć namiastkę prywatności.

Za dnia drzwi do łazienki zamykano tylko wtedy, gdy przyprowadzano tam kogoś, by zadzwonił do rodziny z żądaniem pieniędzy. Rojas zabrał ją tam dwa razy. Za pierwszym razem przestraszyła się, gdy zamknął drzwi, ale powiedział, że robi to tylko po to, by nikt im jej przerywał i nie przeszkadzał. Obydwie rozmowy były ciche

i spokojne. Ludzi zabierano tam przez cały dzień, więc drzwi rzadko kiedy były otwarte.

Krista odstawiła ostatni garnek na suszarkę i zaniósła resztki do lodówki. Patrząc ponad ramieniem Miguela, widziała stamtąd cały korytarz i łazienkę. Jacka nie mogła dostrzec, ale wiedziała, że tam jest, że sprząta. W tym samym momencie do drzwi łazienki podeszli Rojas i ten szczerbaty. Na widok szczerbatego zawsze dostawała gęsiej skórki. Nazywał się Vasco Medina i to on tu dowodził. Chodził po domu, mówiąc strażnikom, co mają robić, i kopiąc ich, kiedy zasnęli. Przerazał ją tym bardziej, że nigdy nie wiedziała, kiedy się pojawi. Odwracała się, a on stał tam, gapiąc się na nią nieobecny wzrokiem albo uśmiechając się lubieżnie, jakby w myślach lizał jej skórę. Aż się wtedy wzdrygała.

Medina powiedział coś, cofnęli się i z łazienki wyszedł z kubłem Jack. Medina zajrzał do kubła i zrobił mu przejście.

Oby tak dalej.

Krista wróciła do garnków i przestawiała je, dopóki Jack nie wszedł do kuchni, teatralnie trzymając kubek jak najdalej od niej.

– Nie dotykaj. Obrzydlistwo.

Ona z kolei teatralnie się odsunęła i wskazała pomieszczenie gospodarcze.

– Ohyda. Wrzuc to tam. Do kubła na śmieci.

Miguel ocknął się na tyle, by na nich spojrzeć.

– Co tam masz?

– Obsrane i zasikane ręczniki. Trzeba je wyrzucić. Zapchają kibel.

Miguel nie zamierzał wstawać.

– Wrzuc je do worka. Inaczej będzie śmierdziało przez całą noc. I dobrze zawiąż worek. Potem się tym zajmę.

– Worki są na pralce – powiedziała Krista. – Na wierzchu.

Jack zaniósł cuchnący kubek do pomieszczenia gospodarczego, a ona odwróciła się do zlewu. Miguel wciąż nie drgnął z miejsca, ale Modliszka gdzieś zniknął.

Jack miał przebywać tam krótko, więc znowu stanęła przy lodówce, by mieć oko na korytarz. Miguelowi opadła głowa, ale Rojas otworzył drzwi do pokoju drugiej grupy i zawołał jakąś Latynoskę, jedną z tych z Gwatemali. Podeszedł do niego Medina i przez chwilę rozmawiali. Rojas dał mu komórkę, Medina chwycił kobietę za ramię i poprowadził ją do łazienki. Zamknęły się drzwi i Rojas odszedł.

Do tej pory Krista nie widziała, żeby Medina kogoś tam zabierał.

Wtem Miguel chrapnął, tylko raz, gwałtownie wciągając powietrze, i się ocknął.

– Gdzie chłopak?

– Już idzie. Nie mogł znaleźć worków. Musiałam mu pokazać.

Powiedziała to na tyle głośno, że Jack powinien ruszyć tyłek i natychmiast wracać.

Gdy pojawił się w progu z ponurą miną, podeszła do zlewu. Spojrzał na nią, pokręcił głową i szepnął:

– Nic z tego. Nie puściła. Zaczęła się otwierać, ale zabrakło mi czasu.

– Ciii. W pokoju.

– Jeszcze minuta i...

– Ciii.

Jack postawił na blacie butelkę, umył ręce, wziął kubek i wyszedł. Strażnik, ten w korytarzu, przepuścił go i zamknął zasuwę.

Jak w więzieniu.

Krista odstawiła ostatni garnek i spojrzała na Miguela.

– Skończyłam.

– Schowałaś fasolę?

– Do lodówki. Niewiele zostało.

– Może zjem ją później. Jest bardzo smaczna.

– Mogę iść?

– Tak. Fasola ci się udała. – Miguel wstał, żeby rozprostować nogi.

Krista była dwa kroki za drzwiami, gdy z łazienki dobiegł przytłumiony głos Gwatemalki.

– *Por favor!* – błagała.

Krista stanęła jak wryta, znieruchomiała, jakby zobaczyła węża.

– *Oh Dios, por favor pare!*

Błaganie przeszło najpierw w przeraźliwy pisk, potem w krótki, straszliwy krzyk.

Krista nie mogła się poruszyć. Patrzyła na drzwi, jakby wisiał tam koszmarny obraz usłanego cierpieniem osobistego piekła Hieronima Boscha.

Nagle otworzyły się drzwi i Medina wypchnął Gwatemalkę na korytarz. Zgięta w pół kobieta cicho szlochała.

Rojas pojawił się w chwili, gdy Medina zauważył Kristę. Spojrzał jej prosto w oczy i odsłonił wyszczerbione zęby. Popchnął Gwatemalkę w stronę Rojasa, zwrócił mu komórkę i podał szczypcę z powleczonej czerwonym plastikiem uchwyty.

Ale najpierw podniósł je do góry, pokazał Kriście i uśmiechnął się potwornym uśmiechem halloweenowej dyni.

Rojas pociągnął kobietę w stronę pokoju.

Krista nie drgnęła z miejsca. Chciała odejść, lecz nie mogła. Próbowwała się poruszyć, ale jej ciało odmówiło posłuszeństwa.

Medina uśmiechnął się jeszcze szerzej. Przesunął językiem po połamanych, zgniłych zębach, pocałował palec i wycelował nim w Kristę.

Potem pokiwał nim jak na pożegnanie – pa, pa – i zniknął w pokoju strażników.

Krista zrobiła krok. Potem drugi. Stawiając stopę przed stopą, szła powoli

korytarzem, aż dotarła do swoich drzwi. Rojas już wrócił, ale ona wciąż patrzyła przed siebie, na drzwi.

– Chciałabym wejść, jeśli można.

Samuel Rojas przekręcił klamkę, wpuścił ją do zatłoczonego, cuchnącego pokoju i trzasnął zasuwą.

19

Jack wrócił do pokoju wściekły na siebie. Był tak blisko, jeszcze trochę i otworzyłyby właz, ale wypaczone drewno pomalowano tyle razy, że kłapa zakleszczyła się w ramie. Mógłby naprzeć mocniej, ale bał się hałasu i w końcu stchórzył. No i tak. Wciąż byli uwięzieni.

Postawił kubeł w kącie, przeszedł przez pokój i opadł na podłogę pod zasłoniętym sklejką oknem. Jakiś młody Koreańczyk precyzyjnie się szybko do kubła i zaczął sikać, jakby wstrzymywał się od wielu godzin. Ze wstydliwie spuszczoną głową próbował się zasłonić, oddając mocz na oczach stłoczonych w pokoju ludzi. Nikt nie patrzył. Wszyscy taktownie odwrócili wzrok. Następnym razem mogło przytrafić się to im.

Jack próbował nie słuchać i zamknął oczy. Próbował nie wdychać smrodu wszystkich tych brudnych ludzi. Skupił się na kłapie. Gdyby był silniejszy czy odważniejszy, spuszczałby się teraz po bocznej ścianie domu. Potem zatrzymałby jakiś samochód albo zadzwonił od sąsiadów na policję. Byliby wolni.

Otworzywszy oczy, zobaczył, że obserwuje go hardy Koreańczyk. On siedział na swoim zwykłym miejscu pod oknem, Koreańczyk pod ścianą naprzeciwko. Po czterech dniach każdy z nich miał swój prywatny kawałek podłogi. Skorzystać z toalety, zjeść, pójść z Rojasem do telefonu – potem wszyscy wracali tam, gdzie przedtem siedzieli, nigdy gdzie indziej. Twój kawałek podłogi był twoim domem.

Jedna z mówiących po angielsku Koreanek powiedziała mu, że ten hardy ma na imię Kwan. Nic więcej nie wiedziała, chociaż podróżowali razem, odkąd ich grupa wsiadła w Seulu na pokład samolotu lecącego do Bogoty w Kolumbii. Kwan trzymał się z boku, mówił niewiele i nie miał nic wspólnego z pozostałymi.

Jack pochwycił jego spojrzenie, odwrócił głowę i popatrzył na niego ponownie. Skinął mu głową, jakby mówił „hej”, ale Koreańczyk nie zareagował. Jego pociągła, kanciasto-płaska twarz była ciepła jak granitowa maska. Miał rozciętą wargę i dużego fioletowego siniaka na policzku.

Jack znowu uciekł wzrokiem w bok i wtedy otworzyły się drzwi i weszła Krista. Zobaczył ją i od razu wiedział, że coś jest nie tak. Kris szła sztywno, jak z talerzem na głowie, a jej skóra miała kolor ciasta. Usiadł prosto, patrząc, jak idzie w jego stronę.

Był przekonany, że zaraz upadnie; wstał, kiedy podeszła bliżej. Trzęsąc się jak liść na wietrze, mocno zacisnęła powieki i przycisnęła głowę do jego piersi.

Jacka zalała fala paniki.

– Co się stało? Kris, co ci jest?

Osunęli się na podłogę i kurczowo przytulili do siebie.

– Krissy?

Podniosła głowę i siedząc tyłem do pozostałych, zniżyła głos.

– Musimy uciekać. Musimy się stąd wydostać.

Fala paniki zmieniła się w pustoszące głowę tsunami.

– Zrobili ci krzywdę?

– Nie mnie. Gwatemalce z drugiej grupy. Nic nie słyszałeś?

– Nie. Zupełnie nic.

– Miał szczypce. Torturował ją szczypcami. Kiedy wyszła na korytarz, płakała i była zgięta wpół.

– Rojas?

– Ten z zębami. Medina.

Pulsujący ból głowy trochę zelżał.

– Uciekniemy. Już niedługo. Spróbuję podnieść tę klapę.

– Garaż jest lepszy. Ucieknijmy przez garaż.

– Nie panikuj, Kristy. Przestań. Przerabialiśmy to sto razy.

Może nawet dwieście, bo od pierwszego dnia, odkąd powiedziała mu o drzwiach do garażu w pomieszczeniu gospodarczym i o włazie serwisowym, zastanawiali się, jak uciec, i opracowali dwa możliwe do zrealizowania plany, z których jeden zakładał, że przedostaną się do garażu i otworzą główne drzwi, a drugi, że Jack wejdzie na strych i ucieknie przez wywietrznik. Drzwi były wolniejsze i bardziej ryzykowne, dlatego Jack wolał ten drugi. Prowadzące do garażu drzwi w pomieszczeniu gospodarczym otwierano tylko wtedy, kiedy strażnicy wynosili kubek z odpadkami albo wnosili jedzenie, albo kiedy po prostu wychodzili, żeby załatwić coś na zewnątrz. Znaczyło to, że on i Krista musieliby być wtedy w kuchni. Z obserwacji wiedzieli, że przez pewien czas, kiedy strażnik przechodził z pomieszczenia gospodarczego do sąsiedniego pokoju, drzwi były otwarte. Trwało to krótko, ale on czy Krista, czy oni razem zdążyliby przejść z kuchni do garażu, tylko że wtedy musieliby otworzyć te przeklęte drzwi. Straszliwie hałasowały. Pracując w kuchni, Krista słyszała, jak otwierają się i zamykają. Naciskało się guzik i z łoskotem sunęły do góry. Jęczał silnik, piszczwały i skrzypiały prowadnice. Wystarczyłoby, żeby podniosły się na trzydzieści centymetrów i mogliby się pod nimi precyzyjnie przycisnąć, ale gdyby strażnicy usłyszeli hałas, upływające sekundy ciągnęłyby się w nieskończoność. I nawet gdyby zdołali się pod nimi prześlizgnąć, Jack nie był pewien, czy dadzą radę biec na tyle szybko, by im uciec. Zwłaszcza Krista.

Uznał, że właz będzie lepszy. Na strychu tych pustynnych domów panował koszmary upał, dlatego musiały mieć wentylację. Wnęki między krokiewiami były grubo izolowane, podłogę przecinały rury i przewody klimatyzacyjne, ale wiedział, że w ścianie szczytowej starszych domów są również duże otwory, wywietrzniki. Gdyby udało mu się dostać na strych, mógłby taki wywietrznik otworzyć, zeskoczyć na ziemię, pobiec do sąsiadów i wezwać policję.

Tak, droga przez strych była bezpieczniejsza i szybsza niż przez garaż, sęk w tym, że nie zdołał otworzyć włazu.

– Jutro rano – powiedziała Krissy.

– Co?

Wciąż myślał o strychu.

– Kiedy będziesz wynosił kubek. Miguel mówił, że rano będzie dostawa papieru toaletowego i oleju. Zawoła mnie, żebym mu pomogła. Wyniesiesz kubek i przyjdiesz po płyn do zmywania. Jeśli zostawią nas samych i nie zamkną drzwi, uciekniemy.

– Chcę jeszcze raz spróbować z tą klapą.

– Musimy uciekać, Jack.

– I uciekniemy. Ale najpierw spróbuję z klapą.

Krissy rozplakała się.

– Musimy uciec przy najbliższej okazji. Nie możemy tu zostać.

– Uciekniemy. Wszystko jedno jak i kiedy, chcę tylko spróbować z klapą. Jeśli jej nie otworzę, i tak pozostanie nam tylko garaż.

– Nie chcę czekać. On torturował tę dziewczynę szczypcami. Pokazał mi je. Wskazał mnie nimi...

Zaczerwienione oczy były pełne łez, łzy spływały po jej pięknej twarzy.

Jack tulił Kristę mocno do siebie i kiwał głową, próbując ją uspokoić.

– Przy pierwszej okazji. Jeśli dostaniemy się do garażu, uciekniemy tamtędy. Dobrze? Uda nam się, zobaczysz. Przy pierwszej okazji.

– Nie chcę tu być.

– Jeśli dostaniesz się tam beze mnie, uciekaj sama. Nie czekaj na mnie, dobrze? Jeśli będziesz w kuchni, a oni nie zamkną drzwi, pędź do garażu i zwiewaj. Mówię poważnie.

Krista kiwnęła głową, wybuchła płaczem i wyczuł, że dziewczyna jest bliska załamania.

Przytulił ją mocniej i pogłaskał po głowie. Miała najbardziej miękkie włosy w świecie. Bardziej miękkie niż jakiegokolwiek włosy w historii całego świata.

– Chcesz powód?

Jack drgnął. Obserwował ich Kwan. Miał nieprzeniknioną twarz.

Jack nie zrozumiał pytania i pokręcił głową.

– Dla strażników – dodał Koreańczyk. – Chcesz do kuchni?

Zerknął w tamtą stronę i przeniósł wzrok z powrotem na niego. Jack zastanawiał się, co Kwan słyszał i ile z tego zrozumiał.

– Tak. Chcę do kuchni.

Koreańczyk patrzył na niego, jakby słowa te wypływały powoli z głębi wody.

– Okay.

Jego twarz zamknęła się jak stalowe siadła i wstał. Z kubła korzystał akurat jakiś Koreańczyk w średnim wieku, ale Kwan przeszedł przez pokój, odepchnął go i podniósł kubeł. Zaniósł do drzwi i głośno krzyżąc, zaczął walić w nie pięścią. Kiedy strażnik otworzył, Kwan chlusnął na niego moczem, cisnął kubeł na bok i wrzasnął coś po koreańsku. Rzucili się na niego całą zgrają, tak jak przedtem, popchając go na ludzi siedzących pośrodku pokoju.

Potem weszli i zaczęli go bić. Zdołało go obezwładnić dopiero czterech, a kiedy skończyli, Medina spojrział na zalaną moczem podłogę.

– Przyniosę ręczniki i worek – powiedział Jack. – I mydło.

Medina przepuścił go do drzwi machnięciem ręki, odwrócił się do przytrzymywanego przez strażników Kwana i kopnął go mocno w bok. Kopnął go jeszcze trzy razy, potem ukląkł i zaczął bić go pięścią w twarz. Bił tak mocno, że za każdym uderzeniem głośno stękał, ale Kwan tylko patrzył na podłogę, spokojnie przyjmując cios za ciosem.

Jack zerknął na Kristę i pobiegł korytarzem do kuchni. Wziął płyn do mycia naczyń i rolkę ręczników i wpadł do pomieszczenia gospodarczego.

Serce waliło mu jak młotem. Nie chciał zostawiać Kristy, ale gdyby udało mu się dostać do garażu, zamierzał nacisnąć włącznik i zwać – zanurkować pod wielkimi drzwiami, prześlizgnąć się pod nimi, wybiec na ulicę i krzyżąc i wymachując rękami, zatrzymać jakiś samochód albo popędzić do najbliższego domu.

Drzwi do garażu były zamknięte na klucz. Szarpnął za klamkę i przekręcił ją, ale tamci musieli zatrzasnąć zasuwę.

Spojrzał na właz i wszedł na pralkę. Znieruchomiał, nasłuchując, czy nikt nie nadchodzi, pochylił głowę i przytknął ramiona do klapy. Mocno pchnął, ze wszystkich sił zapierając się nogami. Zapierając się tak mocno, że pralka zachwiała się i przesunęła z piskiem po betonowej podłodze.

Zamarło mu serce i znowu znieruchomiał, wyteżając słuch.

Cisza.

Spróbował jeszcze raz. Wiedział, że zaraz zaczną go szukać, ale musiał spróbować. Nie mógł tak po prostu się poddać.

Pchnął do góry najmocniej jak umiał. Pchnął jeszcze mocniej. Pchał tak mocno, aż zaczął widzieć jak przez mgłę, aż rozboleła go głowa, aż pralka przesunęła się nagle w bok. Stracił równowagę, zachwiał się i zeskoczył na podłogę.

Pralka stała teraz dobre trzydzieści centymetrów dalej.

Zza drzwi dobiegł głos Miguela.

– Sprzątniesz wreszcie to gównno czy nie? Gdzie te ręczniki?

– Szukam worków! – odkrzyknął.

Naparł na pralkę, żeby przepchnąć ją na miejsce, i wtedy, po warstwą kurzu, który zbierał się tam od lat, zobaczył czarny, podłużny przedmiot.

Podniósł go i okazało się, że to stary rybacki nóż z czarną plastikową rękojeścią. Dolna część ostrza służyła do cięcia, górna do usuwania łusek.

Miguel był coraz bliżej.

– Są na pralce.

Jack przesunął pralkę na miejsce i chwycił pudełko z plastikowymi workami w chwili, gdy tamten stanął w drzwiach.

Podniósł je do góry.

– Mam. Myślałem, że są w kuchni.

– Szybciej, posprzątaj tam. W całym domu śmierdzi jak w sraczu. Nie zapomnij mydła.

Miguel już się odwrócił.

Jack wsunął nóż za pasek spodni i wrócił do piekła.

JON STONE:
trzy dni przed uprowadzeniem Cole'a

20

Wczesnym porankiem – słońce miało wstać dopiero za godzinę z hakiem – stał na tarasie swego domu na wzgórzach nad Bulwarem Zachodzącego Słońca, patrząc, jak miasto zmienia się w złoto. Zza horyzontu sączyło się pierwsze światło nowego dnia i ciągnący się po prawej stronie ocean był czarną smugą przechodzącą stopniowo w mroczne niebo. Niedługo światło padnie na wschodnie elewacje drapaczy chmur w centrum, złocisty ogień przeskoczy na wieżowce na Wilshire Corridor, na gmachy przy bulwarze Hollywood i bliźniacze wieże w Century City.

Stanął nago na brzegu basenu, skierował podniesione ręce w stronę miasta i krzyknął najgłośniej jak umiał:

– Pocałujcie mnie w dupę!

Potem krzyknął jeszcze głośniej:

– Pocałujcie mnie w dupę!

Kochał Los Angeles, kochał swój dom i uwielbiał tu wracać. Wrócić – to wspaniałe uczucie.

Opuścił ręce i cicho dodał:

– Znowu mi się udało. Co, sukinsyny?

Zrobił szybkie salto, zanurkował, dotknął dna, odepchnął się i ociekając wodą, jednym płynnym ruchem wciągnął się na brzeg. *No problemo*. Basen był mały, ale był – Jon był zbudowany jak skoczek, ale nigdy nie uczestniczył w zawodach, ani pływackich, ani w skokach do wody. W college’u grał w futbol i bejsbol, przez cztery lata skakał o tyczce i był kapitanem drużyny dzudoków i szermierzy. Na przedostatnim i ostatnim roku w wolnych chwilach pracował jako wykidajło. Jon Stone czuł się w swoim ciele jak ryba w wodzie i lubił się trochę zmęczyć.

Wszedł do salonu, podszedł do barku i wygrzebał z lodówki karton soku jabłkowego. W domu panowała ciemność, nie licząc świecącej na granatowo listwy diodowej pod szafkami w barku. Ot, takie tam nastrojowe światło odbijające się od chromowanej stali i czarnych marmurowych blatów. Przed kąpielą rozsunął czworo ciężkich szklanych drzwi, łącząc lastrykowe wnętrze z wyłożonym terakotą tarasem i otwierając je na basen i leżące w dole miasto.

Kupił go na początku okresu spadku cen nieruchomości: dwupokojowy dom – do remontu – o powierzchni ponad stu ośmiu metrów kwadratowych na malutkiej działce przy malutkiej uliczce niedaleko Sunset Plaza Drive, w miejscu z imponującym widokiem i cudownie odosobnionym. Zarabiał nieźle, ale zarówno wtedy, jak i teraz zakup przerastał jego możliwości finansowe, dlatego to, co mu zostało, wpakował w gruntowny remont. Wielkie rozsuwane drzwi ze szkła, podłogi wyłożone lastrikiem, włoska terakota na tarasie i jasnoszary basen. Z dwóch malutkich sypialni zrobił niesamowitą sypialnię główną z widokiem na miasto, z jacuzzi, wielką kabiną prysznicową i wyłożoną drewnem orzechowym sześciometrowej długości garderobą, która była prawie pusta. Casa Stone: blaty z czarnego marmuru, niemiecka armatura, japońskie sedesy i supernowoczesna kuchnia. Do tego równie nowoczesna, sterowana komputerem aparatura audio-wideo, klimatyzacja i system alarmowy. Pakował pieniądze w dom. To była jego pasja. Dzieło sztuki, które ciągle dopieszczał. Obsesja na punkcie lokum, w którym nie mieszkał.

Broń trzymał gdzie indziej.

Prawie wszystką.

Z kartonem soku wrócił na taras i wciąż mokry usiadł na szezlongu. Woda w basenie była zimna, poranek jeszcze zimniejszy, ale jemu to nie przeszkadzało. Ostatnie trzy tygodnie spędził na wysokości trzech tysięcy sześciuset metrów w afgańskim Hindukuszu, niedaleko Przełęczy Chajberskiej przy granicy z Pakistanem. Tam było znacznie zimniej niż w tym pięknym domu nad Bulwarem Zachodzącego Słońca. Widział stąd klub Whisky. Widział czerwone, niebieskie i zielone gmachy Pacific Design Center przy Melrose Avenue, gdzie kupił za gotówkę większość mebli.

Jon Stone był zawodowym kontrahentem wojskowym, ZKW, inaczej najemnikiem. Miał stypendium National Merit na Uniwersytecie Princeton, gdzie studiował historię i filozofię, chociaż większość czasu spędził, pijąc piwo i uprawiając sport. Nauka była rzeczą drugorzędną, mimo to ukończył studia z wyróżnieniem, po czym wstąpił do wojska. Bez namysłu. Zawsze pasjonowały go wielkie bitwy i generałowie, wielkie kampanie lądowe i morskie, które ukształtowały historię i wyniosły niektórych na piedestał.

Rany, ależ on to lubił!

Szkoła oficerska. Służba w wojskach powietrzno-desantowych. W siłach specjalnych. W Delcie. Delta dała mu w kość, ale całą resztę zaliczył spacerkiem. Szybki szturm. Wejście z użyciem materiałów wybuchowych. Odbijanie zakładników. Jon chłonał to całym sobą. Kochał żołnierkę, lubił towarzystwo ludzi o podobnych upodobaniach, lubił huk, uwielbiał to, co robił, kochał zwariowane przygody, których ludzie mniejszego formatu się bali.

Ludzie.

Mniejszego formatu.

Uśmiechał się na tę myśl nawet teraz, patrząc na miasto.

Trzydzieści lat służby, cztery ostatnie lata w Delcie, i zaczął pracować na własną rękę. Nadeszła pora zobaczyć i zrobić coś innego. Pora na trochę urozmaicenia w życiu. Był żonaty sześć razy. Nie przepadał za wieloletnimi związkami. Lubił pojechać na misję i ją ukończyć, a jeśli, aby trochę zarobić, musiał komuś dokopać, to trudno. W niebezpiecznych sytuacjach serce waliło jak młotem, ale lepsze to niż zatkane tętnice.

Od powrotu z Afganistanu minęło ledwie osiemnaście godzin, w dole skrzyło się miasto, jego dupowaci sąsiedzi wciąż spali, a on już zastanawiał się, dokąd teraz pojedzie.

Ciche buczenie spod szezlonga. Zawibrowała komórka.

Stone spojrział na ekranik, rozpoznał numer Pike'a i natychmiast odebrał. Kilka razy załatwił mu robotę, wiele razy z nim pracował. Mógł mu załatwić zlecenie za dwa tysiące dolarów dziennie, minimum dwadzieścia patyków, gwarantowane i płatne z góry. A zlecenia były wyjątkowe, bez żadnych ograniczeń. Pike też był człowiekiem bardzo, ale to bardzo wyjątkowym.

– Zaróbmy trochę kaski, brachu. Czuję zapach zieleni.

– Ty mówisz po koreańsku, tak? – spytał cicho Pike.

– *Jeoneun hanguk mareul maeu jal hamnida, mueoseul algo sipeuseyo?*

Że niby mówi płynnie i o czym Pike chce pogadać.

– Może tak o koreańskiej przestępczości zorganizowanej?

Jon spędził sporo czasu w obydwu Koreach i znał hangul, ich współczesne pismo. Ale zadane ni stąd, ni zowąd pytanie wzbudziło w nim czujność.

– To zależy. O tutejszej czy tamtejszej?

– Siedzę przed pewnym lokalem przy Olympic Boulevard. Ci, których obserwuję, są raczej stąd.

Stone odpowiedział dość enigmatycznie. Dobrze znał Koreatown. Podobały mu się tamtejsze kobiety. I karaoke. Koreańczycy szaleli na punkcie karaoke.

– Może coś tam wiem. Musiałbym zobaczyć.

– Wiesz czy nie?

– Możliwe.

– Dobrze mówisz po arabsku?

Smyrg! Piłka z lewego pola i Stone od razu się uśmiechnął. Istniało wiele arabskich dialektów, poczynając od marokańskiego z berberyjskimi słowami, które brzmiały zupełnie nie po arabsku, kończąc na arystokratycznej arabszczyźnie, którą posługiwała się saudyjska rodzina królewska, zupełnie innej niż ta uliczna.

– *Enta bitarraf ana bnifham kuwajjis, esz awzani ulak bi-l-lugha-l-arabijja?*

Jon odpowiedział w tej ulicznej, mówiąc, że przecież Pike dobrze o tym wie,

i pytając, co ma przetłumaczyć.

Jon Stone mówił płynnie po angielsku, arabsku, koreańsku, chińsku, hiszpańsku, rosyjsku i francusku. Dogadywał się po persku, japońsku, niemiecku i w trzech dialektach afrykańskich. W szkole uczył się tylko angielskiego i francuskiego.

– Zapisz adres – powiedział Pike. – Przyjedź i zobacz.

– Nie słyszałem szczęku otwieranej kasy.

– Przyjedź.

– Stary, dopiero co wróciłem.

Pike nie odpowiedział i Stone wyczuł, że chce go przeczekać.

– Nie było mnie trzy tygodnie. Wciąż śmierdzą jak wielbłąd.

– Już ci tego brakuje.

Stone popatrzył na jaśniejący na wschodzie horyzont i musiał przyznać, że Pike ma rację. Osiemnaście godzin w domu, a on już chciał się czymś zająć.

– Będzie z tego jakaś kasa?

– Nie. Chodzi o Cole'a.

– Ten dupek pracuje za gówniane pieniądze. Po co ty tracisz dla niego czas?

– Nie dasz rady pomóc, to wrócisz. Będę miał u ciebie dług.

Stone od razu się ożywił. Dług to u Pike'a pieniądze. Zaczął teatralnie wzdychać, jęczeć i narzekać, jakby strasznie cierpiał, ale w duchu już się zgodził.

– No dobra. Przyjadę. Tylko gdzie?

Pike podał mu adres.

Stone nie zawracał sobie głowy karteczką i długopisem, bo wiedział, że go nie zapomni. Jon Stone nigdy niczego nie zapominał, teraz i w przeszłości. Wciąż mógł recytować z pamięci podręczniki gimnazjalne, instrukcje obsługi i konserwacji karabinu maszynowego M249 SAW i dwudziestu siedmiu innych rodzajów broni osobistej oraz obydwie tomy *Gotuj z Julią* Julii Child. Pamiętał każde słowo. Każde słowo z każdego dokumentu, książki, gazety i artykułu, jaki kiedykolwiek przeczytał. Szkoła była łatwa. W Delcie dostał w kość. Lubił dostawać w kość.

– Będę tam za pół godziny.

Położył komórkę na brzuchu. Daleko na południu w stronę lotniska sunął powoli rząd zniżających się świetlistych punkcików. Przed osiemnastoma godzinami siedział w takim punkciku przypięty pasami.

Zrobił tubę z rąk i krzyknął najgłośniej jak umiał:

– Pocałujcie mnie w dupę!

Z głębi kanionu odpowiedział czyjś głos:

– Zamknij się, dupku!

Jon roześmiał się nagi na tarasie z widokiem na złociste miasto i wszedł do domu, żeby się ubrać.

CZĘŚĆ 2

ELVIS COLE:
trzy dni przed jego uprowadzeniem

21

Mecenas Locano zadzwonił o szóstej rano, tak wcześnie, że w kanionie za domem wciąż snuły się resztki nocnej mgły. Spałem na kanapie.

- Nie spodziewałem się, że zadzwoni pan tak szybko. Wszystko w porządku?
- Przepraszam, że tak wcześnie, ale uprzedzałem.
- Tak, jak najbardziej. To żaden problem.
- Możemy spotkać się o siódmej w Echo Parku?

Stoczyłem się z kanapy i poszedłem do kuchni. Czarny kot, który ze mną mieszka, czekał przy swojej miseczce, ale nie na jedzenie. Tym razem przyniósł swoje. Na podłodze leżał trzydziestopięciocentymetrowej długości kawałek węża. Jeszcze drgał. Kocur chciał mnie pewnie poczęstować.

- Dowiedział się pan czegoś o Syryjczyku?
- Znalazłem kogoś, kto o nim słyszał. Przyjdzie na spotkanie, ale musi to być już teraz. Potem ma inne zobowiązania.

Wyniosłem węża na taras i przerzuciłem go przez balustradę. Kot wydał długie, niskie bojowe miauknięcie i ześlizgnął się do kanionu w poszukiwaniu zdobyczy. Potem będzie mi to wypominał.

Spojrzałem na zegarek.

- Za kwadrans wychodzę. Gdzie się spotkamy?
- Wie pan, gdzie jest wypożyczalnia rowerów wodnych na wschodnim brzegu jeziora? Zobacz mnie pan.

Ogoliłem się, zmieniłem koszulę i robiłem sobie szybką kawę, gdy zadzwonił Joe.

- Jon w to wchodzi – powiedział. – Zna tych ludzi. Przyjedź, pogadamy.
- Przed chwilą dzwonił Locano. Właśnie wychodzę. Możliwe, że dowiedział się czegoś o tym Syryjczyku.

– Popilnujemy beemki. Przyjedziesz, kiedy będziesz mógł.

Rzuciłem telefon na kanapę, zamknąłem drzwi i autostradą Hollywood pojechałem na południe, w stronę centrum. Była to ta sama trasa, którą jechałem na spotkanie z Nitą Morales, ale tym razem skręciłem na Echo Park, stare osiedle zbudowane wokół malowniczego jeziora. Jezioro otacza wąski pas zieleni przecięty

ścieżką rowerową. U zarania miasta, przed przerosinami do Hollywood, Echo Park było głównym ośrodkiem przemysłu filmowego i na okolicznych wzgórzach Elysian Hills i Angelino Heights swoje domy pobudowali sławni i bogaci. Po wyjeździe filmowców oblicze Echo Parku zaczęło się powoli zmieniać i teraz mieszkali tu głównie robotnicy, imigranci z Azji i Ameryki Środkowej.

Dojechałem na wschodni brzeg, zaparkowałem na ulicy i pospieszyłem do wypożyczalni rowerów. Mimo wczesnej godziny wokół jeziora było sporo biegaczy, spacerowiczów i przysadzistych kobiet o śniadej cerze, które jak ryby w ławicy sunęły przed siebie, pchając dziecięce wózki, albo zaparkowawszy je jak samochody na wyścigach starych wraków, przystawały, żeby poplotkować z przyjaciółkami.

Mecenas Locano stał między dwiema palmami tuż nad brzegiem jeziora i nie był sam. Towarzyszył mu chudy Latynos w białych spodniach i białym podkoszulku. Chłopak był łysy, miał najwyżej sto sześćdziesiąt centymetrów wzrostu i ważył nie więcej jak pięćdziesiąt kilo. Ręce i szyję miał pokryte gangsterskimi tatuażami i dawałem mu góra piętnaście lat. Patrzyli, jak ku nim idę, i Locano odezwał się jako pierwszy.

– To jest mój przyjaciel Alfredo Munoz. Fredo, to jest pan Cole, mój dobry znajomy. Jest również dobrym znajomym mojej przyjaciółki, pani Nity Morales.

– Jak się masz, Fredo. Miło cię poznać.

– Hmm, tak, pana też.

Fredo spojrzał mi w oczy i wyciągając rękę, odwrócił wzrok. Uścisk miał słaby i bezwładny, jakby się czegoś wstydził. Patrząc z bliska, zobaczyłem cieniutką warstewkę białego pyłu na jego twarzy, szyi i ramionach. Mąka. Dłonie i przedramiona były czyste, bo umył się tylko do łokci. Locano mówił dalej:

– Fredo terminuje u piekarza, niedaleko stąd. Codziennie od piątej do siódmej rano, a na ósmą idzie do szkoły.

Zrobiłem zachęcającą minę i kiwnąłem głową.

– Rany, to bardzo wcześnie. Nieźle harujesz.

Fredo uciekł wzrokiem w bok.

– Jest OK. Tak jest dobrze. Pan mecenas mi to załatwił.

Spojrzałam na Locana, pytając go niemo, co ten chłopak tu robi, ale Fredo odezwał się ponownie i odwróciwszy głowę, zobaczyłem, że na mnie patrzy.

– Ten Syryjczyk zabił Raoula. Słyszałem o nim. Powiem panu, co wiem.

Zamrugalem i zerknąłem na mecenasa.

– Raoul był jego bratem. Fredo i on tu się urodzili, ich rodzice nie. Reprezentowałem ich na rozprawie deportacyjnej.

– Jedno z dwojga to nie tak źle.

Locano miał zakłopotaną minę.

– Ich ojca deportowano, ale udało nam się zatrzymać matkę.

– Pan mecenas załatwił dla niej wizę pracowniczą. Nie jest tak źle.

Locano odchrząknął.

– Raoul pracował dla Sinaloa tutaj i w San Diego. Fredo też.

– Uhm. Byłem w Królach Eastside.

Królowie Eastside to latynoski gang powiązany z meksykańską mafią.

Zmrużyłem oczy.

– Ile ty masz lat?

– Nieważne, grunt, że już z tym skończyłem. Teraz patrzę w przyszłość.

Umilkliśmy i Locano znowu wypełnił ciszę.

– Kartele mają swoich ludzi w całych Stanach Zjednoczonych. Szukając taniej siły roboczej i koneksji, dogadują się z miejscowymi gangami. Jedną z takich spółek Sinaloas zawarli z Królami Eastside, a Królowie działają głównie w San Diego. Raoul był kierowcą. Wozili przez San Diego marihuanę i kokainę na północ.

– Robiłem tę trasę dużo razy. Tego dnia mogłem jechać razem z nim. Uhm.

Spojrzałem na chłopaka i uznałem, że ma tysiąc lat.

– Poznałeś tego Syryjczyka?

– Uhm, nie. Chciałem, szczerze, ale teraz chcę się poprawić.

– To skąd o nim wiesz?

– Ci, co przeżyli, powiedzieli nam, jak to było. Dwóm udało się zwać i ci z Sinaloa przyjechali, żeby ich osobiście przepytać. Powiedzieli, że to on, ten Syryjczyk i jego ludzie. Zastrzelili Raoula i jego kumpla Hectora, wpakowali w nich po dwie kule... – Nie zwalniając, dotknął czoła. – ...i zabrali ciężarówkę, a w ciężarówce było prawie sto kilo koki. Ja jej nie widziałem, ale tak mówili. Jesus i Ocho uciekli. Ci z Sinaloa myśleli, że chłopaki w tym siedzą, że powiedzieli Syryjczykowi, gdzie jest ciężarówka albo coś, i dali im ostry wycisk. Co za bydlaki! Odcięli Ocho palce. Pytali, skąd Syryjczyk wiedział, w którym wozie będzie towar. Musiał się jakoś dowiedzieć, i zwalili winę na Ocho. Widziałem, jak to robili. I pomyślałem, że mam dość. Nie chcę, żeby jakiś złamas strzelił mi w plecy. Mama zadzwoniła do pana mecenasa i teraz mecenas pomaga mi wyjść na prostą. I próbuje ściągnąć tu ojca. Nie jest źle.

Locano kiwnął głową i w zadumie skrzyżował ręce.

– Kiedy wspomniał pan o Sinaloa, przypomnieli mi się Fredo i Raoul.

Spojrzałem na chłopaka, potem na niego i przeniosłem wzrok z powrotem na Freda, który wyglądał teraz jak małe dziecko.

– Jesus i Ocho znali Syryjczyka osobiście? Rozpoznali go?

– Meksykanie mieli zdjęcie...

Fredo podniósł rękę, jakby mi je pokazywał, i dźgnął palcem powietrze, jakby widział je nawet teraz.

– To on? To ten, który na was napadł? A oni, że tak, to on, kto to, do diabła, jest?

Wtedy Meksykanie wymienili jego nazwisko i powiedzieli, że kiedyś z nimi pracował.

– Pracował dla Sinaloas?

– Nie dla, tylko z. Był kojotem, nie wiem, jak to jest po syryjsku, bo to drugi koniec świata. Przerzucał stamtąd ludzi do Meksyku, a potem zawoził ich tam, gdzie chcieli, ale wiem, co się stało: Sinaloas wygryźli go z branży, a on powiedział: chuj wam w dupę, nie będę dla was pracował, i zaczął ich okradać. Nie tylko ich. Bajas. Tych z Pacyfiku. Kogo tylko mógł. Ci z Sinaloa powiedzieli, że to zdziczały kojot i że dadzą mu popalić.

Przemyślałem to, zastanawiając się, czy Sinaloas nie mieli racji co do Ocho i Jesusa.

– Więc jak namierzył ciężarówkę twojego brata?

Fredo zerknął na mecenasa i z uśmiechem spojrzał na mnie.

– Mógł to zrobić tylko w jeden sposób. Ma informatorów. Meksykanie dobrze myśleli, tylko pomylili się co do Ocho i Jesusa.

– Płaci im za cynk?

– *Bajadores* tak robią. Nie można czegoś ukraść, jak się nie wie, gdzie to jest. Dlatego płacą. Poznałem tego Ocznika. Mówi, że Syryjczyk daje najwięcej.

Locano kiwnął głową.

– Rozmawiał z nim niedawno, po śmierci Ocho i Jesusa. To świeża wiadomość.

Fredo przytaknął mu, chłonąc jego każde słowo.

– On tu pracuje. Kiedyś należał do Latin Blades, ale też się wypisał. Jak usłyszał, że jestem w Królach, od razu wiedział, że trzymamy z Sinaloa. Powiedział, że mogę trochę zarobić, nie? Nie powiedziałem mu, że jestem na wylocie. Zataiłem to i pozwoliłem mu się wygadać, bo myślałem o Raoulu. Mówię: odwaliło ci, stary, wiesz, że oni chcą go zabić? Ale on mówi, że sprzedaje cynki *bajadores* ze wszystkich karteli, a oni się wzajemnie zabijają. Że Syryjczyk płaci o wiele więcej niż inni i że jak coś mam, wystarczy do niego przyjść i zarobimy obaj.

Przyjrzałem mu się.

– Myślisz, że to prawda? To, że Ocznik jest jego informatorem?

Fredo wzruszył ramionami.

– Jeździ ładną furą. U pasa ma srebrną klamrę wielką jak talerz, a na kciuku sygnet z wielkim kamieniem. Trochę popytałem. Na pewno płaci za cynk. Kosi niezły szmal, więc cała reszta też musi być prawdą.

– Powiedziałeś, że ci Meksykanie wymienili jego nazwisko.

– Uhm. Ghazi ad-Diri. Nie umiałem tego wymówić, ale poćwiczyłem, żeby zapamiętać. Ghazi ad-Diri zabił mojego brata, dwa razy strzelił mu tutaj.

Fredo znowu dotknął czoła.

– Gdybym chciał spotkać się z Ocznikiem, mógłbyś nas ustawić?

Chłopak spojrział na mnie i tym razem nie uciekł wzrokiem w bok.

– Co by mu pan powiedział?

– Że mam coś dla Syryjczyka. I chcę się z nim spotkać.

Nie odrywając ode mnie oczu, Fredo powoli kiwnął głową.

– Dlaczego Syryjczyk miałby chcieć się z panem spotkać?

Na ten temat miałem niewiele do powiedzenia i chłopak znowu wzruszył ramionami.

– Wielu próbuje go znaleźć i nie może. To, że chce pan się z nim spotkać, nic nie znaczy. Po co miałby z panem gadać? Musi pan mieć powód.

– Jakiś znajdę.

– Musi być dobry. On nie ma czasu na pierdoły.

– Znajdę dobry. Pytam tylko, czy mógłbyś skontaktować mnie z Ocznikiem.

Fredo kopnął jakiś kamyk i spojrział na jezioro.

– Myślałem o tym, co mi powiedział, że trzyma z Ghazim ad-Dirim. Myślałem i zastanawiałem się, co robić. Mógłbym wydać go Królom albo tym z Sinaloa, bo ci i ci chcą go zabić. Ale chcę się poprawić. I muszę zapomnieć o takich rzeczach.

Kiwnąłem głową. Wiedziałem, do czego zmierza.

Spojrział na mecenasa.

– Pan mecenas mówi, że szuka pan dziewczyny, którą ten skurwiel porwał, tak?

– Tak.

– Dobrze, pomogę panu. Razem z Raoulem. Dzięki temu może pomogę sam sobie z tym skończyć. Rozumie pan?

– Rozumiem. Aż za dobrze.

Zdawało się, że dopiero teraz zauważył mąkę na przedramionach. Otrzeptał ręce, szyję i twarz.

– Wyglądam jak błazen.

– Nie, Fredo – powiedział Locano. – Z mąki robisz chleb, a chleb to życie. To nie jest makijaż błazna.

Fredo potargał włosy i przyjrzał mi się przez chmurę pyłu.

– Muszę iść do szkoły. Niech pan znajdzie dobry powód. Znajdzie pan coś, co Syryjczyk połknie, to skontaktuję pana z Ocznikiem.

– Dobrze, dam ci znać.

Fredo uścisnął nam rękę i potruchtał brzegiem jeziora. Patrzyłem za nim, dopóki nie zniknął mi z oczu, potem spojrziałem na mecenasa.

On też za nim patrzył. Ciężko westchnął.

– Ten chłopiec ma czternaście lat. Dopiero czternaście lat.

Powiedziałem mu, że się odezwę, i pojechałem na spotkanie z Pikiem i Stone'em z nadzieją, że znajdziemy coś, czego Syryjczyk sobie nie odpuści.

22

Stone wcisnął się między nas, nachylił i wskazał pałeczką dwóch mężczyzn wsiadających do beemki. Jadł *bulgogi* z kopiastrą porcją *kimchee*. *Bulgogi* to cienko pokrojona wołowina z grilla, pokryta grubą warstwą straszliwie ostrej kwaszonej kapusty. Jon znał najlepsze restauracje barbeque w Koreatown. Znał również najlepsze bary, kluby karaoke, restauracje i sklepy. Kupił dla mnie *galbi* z żeberkami z grilla, a Pike'owi miseczkę warzyw z ryżem, też z grilla. Jon był tu stałym gościem i zanim do nich dołączyłem, zdążył pogadać ze swoimi kumplami.

Dźgnął pałeczką powietrze, jakby stawiał gęsim piórem kropkę nad i.

– Ten, który ciągle gada, to Sang Ki Park. Ale nie jest szefem gangu. Szefem jest jego wujek, Young Min Park. Sang jest drugim po Bogu. Należą do Ssang Yong Pa, gangu Podwójnego Smoka prosto z RK. Hard core w najpaskudniejszym wydaniu.

RK: Republika Korei.

Obserwowałem ich i słuchałem. Ten wielki, ten, któremu przylałem u Sancheza, otworzył drzwiczki i przytrzymał je dla tego, który gadał, potem usiadł za kierownicą.

– W najpaskudniejszym wydaniu znaczy brutalny?

– I to jak. Wszystkie azjatyckie gangi są takie, ale Koreańczycy są najgorsi. Przez Chiny. Jakbyś dorastał w ich cieniu, też by ci się wszystko popieprzyło.

– Przestań – powiedział Pike.

– Co przestań? Pamiętasz tych z Afryki, tych byłych wojskowych? Dlaczego odesłałeś ich do domu?

Zanim Pike zdążył odpowiedzieć, Stone zwrócił się do mnie.

– Firma przysłała nam tych trzech kutasów, Koreańców z sił specjalnych, którzy nic, tylko się tłuką. Żeby to z tymi, z którymi mieliśmy walczyć, ale nie. Bili się ze wszystkimi, z naszymi, z sojusznikami, a nawet ze sobą. Te sukinsyny to uwielbiały. Pike omal dwóch nie zabił, zanim odesłał ich do domu. – Spojrzał na Pike'a. – Jak coś przekręcę, niech się przekręcę. Było tak czy nie?

Ale Joe nie odrywał wzroku od beemki, więc Stone znowu zwrócił się do mnie.

– Widzisz? On wie, że to prawda. Te sukinsyny są agresywne jak pitbule. Chcesz jeszcze *kimchee*? Nie ma lepszej.

Podniosłem miseczkę, a on dołożył mi kapusty. Co do kapusty miał rację. Mistrzostwo świata.

– Sanchez mówi, że dali Sinaloa dwieście tysięcy za przeprowadzenie ich ludzi przez granicę. Myślisz, że zapłacą Syryjczykowi okup?

– Nigdy w życiu. Ten twój Syryjczyk zostanie z dwudziestoma czy trzydziestoma ludźmi, za których nikt nie zechce wyłożyć kasy. Sinaloas też nie mają fartu, bo jeśli żółtki nie dostaną pieniędzy albo *pollos*, rozpętają trzecią wojnę światową.

Rudy Sanchez mówił, że się niepokoją, a niepokój nie leżał w ich naturze.

Pike zerknął na Stone'a w lusterku.

– Po co sprowadzają tylu ludzi?

– Bo są im potrzebni.

– Do czego? – spytałem.

– Do pracy. Kupują bary i restauracje, ale to tylko przykrywka, bo tak naprawdę sprzedają tam prochy i podsuwają dziwki klientom. Obsługują koreańskich biznesmenów, więc chcą, żeby personel mówił po ichniemu i żeby był godny zaufania. Tak samo jak ci z Tong w Chinatown. Sprowadzają z kraju ziomków, którzy panicznie boją się policji i są całkowicie od nich zależni. Jedzenie, mieszkanie, ochrona: zapewniają im dosłownie wszystko. Ktoś taki jak Park ufa rodakom bardziej niż Amerykanom, no i ma pewność, że żaden z nich nie jest agentem federalnym.

Pike znowu zerknął w lusterko.

– Skąd ty to wiesz?

– Dwa tygodnie temu piłem z dwoma byłymi komandosami z RK. Na ramionach mieli wytatuowanego podwójnego smoka i chcieli mi zaszpanować. No i popłynęli.

Stone uśmiechnął się szeroko.

– Za dużo *soju*. Tak jak te dupki w Afryce.

Przejechali za beemką ledwie sześć ulic, gdy nagle skręciła i dwie przecznice dalej zatrzymała się przed jakimś barem.

Stone uśmiechnął się jeszcze szerzej i wredniej.

– To jakiś cud czy co? To tutaj, tutaj piłem z tymi Koreańcami.

Goryl został w samochodzie, a Park wszedł do środka. Po dwudziestu minutach wyszedł z jakimś Koreańczykiem. Ten był znacznie starszy, miał skórzastą twarz, stalowoszare włosy i ginące w zmarszczkach oczy. Nie robił wrażenia zadowolonego, ani on, ani Sang Ki Park.

Stone dźgnął pałeczką powietrze.

– To jego wuj, Young Min Park.

– Szef?

– Tak. To pierwszy bar, który przejęli. Teraz należy do niego.

Obejrzałem się. Stone wzruszył ramionami.

– Ci z RK nie chcieli się zamknąć. Gadali i gadali. Słyszysz i zapamiętujesz, tak

na wszelki wypadek.

Przeniosłem wzrok z powrotem na beemkę.

Ze sterczącymi, tlenionymi włosami i kolczykiem w uchu Jon wyglądał jak obłąkany surfer, ale wiedziałem, że służył w Delcie. Czasem zapomina się, co to znaczy. Delta kojarzy się większości z Rambo z wielką spluwą i jeszcze większymi mięśniami. Ci chłopcy to śmiertelnie niebezpieczni wojownicy, tak, ale na próżno szukać wśród nich kogoś takiego jak słynny Rambo. Aby odbić zakładnika czy przechwycić we wrogiej wiosce cel o dużym znaczeniu, najpierw trzeba go zlokalizować, dlatego żołnierzy z Deltę uczy się również zbierania i analizowania informacji. Są nieprzeciętnie inteligentni, wyglądają zwyczajnie i potrafią wtopić się w każdy tłum. Dlatego nazywa się ich wywiadowcami. Stone upił tych Koreańczyków tylko dlatego, że gromadzenie informacji miał we krwi.

Starszy Koreańczyk pogroził Parkowi palcem. Parkowi się to nie podobało, ale przyjął to ze spokojem. Starzec wpadł w jeszcze większy gniew i grożenie palcem przestało mu wystarczać. Otwartą dłoń uderzył Parka w twarz i jak burza ruszył z powrotem do baru.

– Staruszek nie przepada ostatnio za siostrzeńcem – powiedział Stone.

– O czym rozmawiali? – spytał Pike.

– Za daleko, nie wiem, ale łatwo się domyślić. Siostrzeniec stracił właśnie dwieście tysięcy dolców i kilkudziesięciu nowych pracowników. Na pewno nie gadali o awansie.

Następnym przystankiem był duży, piętrowy budynek w ciągu sklepów przy Vermont. W ostatniej fazie remontu, na górze miał klub i restaurację, na dole coś, co wyglądało na kolejny bar i klub karaoke. Na frontowej ścianie wisiał duży napis po koreańsku i angielsku: „WKRÓTCE OTWARCIE”.

– Widzicie? – rzucił Stone. – O tym właśnie mówię. Bez dobrego personelu ani rusz.

To mi się podobało. Remont? Bardzo dobrze. Wkrótce otwarcie? Jeszcze lepiej. Im bardziej będzie Parkowi zależało na odzyskaniu ludzi, tym bardziej rozpaczliwie będzie szukał sposobu ich odzyskania.

Zatrzymaliśmy się jeszcze dwa razy, przed kolejnym klubem i budynkiem komercyjnym przy Western Avenue. Park rozmawiał z podwładnymi i wszystko oglądał, jakby sprawdzał postęp prac, ale żaden z nich nie robił wrażenia zadowolonego, zwłaszcza on.

Godzinę i trzydzieści sześć minut później beemka zaprowadziła nas do małego domu między Beverly i Melrose, niedaleko wytwórni filmowej Paramount. Dom i podwórze były małe, ale bardzo zadbane, z drzewem mirtowym pośrodku ładnego klombu. Na podjeździe stał kabriolet porsche. Beemka skręciła i zaparkowała za nim. Podjazd był tak krótki, że jej kufer wystawał na chodnik.

Park wysiadł, podszedł do drzwi, przekręcił klamkę i wszedł. Bez klucza. Goryl został i opuścił boczne szyby. Wyglądało na to, że trochę tam posiedzi.

– No to zaczynamy – powiedziałem.

Pike zaparkował przed sąsiednim domem i wysiedliśmy, szybko i po cichu. Przecieliśmy podjazd i podeszliśmy do beemki, Stone od strony pasażera, my z drugiej.

Goryl dostrzegł jakiś ruch i się odwrócił, ale ja trzymałem już w ręku pistolet.

– Pamiętasz mnie?

Azjata szarpnął się w bok i znieruchomiał na widok broni.

Jon zagadał do niego po koreańsku. Goryl posłusznie położył ręce na kierownicy w pozycji za dziesięć drugą. Wtedy Jon usiadł obok niego z automatyczną czterdziestką. Odbyli krótką pogawędkę.

– Przyjechał do dziewczyny – powiedział po chwili. – Idźcie. Poradzę sobie.

– Są tam dzieci?

Stone to przetłumaczył.

– Nie, nie ma. Idźcie.

Otworzyliśmy drzwi i po cichu weszliśmy do salonu w klasycznym stylu American Craftsman. Podłoga, drzwi i wykończenia okien były zrobione z ciemnego, niemal czarnego drewna. Poszliśmy za ich głosami. Myśleliśmy, że nakryjemy ich w sypialni, ale byli na werandzie na końcu korytarza.

Siedzieli przy małym okrągłym stole w niszy pod oknem z widokiem na drzewo awokado, Sang Ki Park i młoda kobieta. Szczupła Azjatka, miała dwadzieścia kilka lat. Park zdjął już marynarkę i podwinął rękawy koszuli. Kobieta śmiała się z czegoś, a on się uśmiechał. Wszedłem do środka i śmiech ucichł. Zaskoczona Azjatka cicho sapnęła, a on wstał. Był za mądry, by sięgnąć po broń, ale wpadł w gniew i wojowniczo pochyliwszy ramiona, krzyknął coś po koreańsku. Pistolet trzymałem przy nodze, lufą w bok.

– Spokojnie. Chcemy tylko pogadać.

Pike przesunął się w prawo, ja w lewo. Podniosłem pistolet, wycelowałem w sufit, po czym obróciłem go na kabłąku rękojeścią w dół, by pokazać, że nie ma się czego bać.

– Chcieliśmy zwrócić wasze pistolety.

Pike położył je na małej wiklinowej kozetce.

Park śledził go wzrokiem, potem zerknął na mój pistolet. Schowałem go pod koszulę i pokazałem mu puste ręce.

– W porządku?

Gniew ustąpił miejsca podejrzliwości i choć wciąż czujny, Park był teraz wyraźnie zaciekawiony.

– Po co tu przyszliście?

– Zapłaciłeś Sinaloa dwieście tysięcy dolarów i je straciłeś.

Park milczał.

– Sanchezowie ich nie mają, więc nie wyciągniesz od nich ani centa. Kartel forszę ma, ale będziesz musiał o nią powalczyć.

– Tak.

– Pewnie zechcą się z wami dogadać, podzielić się po połowie, ale i tak nie odzyskasz wszystkich pieniędzy ani ludzi. A myślę, że są ci bardzo potrzebni.

Park kiwnął głową tak leciutko, że prawie się nie poruszyła. Mówiłem dalej:

– Przetrzykuje ich niejaki Ghazi ad-Diri. Żąda okupu.

– Nie zapłacimy.

– Oni zginą.

– Nie zapłacimy.

Był twardy i uparty, to dobrze.

– Będzie was doił, aż źródelko wyschnie, a wtedy ich zabije. On tak robi. Nie uwolni ich.

Parkowi drgnęło lewe oko: z fortecy uciekła pierwsza oznaka stresu. Chciał odzyskać tych ludzi. Zależało mu na nich bardziej niż na pieniądzach i pomyślałem, że musi być wśród nich ktoś bardzo mu bliski, na pewno bliższy niż zwykły robotnik.

– Syryjczyk ma kogoś, na kim zależy i mnie. Coś ci pokażę. Włożę rękę do kieszeni, mogę?

Krótkie skinienie głową.

Pokazałem mu zdjęcie Kristy Morales. Park długo mu się przyglądał, w końcu podniósł wzrok.

– To twoja kobieta?

Nie odpowiedziałem. Schowałem zdjęcie do kieszeni.

– Syryjczyk przetrzymuje ją i pewnego chłopaka. Chcę ich uwolnić.

– Bez okupu?

– Bez okupu. Nie zamierzam mu płacić. Chcę ich odbić.

– Gdzie oni są?

– U niego. Przetrzykuje ich w domu kryjówce. Jak więźniów. Ilu waszych było w transporcie?

Park myślał przez chwilę, zastanawiając się pewnie, jak powiedzieć to po angielsku.

– Dwudziestu sześciu.

– Oni też tam będą.

– Gdzie jest ten dom?

– Nie wiem, ale się dowiem.

– Jak chcesz to zrobić?

– Z twoją pomocą Syryjczyk zaprowadzi mnie tam i weźmiemy, co nasze. Zrobię

to, ale nie sam.

– Jak?

– Mam do niego dojście, ale on mnie nie zna. Nie zaprowadzi mnie do domu pełnego zakładników tylko dlatego, że powiem mu, że chcę ich kupić. Najpierw mnie sprawdzi. Musi uwierzyć, że można mi zaufać, że jestem tym, za kogo się podaję. I tu potrzebni nam są Sinaloas. Jeśli oni mi uwierzą, uwierzy i on. Ty musiałbyś ich przekonać.

Park kiwnął głową, ale nie do mnie, bo nie widział mnie, choć na mnie patrzył.

– Porozmawiam z wujem.

– Rozumiem.

– Nie, nie rozumiesz. Wśród tych ludzi jest mój kuzyn. Jego najmłodszy wnuk.

– Teraz rozumiem.

– Tak. Teraz rozumiesz lepiej.

Park cofnął się i powiedział coś cicho do kobiety. Ta natychmiast wstała i przeszła na drugi koniec werandy. Park wskazał krzesło, na którym siedziała.

– Usiądź. Porozmawiamy.

Usiadłem.

I porozmawialiśmy.

Opracowaliśmy propozycję dla Syryjczyka i plan dla kartelu, a Park wykonał kilka telefonów. Tak nawiązałem współpracę z koreańskim gangiem słynącym z wymuszeń, brutalności i przemocy i byłem o krok od tego, by zaufać kartelowi narkotycznemu słynącemu z tortur i masowych morderstw. Wmawiałem sobie, że warto. Że nie mam wyboru. Oszukiwałem się i wiedziałem, że się oszukuję, mimo to wybrałem kłamstwo.

23

Najpierw porozmawiał z wujem, potem z Winstonem Ramosem, który nadzorował transport narkotyków i ludzi przez granicę między Tijuana i Arizoną, na odcinku kontrolowanym przez Sinaloa. To właśnie on przyjął dwieście tysięcy dolarów od Sang Ki Parka za przerzut jego ludzi do Stanów Zjednoczonych i to on zapłaciłby głową, gdyby ich stracił. Na pewno dobrze o tym wiedział.

Natychmiast zaproponował ugodę co do tych dwustu tysięcy, ale Park odparł, że spodziewa się kolejnego transportu do Acapulco, i poprosił, żeby szczegóły przerzutu do Stanów Zjednoczonych Ramos omówił z przewodnikiem, który będzie przeprowadzał ich przez granicę. Potem dał mu do zrozumienia, że jeśli wszystko pójdzie dobrze, będzie skłonny przystąpić do negocjacji w sprawie pieniędzy. Ramos się zgodził. Przewodnikiem ze scenariusza miałem być ja.

Trzy godziny później nad Coachellą zerwał się wiatr, niosąc pustynny piasek, który rysował szkło jak wypieczone przez słońce szrapnele. Na podwórzu Sanchezów panował spokój i bezruch. Rudy zwolnił wcześniej pracowników i wraz z braćmi pojechał do domu. Sang Ki Park i ja siedzieliśmy w biurze, czekając na Ramosa, który wjechał w końcu na parking zielonym chevroletem impalą na kalifornijskiej rejestracji. Wyszliśmy, żeby go powitać.

Winston Ramos był niskim, kluchowatym grubasem o okrągłej głowie i pękatym ciele. Był w luźnych spodniach, a brązowa koszula bez rękawów opadała mu na brzuch jak namiot. Wsiadł i od razu podciągnął pasek.

Towarzyszyło mu dwóch mężczyzn w jego wieku, gruby i chudy. Gruby był w kowbojskich butach, a chudy wyglądał jak bokser wagi lekkiej, który porzucił ring po nieudanej karierze. Kowboj miał w ręku krótką, czarną różdżkę, trochę dłuższą i grubszą od pilota telewizyjnego.

Ramos nie zawracał sobie głowy wymianą uprzejmości. Zerknął na mnie, ale odezwał się do Parka:

– To ten przewodnik?

Wyciągnąłem do niego rękę.

– Harlan Green.

Ramos jakby tego nie zauważył i ruchem głowy wskazał mnie kowbojowi.

– Sprawdzi cię. Wiesz, co robić?

– Wiem.

Rozstawiłem nogi i rozłożyłem ręce.

Różdżka przypominała zwykły wykrywacz metalu, ale ta metalu nie wykrywała. Kowboj przesunął nią po mojej piersi, plecach, ramionach i nogach, szukając sygnałów RF i IR emitowanych przez nadajniki oraz urządzenia nagrywające i podsłuchowe. Byłem chyba czysty, bo kowboj spojrzał na Ramosa i kiwnął głową.

– Dobra, teraz on.

Kiedy kowboj podszedł do Parka, ten odtrącił różdżkę szybkim uderzeniem lewej ręki, a prawą grzmotnął go w splot słoneczny i dwa razy poprawił w twarz. Kowboj zatoczył się do tyłu i upadł na kolana, a Park spokojnie spojrzał na Ramosa.

– Chcesz mnie obszukać, to zrób to sam.

Eksbokser trochę się spóźnił i dopiero teraz wyszarpnął zza pazuchy małą, jarmarcznie błyszczącą llamę 380.

Ani Park, ani ja nie próbowaliśmy go powstrzymać, ale zanim bokser zdążył ją wyjąć, zza ciężarówek wyszli ludzie Koreańczyka. Dwunastu zabójców z tatuażami Podwójnego Smoka, wszyscy w ciemnych okularach i eleganckich garniturach.

– Chłopaki mają gust, co? – powiedziałem.

Ramos przeszył mnie wzrokiem, kazał bokserowi schować broń i pomógł kowbojowi wstać. Nie robił wrażenia wystraszonego.

– Przyjechałem dobić z tobą targu, a ty chcesz się strzelać?

Park dotknął jego ramienia.

– Chodź. Porozmawiamy na osobności.

– Wal się. Nigdzie nie idę.

Strącił jego rękę, ale Park chwycił go za ramię.

– Nikt nie chce cię zabić. Nie zamierzam ci grozić. Przejdźmy się. Z dala od nich, żeby nas nie słyszeli.

Poprowadził go przez parking do uspionej lawety. Poszedłem za nimi. Ludzie Parka przemieszczali się bez rozkazu, zabezpieczając teren i izolując goryli Ramosa, by zapewnić nam prywatność. Telepatia. A może po prostu dobrze znali swój fach.

Staliśmy na słońcu, w upale, ale byliśmy sami. Ramos wyszarpnął rękę i skulił się, jakby miał zaraz oberwać nożem.

– Co tu, kurwa, robisz? Myślisz, że się przestraszę i zwrócę ci pieniądze?

– Mogę dać wam Syryjczyka – powiedziałem.

Otak, zwyczajnie. Prosto z mostu.

Trochę go tym zaskoczyłem i chwilę trwało, zanim się otrząsnął. Spojrzał na Parka, potem zerknął przez ramię, jakby bał się, że z ciężarówek wyskoczą zaraz agenci FBI.

– O kim ty mówisz?

– O Ghazim ad-Dirim. *Bajadore*, którego nazywacie Syryjczykiem. O tym, który zabija waszych ludzi i kradnie waszych *pollos*.

– Wiem, kto to jest. A ty? Kim jesteś?

– Już się przedstawiłem. Harlan Green.

– Sranie w banię. Jesteś gliniarzem?

Łypnął spode łba na Parka.

– Podkablowałeś mnie federalnym?

– Jesteś winien panu Parkowi dwieście tysięcy dolarów.

Ramos wciąż mówił do Koreańczyka:

– Przecież uzgodniliśmy, że co do pieniędzy jakoś się dogadamy.

– Ten człowiek – ciągnąłem – okrada was i zabija waszych ludzi, a wy nie potraficie go powstrzymać.

W końcu na mnie spojrzął.

– Co ci do tego?

Do rozmowy spokojnie włączył się Park.

– On ma do niego dojście. Wysłuchasz go czy odejdziesz? – Park wyciągnął rękę w stronę jego samochodu, jakby wskazywał mu drogę. – Możesz go wysłuchać albo odejść. Wybieraj, ale on proponuje coś, na czym możemy skorzystać wszyscy trzej.

Ramos ściągnął usta. Niepokoiło go to, że Park pozwala mu odjechać. Podejrzał, że tkwi w tym jakiś haczyk, ale ponieważ bardzo zależało mu na Syryjczyku, przyjrzał mi się uważniej.

– Harlan Green.

– Korporacje, agrobiznes, małe i duże firmy tutaj i za granicą: dostarczam im niewykwalifikowanych robotników. Miałem odebrać trzydziestu z Indonezji, ale ci z urzędu imigracyjnego zgarnęli ich w San Diego, kiedy ich łódź poszła na dno. Zostałem z pustymi rękami, a mój kontrahent dogaduje się już z kimś innym, dlatego muszę jak najszybciej znaleźć kogoś w zamian.

Ramos zmrużył oczy i pokręcił głową.

– Nie wierzę ci.

– Nie musisz. Musisz tylko przekonać Syryjczyka.

Przedstawiłem mu to krok po kroku, tak jak poprzednio Parkowi.

– Pan Park chce odzyskać swoich ludzi. Syryjczyk przetrzymuje kogoś, na kim mi zależy, więc jesteśmy w podobnej sytuacji. Ty masz dwieście tysięcy i chcesz je zatrzymać, ale podejrzewam, że bardziej zależy ci na Syryjczyku. Każdy z nas ma w tym swój interes, ale on też czegoś chce.

– Czego?

– Pieniądzy. Za ludzi, których porwał.

– Park nie zapłaci.

– On nie. Ale ja tak. Złożę mu propozycję, która może go zainteresować.

– Jaką?

– Że ich kupię. Park nie chce płacić. A dzięki mnie Syryjczyk będzie mógł się ich pozbyć. Za kasę. Z ręki do ręki. Zwyczajny zakup.

Ramos oblizał usta. Po raz pierwszy słuchał mnie i słyszał.

– Jak do niego dotrzesz?

– Mam kogoś, kto dla niego pracuje. Sprawdzony kontakt. Jeśli złożę propozycję, na pewno o niej usłyszy.

– Nie zechce z tobą gadać. Nie znasz go. Niby dlaczego miałyby z tobą gadać? Możesz być agentem. Dla niego jesteś nikim.

– Ale wy powiecie mu, że jestem kimś.

– Właśnie dlatego rozmawiamy – wtrącił Park. – Dacie mu podkładkę.

Ramos pokręcił głową, ale widać było, że intensywnie myśli.

– Ryzykowne.

– Tak. Ryzykowne.

– Nie dopuści cię do siebie. Nie ma, kurwa, mowy. Niby jak miałbym ci pomóc?

– Nikt mnie nie zna. Ale jeśli moja propozycja go skusi, zaczną mnie sprawdzać.

Rozpuści wici.

– Dobrze wie, że chcę jego głowy. Myślisz, że do mnie zadzwoni i spyta, co ty kombinujesz?

– Spyta tych, którzy z nim pracowali, zanim wygryźliście go z branży. Spyta, ale oni też o mnie nie słyszeli, więc zaczną węszyć i w końcu spytają kogoś od was.

Ramos przyjrzał mi się uważnie.

– Harlan Green.

– Harlan Green.

Przeniósł wzrok na Parka.

– I odpuście sobie te dwieście tysięcy?

– Jeśli odzyskam moich ludzi, uznam, że dotrzyмалиście umowy.

Ramos kiwnął głową i zerknął na mnie. Oczy miał jak ślepiec dzikiego pustynnego psa, który zwęszył krew.

– Harlan Green.

– Tak.

– Dobrze, panie Green. Dasz mi Syryjczyka i myślę, że zostaniemy przyjaciółmi.

Nie odpowiedziałem. Ramos skinął na swoich ludzi i poszli do samochodu.

– Masz jaja – powiedział Park.

Ja też wróciłem do samochodu i odjechałem.

24

Joe Pike

Obserwował Cole'a z Parkiem i Ramosem przy szoferce długiej lawety. Tuż obok siedział Stone, który miał na oku żołnierzy Parka.

Byli po drugiej stronie ulicy, w magazynie nad warsztatem samochodowym tuż obok budki z tacos. Blisko na wypadek, gdyby coś poszło nie tak.

Stone usadowił się przy starym biurku z M4 na kolanach. Pike leżał na sąsiednim, patrząc przez celownik optyczny Zeissa zamontowany na remingtonie 700 z nabojem 7 mm magnum w komorze. Za pomocą tego celownika i karabinu trafiał w owoc kantalupy z ośmiuset metrów.

– To jest pojebane. – Głos Stone'a.

Pike nie oderwał oka od okularu. Cole, Ramos i Park. Celownik był wyposażony w dalmierz laserowy i w prawym górnym kwadrancie obiektywu migotały czerwone cyferki wskazujące odległość. Elvis Cole i tamci stali ledwie czterdzieści dwa metry dalej. Mógłby ich trafić z zamkniętymi oczami.

– Dobrze wiesz. Zaryzykuje własny tyłek dla tych dwóch palantów? Jak coś przekręcę, niech się przekręcę. Na pewno nie.

Ramos odszedł.

– Dwójka.

– Mam go.

Pike śledził przez celownik Cole'a i Parka, Stone – Ramosa. Park był numerem jeden, Ramos numerem dwa. Gdyby coś nawaliło, Jon miał zdjąć Ramosa, a Stone – Parka. Potem otworzyliby ogień osłaniający, żeby Cole mógł uciec. Gdyby został ranny albo zginął, zlikwidowałiby wszystkich obecnych na podwórzu.

– Tak, tak – ciągnął Jon – wiem, że teraz najważniejszy jest czas i tak dalej, ale uwierzyć, że wprowadzą go tam i nic nie wygadają? W naszej branży mówi się, że to „wątliwe”. Dwójka i jego chłopcy wsiadają do samochodu. *Hasta luego*, kutasy.

– Przyjąłem.

– Wyjeżdżają na ulicę. Odjechali.

– Przyjąłem.

Park i Cole skończyli rozmawiać i się rozdzielili. Pike wziął na muszkę Parka.

– Mam jedynekę.

– Ja też. Cole wraca do samochodu. Jedyńska podchodzi do swoich.

Pike widział to przez swój celownik. Park podszedł do dwóch swoich, zamienił z nimi kilka słów i ruszyli do beemki. Na znak od Stone'a Pike mógłby zdjąć wszystkich trzech w niecałe dwie sekundy.

– Chcę tylko powiedzieć... Czy ty mnie słuchasz? Syryjczyk musiał skądś wiedzieć o tej ciężarówce, co znaczy, że ktoś z ekipy Ramosa albo Parka sypie ich za kasę. Ten skurwiel może taplać się w informacjach. Pomyślałeś o tym?

Beemka odjechała. Pike przesunął celownik na żółtą corvette Cole'a. Była brudna. Opuścił karabin i wstał.

– Tak. Też mi się to nie podoba.

Spakowali sprzęt i szybko zeszli na dół.

**JACK I KRISTA:
sześć dni po uprowadzeniu**

25

Jack siedział pod ścianą, obejmując Kristę, gdy z głębi domu dobiegł przytłumiony krzyk. Krista zamknęła oczy i zasłoniła uszy. Kwan ocknął się, zamrugał i odpędziwszy resztki snu, usiadł prosto. Dwie Koreanki płakały, nastolatek z Salwadoru się modlił, ale oni też usłyszeli ten krzyk, wysoki, ostry i urwany.

Kwan podszedł do drzwi. Twarz miał opuchniętą i posiniaczoną, mimo to załomotał w nie z wściekłością. Strażnicy nie zareagowali.

Rojas i Medina zajrzeli do nich kilka minut przedtem. Rojas sprawdził coś w notesie, a potem wskazał Koreańczyka, który siedział w kucki z dwiema kobietami. Mężczyzna miał duży brzuch, wystające przednie zęby i był w drucianych okularach. Medina poprowadził go do telefonu. Trzy minuty później Koreańczyk zaczął przeraźliwie krzyczeć, głośniejszy niż którekolwiek z nich, a ostatnio krzyczało ich coraz więcej.

Podczas gdy Kwan szalał pod drzwiami, Jack wymacał nóż pod brzegiem wykładziny. Kiedy go dotykał, czuł się bezpieczniej. Bojąc się, że gdyby nosił go w spodniach, strażnicy mogliby coś zauważyć, podwinął wykładzinę i zrobił pod nią skrytkę. Kriście nóż pokazał, ale Kwanowi nie.

Bał się go, chociaż od awantury z kubłem odnosili się do siebie przyjaźnie. Strażnicy potwornie go pobili, ale Kwan przyjmował ciosy jak nagrodę. A potem nie robił wrażenia zastraszonego ani wystraszonego. Patrzył im prosto w oczy, jakby prowokował ich do tego, żeby znowu go pobili. Jack doszedł do wniosku, że Koreańczyk jest albo nieustraszony, albo nieprawdopodobnie twardy.

Kiedy stał tak bez koszuli, waląc pięściami w drzwi, widać było jego twarde, rozedrgane mięśnie. Skórę miał pocętkowaną śladami od elektrycznej pałki, ale Jacka bardziej zastanawiały jego blizny. Na brzuchu i plecach miał trzy czy cztery długie, pomarszczone szramy, możliwe, że od ran, i duże, guzowate wgłębienie, które wyglądało na bliznę po postrzale. A całą górę jego pleców pokrywał niesamowity tatuaż przedstawiający dwa rozwścieczone smoki zwrócone do siebie jak przed pojedynkiem.

Kwan grzmotnął w drzwi ostatni raz i wrócił na swoje miejsce. Na krótko spotkali

się wzrokiem i usiadł.

Wszyscy się bali, bo strażnicy coraz gorzej ich traktowali. Medina coraz częściej torturował ich szczypcami. Kiedy pieniądze przestawały płynąć, spokojny i rozsądny Rojas stawał się surowy i bezwzględny. Groził, mówił straszne rzeczy i niektórzy wracali we łzach, opowiadając, że podczas rozmowy telefonicznej on i Medina wykręcali im palce albo razili ich prądem, żeby rodzina słyszała, jak krzyczą.

Jack zastanawiał się, co zrobili pulchnemu Koreańczykowi, że tak potwornie był. Wszyscy czekali, żeby się dowiedzieć, ale kiedy otworzyły się drzwi, do pokoju wszedł tylko Rojas, który wygłosił krótką przemowę. Tłumaczyła jedna z młodych Koreanek.

– Na pewno ucieszy was wiadomość, że pan Chun jest już w drodze do domu. Jego rodzina była dzisiaj hojna. Powiedzcie swoim, żeby poszli w ślady jego bliskich. Przelali pieniądze i pan Chun padnie niedługo w ramiona ukochanych. Jeśli wasze rodziny też będą z nami współpracowały, wy również wróćcie do domu. Jeśli nie, to nie.

Zaczekał, aż Koreanka skończy tłumaczyć, i wyszedł. Podekscytowany nowiną tłum głośno zaszemrał, ale Jack zauważył, że Kwan szyderczo się uśmiecha.

– Dobra wiadomość. Jeden wyszedł.

Kwan prychnął i oparł się o ścianę.

– On nie ma rodziny. Ci, do których dzwonił, nie zapłacili.

– Rojas kłamał?

– Nie zapłacili.

Jacka zmroziło. Zrozumiał, co Kwan chce powiedzieć, i znowu sięgnął po nóż. Pocałował Kristę we włosy i szepnął:

– Zrobimy to, OK? Po prostu pójdziemy tam i zrobimy.

Krista kiwnęła głową, wciąż z twarzą wtuloną w jego ramię.

Myśleli o tym codziennie, ale drzwi do pomieszczenia gospodarczego były ciągle zamknięte na klucz, a jeśli je otwierano, w pobliżu kręciło się za dużo strażników. Zawsze coś było nie tak, ale postanowili, że spróbują znowu. Wiedzieli, że za kilka minut Miguel przyjdzie po kucharki. W kuchni Krista była bliżej drzwi. Jack mocno wierzył, że okazja do ucieczki na pewno się nadarzy, że to tylko kwestia czasu.

Znowu ucałował jej miękkie włosy.

– Obiecuj mi coś.

– Co?

– Musimy się stąd wydostać, tak? Ktoś musi stąd uciec, nawet jeśli będzie to tylko jedno z nas.

– Uciekniemy oboje.

– Wiem, tak, spróbujemy, ale posłuchaj, dobrze? Jeśli trafi ci się okazja, kiedy nie będzie mnie w pobliżu, uciekaj. Biegnij na ulicę i uciekaj. A jeśli dostaniemy się do

garażu razem i tamci przyjdą, zanim zdążymy prześlizgnąć się pod drzwiami, musisz uciekać sama. Dobrze?

Krista usiadła prosto.

– Nie rozumiem. Co ty mówisz?

– Żebyś na mnie nie czekała. Jeśli uda ci się wydostać z garażu, uciekaj, a ja ich zatrzymam.

Popatrzyła na niego i skinęła głową.

– Myślisz, że ona nas znajdzie?

– Tak, na pewno, ale nie możemy czekać. Jeśli będzie okazja, po prostu uciekaj.

Rozmowę przerwały im otwierające się drzwi i Miguel kazał jej iść do kuchni.

Dwie minuty po tym, jak wyszła, wrócił Rojas. Wskazał Jacka i rozkazał:

– Chodź, panie kubłowy. Skoro już mamy czekać, aż mamusia wróci z wycieczki, musisz zarobić na swoje utrzymanie. Mam dla ciebie robotę.

– Kubel?

– Nie. Coś innego.

Jack zerknął na Kwana, wstał i Rojas zaprowadził go do łazienki. Na stercie poprzecieranych ręczników czekała na niego pianka czyszcząca, butelka środka odkażającego i plastikowa szczotka.

– Umyj wannę. Tylko nie wyrzucaj ręczników. Wypierzemy je. Kiedy skończysz, zanieś je do kuchni i daj Miguelowi. Rozumiesz?

– Tak. Rozumiem.

– Kiedy mama wraca?

– Nie wiem. Chyba za dziesięć dni. Straciłem poczucie czasu.

– Oby tylko nie wydała wszystkich pieniędzy.

Rojas uprzedził strażnika w korytarzu, że Jack będzie sprzątał, i odszedł. Strażnik oparł się o ścianę. Zdążył się już znudzić.

„Oby tylko nie wydała wszystkich pieniędzy” – to jakiś żart? Zastanawiając się, co Rojas miał na myśli, Jack przestąpił nad stertą ręczników, żeby zajrzeć do wanny. W całym domu cuchnęło moczem i fekaliami, ale tu, w tym małym, ciasnym pomieszczeniu, smród był jeszcze silniejszy.

Kafelki były obryzgane czymś czerwonym, jakby drobinkami farby z pędzla. Na bokach beżowej wanny widniały bladoczerwone smugi, a wokół odpływu zebrała się różowa piana rozrzedzona żółtą cieczą. Jak mała wyspa pływał tam również kłębek czarnych włosów zlepiony czymś w kolorze wątroby, a dno przecinały trzy smugi czegoś brązowego i luźnego. Jack nie rozumiał początkowo tego, co widzi, potem zrozumiał i dotarło do niego, że tu umarł pan Chun. Zabili go, tutaj, w tej wannie, to tutaj tak strasznie krzyczał. Poderżnęli mu gardło albo go zadźgali i wykrwawił się na śmierć. Tu zginął. Tu go zamordowali.

Zabijają nas.

Zabijają nas!

Zatrzęsły mu się ręce, potem górna połowa ciała. Po chwili trząsał się już cały, jak źdźbło trawy na silnym wietrze.

Zerknął na strażnika, który obserwował go zaspanymi, jaszczurczymi oczami.

Wziął butelkę środka dezynfekcyjnego i psiknął na dłoń. Powąchał rękę i wciągnął głęboko ostry zapach, próbując zabić potworny smród unoszący się w łazience. Popsikał na wannę i ściany, psiknął w powietrze i znowu głęboko odetchnął, żeby chemikalia znieczuliły nos. Wytarł wszystko ręcznikami. Psiknął na wannę pianką czyszczącą, która osiadła na niej jak płatki niebieskiego śniegu, zwilżył ją płynem, potem dokładnie zebrał krew i mocz, aby już i tak brudne i cuchnące ręczniki wyglądały jeszcze ohydniej. Chciał, żeby przesiąkły zapachem śmierci, żeby były tak obrzydliwe, że nie chcąc ich dotknąć, Miguel każe mu włożyć je do pralki.

W pomieszczeniu gospodarczym.

Z drzwiami do garażu.

Wyszorował i wytarł wannę, zebrał zakrwawione, zabrudzone moczem i kałem ręczniki i spojrzał na strażnika.

– Już. Samuel kazał zanieść je Miguelowi.

Uprzedzony przez Rojasa strażnik ruchem ręki wskazał drzwi do kuchni i zrobił mu przejście.

– *Gracias* – powiedział Jack.

Tulił do siebie ostatnie szczątki pana Chuna jak przekarmione dziecko. Z każdym krokiem był bliżej kuchni, Miguela i Kristy, ale kręciło mu się w głowie i czuł się oderwany od własnego ciała.

Zabijają nas.

Nagle zrozumiał żart Rojasa o pieniądzech matki. Zabili pana Chuna, bo jego rodzina nie chciała lub nie mogła zapłacić. Ten sam los czekał ich wszystkich. Kiedy skończą się pieniądze, jedno po drugim wykrwawią się na śmierć w wannie.

Musieli uciec. Jeszcze dzisiaj. Teraz. Natychmiast. Dlatego musiał tę ucieczkę zorganizować. Rozpaczliwie potrzebował jakiegoś planu, ale gdyby wrócił po nóż, strażnik mógłby nie wypuścić go już z pokoju. Chciał wtajemniczyć Kwana, chciał, żeby Koreańczyk uciekł razem z nimi, ale Kwan był w pokoju i kółko się zamykało. Gdyby tam wrócił, mógłby już nie wyjść i Krista zostałaby w kuchni sama.

Upuścił kilka ręczników, żeby zyskać na czasie. Musiał to zrobić teraz, sam, bez noża. OK, dobra. Weź się w garść i zrób to. Pomyśl!

Jeśli drzwi do garażu były zamknięte, Miguel musiał mieć klucz. Miguel był roślejszy i silniejszy od niego, ale był również leniwy i głupi i zawsze odwracał się do niego plecami. Dobrą bronią mogłaby być ciężka patelnia albo duża puszka pomidorów, które Krista dodawała do zupy. Każda ważyła z kilogram.

Mógłby zwabić Miguela do pomieszczenia gospodarczego, mówiąc, że pralka

wysiadła. Gdyby udało mu się chwycić patelnię albo puszkę, musiałyby tylko za nim stanąć. Był gotów zrobić wszystko, żeby tylko otworzyć drzwi.

Bał się tak bardzo, że łzawiły mu oczy. Tuląc do siebie mokre ręczniki, szybko zamrugał i poszedł w stronę kuchni.

Miguel zwykle odpoczywał na składanym krześle przy drzwiach, on i jego tłuste dupsko. Tam spał, tylko że teraz krzesło było puste.

Mając nadzieję, że jest w pomieszczeniu gospodarczym albo w garażu – tak byłoby najlepiej – Jack przyspieszył kroku.

Waliło mu serce, w uszach dudniła krew – wszedł do kuchni, szykując się do walki, ale...

Miguela tam nie było. I w ogóle nie było tak, jak się spodziewał.

Krista leżała na podłodze, a nad nią stał Medina. Leżała z podniesionymi rękami, jakby się broniła. Twarz miała we krwi.

Świat Jacka skurczył się i zmienił w rozmyty tunel wypełniony głośnym rykiem. Zobaczył Kristę i stojącego nad nią Medinę, potem Medina zobaczył jego i powoli rozciągnął usta, odsłaniając koszmarnie wyszczerbione zęby.

Bez chwili wahania i namysłu Jack przepłynął w powietrzu przez spadające ręczniki i zaatakował.

26

Kiedy Miguel ją przyprowadził, Marisol była już w kuchni. O blat opierał się leniwie Modliszka, ale na widok Miguela czmychnął do salonu.

Miguel trącił nogą karton puszek i plastikowych toreb na podłodze przy lodówce.

– Czerwona fasola i ryż. Dwie torby, prawie pięć kilo. Do tego liście laurowe i chili. Widzicie? Będzie smaczniejsze.

Marisol zajrzała do kartonu, Kriście było wszystko jedno. Wzięła największy garnek, wstawiła go do zlewu i odkręciła kran.

Marisol położyła fasolę i ryż na blacie, wzięła garnek i łyżkę i stanęła przy niej, czekając na swoją kolej. Jeden gar na fasolę, drugi na ryż.

Miguel podszedł do drzwi, usiadł na krześle i otworzył czasopismo samochodowe.

Krista zerknęła na niego, by upewnić się, czy ich nie obserwuje. Nie była wysoka, ale szepcząc do drobniutkiej Marisol, musiała patrzeć na nią z góry.

– Nie wiedziałam, że on umie czytać.

– Nie umie. Ogląda obrazki.

Uśmiechnęły się do siebie i skupiły na garnkach. Krista lubiła Marisol. Dziewczyna pochodziła z Ekwadoru i miała kuzynów w Anaheim. Aby dostać się do Stanów Zjednoczonych, przez dwa miesiące jechała przez Meksyk. Marzyła o pracy pokojówki u bogatej pani z Beverly Hills i o tym, żeby codziennie wyprowadzać na spacer jej białe pudelki.

Trąciła Kristę łokciem.

– Jak tam u was?

Wraz z drugą grupą więźniów, z których wielu pochodziło z Ameryki Środkowej, mieszkała w sąsiednim pokoju. Krista znowu zerknęła na Miguela.

– Nie za dobrze. Torturują nas.

– Naszych też. Jak nie dostają pieniędzy, robią im krzywdę, aż wszyscy krzyczą i płaczą. Ta dziewczyna z Chile... – Marisol spojrzała na Miguela i jeszcze bardziej zniżyła głos. – Ten z zębami jej tam dotykał. Rozmawiała przez telefon z mamą, a on dotykał jej i mówił do słuchawki, co robi.

Krista nie odezwała się, dopóki nie postawiły pierwszego garnka na kuchenkę

i nie wróciły, by napełnić drugi. Fasolę trzeba było umyć, więc wrzuciła ją do garnka, zanurzyła rękę i zamieszała.

Słyszając słowa Marisol, poczuła, że włoski na karku stają jej dęba, i natychmiast przypomniała sobie szcypce Mediny, to, jak na nią patrzył. Chciało jej się krzyczeć, ale spróbowała powiedzieć coś podnoszącego na duchu.

– Dzisiaj wypuścili jednego z naszych. Bardzo krzyczał. Wszyscy to słyszeliśmy, ale jego rodzina chyba zapłaciła. Odesłali go do domu.

Oczy Marisol zrobiły się wielkie jak spodki.

– Wypuścili go?

– Kilka minut temu. Pewnie już pojechał.

Marisol powoli pokręciła głową.

– Nie, Krista. Nie. Oni go nie wypuścili.

– Pojechał. Rojas mówił...

Marisol odwróciła się do niej i natarczywym głosem dodała:

– Oni nikogo nie wypuszczają. Oni tylko biorą pieniądze. Nigdy nie mają dosyć. Jeśli rodzina nas nie znajdzie, musimy uciec. Ty nic nie wiesz?

Krista zastanawiała się, co odpowiedzieć, gdy otworzyły się drzwi do pomieszczenia gospodarczego i Miguel zerwał się z krzesła. Do kuchni wszedł Medina. Był w brudnej, poplamionej koszuli, ręce i przedramiona miał usmarowane czymś tłustym.

Miguel uśmiechnął się głupawo.

– Mam coś zrobić? – spytał, mizdrząc się jak ratlerek.

Medina zignorował go i powoli rozpiął koszulę. Otaksował spojrzeniem Marisol, potem Kristę. Zdejmował koszulę jak zrzucający skórę wąż, w końcu cisnął ją na podłogę.

Patrzył na Kristę, ale mówił do Marisol:

– Upierz. W gorącej wodzie z wybielaczem.

Marisol szybko podniosła koszulę i wyszła do pomieszczenia gospodarczego.

Krista usłyszała czyjś przytłumiony głos, trzask drzwiczek i w garażu zawarczał silnik. Załaskotały drzwi.

Miguel spróbował jeszcze raz.

– Chyba wszystko gra, co nie? Mam coś zrobić?

Krista odwróciła się do nich tyłem, bo nie znosiła, kiedy Medina obmacywał ją wzrokiem. Barczysty, z pozbawioną włosów piersią, był dobrze umięśniony, ale miał już swoje lata i był brudny. Luźna skóra zwisała z niego ohydnyimi bladymi fałdami.

W końcu spojrzął na Miguela i rozkazał:

– Sprawdź garaż. Zobacz, czy Orlato nie upuścił czegoś na podłogę. Weź wybielacz.

Miguel szybko wyszedł.

Patrząc na wypełniający się wodą garnek, Krista wyczuła, że Medina idzie w jej stronę. Poczowała ciepło jego ciała. Stał tuż za nią.

– Odsuń się.

Odepchnął ją na bok i umył ręce, splukując brud do fasoli.

– Daj mydło.

Wycisnął na przedramiona niebieską wstążkę mydła i mocno je spienił. Oplukał ręce nad fasolą, zakręcił kran i stanął przodem do niej. Ociekał wodą.

– Wytrzymaj mnie.

Krista zerknęła w bok, szukając Marisol, Modliszki czy Miguela, ale byli sami.

– Wytrzymaj mnie. Nie widzisz, że jestem mokry?

Medina podszedł bliżej, więc cofnęła się, wciąż nie mogąc spojrzeć mu w oczy.

– Powinnaś być dla mnie miła.

Krista chciała cofnąć się jeszcze dalej, ale chwycił ją za szyję tak szybko, że upadła na niego, podniosła wzrok i zobaczyła jego wyszczerbione zęby. Zdzieliła go pięścią, próbowała się wyszarpnąć, ale tylko się roześmiał. Potem przestał się śmiać i uderzył ją mocno w twarz.

Upadła, nawet o tym nie wiedząc. Odbiła się od blatu, wylądowała na podłodze i spojrzała na niego przez roziskrzoną mgłę. Miał długie nogi, jeszcze dłuższe ręce, wydawał się bardzo wysoki i mówił dochodzącym z daleka głosem:

– Będzie przyjemnie, zobaczysz.

Gumowe ramię spłynęło do niej z sufitu, więc wyciągnęła ręce, żeby je odepchnąć, i wtedy jak spod ziemi wyrósł przed nimi Jack. Przeleciał nad nią w powietrzu i jak rozwścieczony kundel runął na Medinę.

Medina upadł na plecy. Szczepieni ze sobą rękami i nogami przetoczyli się przez kuchnię. Jack charczał i stękał i na ułamek sekundy spotkali się wzrokiem.

– Garaż.

Krista z trudem wstała, ale nie pobiegła do garażu. Chwyciła garnek z kuchenki i wzięła zamach, ale wtedy do kuchni wpadł Modliszka i podniósł ją do góry. Zaraz potem nadbiegł Miguel i inni i wszyscy stłoczyli się tam, żeby popatrzeć.

Medina przygniół Jacka do podłogi i zaczął go bić podnoszącą się i opadającą jak kafar pięścią.

Krista szarpała się i wyrywała, ale Modliszka mocno trzymał.

– Przestań! Zabijesz go!

Błagała, próbowała mu pomóc, ale Medina nie zareagował.

– Przestań!

Otworzyły się drzwi i z garażu wyszedł mężczyzna z włosami ściągniętymi w kucyk.

Miguel i Modliszka natychmiast postawili Medinę na nogi. Szarpał się z nimi, ale na widok tego z kucykiem momentalnie przestał.

– On jest ranny! – błagała Krista. – Potrzebuje pomocy! Spójrzcie na niego! Proszę!

Jack leżał na brzuchu. Z uszu spływały mu na twarz strumyczki krwi.

– Trzeba sprowadzić lekarza! Nie widzicie? Proszę!

Mężczyzna z kucykiem spojrział na Jacka, przeniósł wzrok na Medinę i zmarszczył brwi.

– Przez ciebie tracę pieniądze.

– Problemy dyscyplinarne. Trzeba trzymać ich w ryzach.

Ten z kucykiem popatrzył na strażników, na wszystkich po kolei, wreszcie spojrział na Kristę. Miał tak zatroskaną twarz, że zatliła się w niej iskierka nadziei, ale on przeniósł wzrok na Medinę i powiedział:

– Martwi nie są nic warci. Rozumiesz? Pozbądź się go, zanim tamci go zobaczą. I posprzątaj tu.

Do Kristy słowa te dotarły dopiero wtedy, kiedy on i Rojas ruszyli do drzwi. Jack był ranny, nie było lekarza, więc chcieli go zabić i pozbyć się ciała.

Wykrzyczała jedyną rzecz, która – gorąco się o to modliła – mogła uratować mu życie.

– On jest bogaty! Oni są bogaci! Dlatego jego matka tak długo siedzi za granicą!

Mężczyzna z kucykiem zerknął na Rojasa, a ten powiedział:

– To ten, którego matka jest w Chinach. Dopóki nie wróci, nie mamy do kogo dzwonić.

– Ona ciągle wyjeżdża – nie ustępowała Krista. – Moja mama mówi, że mają dużo pieniędzy. Jeśli umrze, nic nie dostaniecie.

Ten z kucykiem zastanawiał się przez chwilę, w końcu kiwnął głową.

– Zobaczymy. Zróbcie, co się da.

Potem on i Rojas zniknęli w korytarzu, a Miguel i inni pochyłili się nad Jackiem. Modliszka wciąż trzymał ją za ramię, gdy Medina nachylił się ku niej i wyszczerzył zęby.

– Kiedy pojedzie, zadzwonisz do domu. Do mamusi. I dopilnuję, żebyś głośno krzyczała.

Uśmiechnął się lubieżnie i kazał Modliszce zaprowadzić ją do pokoju.

Krista była przerażona, ale trochę jej ulżyło. Zdradziła im tajemnicę Jacka i to go uratowało. Mało brakowało i powiedziałyby im, z kim Jack jest spokrewniony i dlaczego szuka go armia ludzi. Tamtej nocy umówili się, że nie powiedzą tego *bajadores*. Gdyby bandyci się dowiedzieli, od razu by go zabili. Teraz mogli się tylko modlić, żeby szybko ich znaleziono.

Modliszka zaprowadził ją do pokoju.

Mężczyzna z kucykiem wyjechał godzinę później.

Medina dotrzymał słowa.

Kazał jej zadzwonić do matki.

Użył swoich strasznych zębów i głośno krzyczała.

27

Nancie Stendahl

Otworzyła okno, by wpuścić do środka powietrze pachnące kwitnącym nocą jaśminem. Non stop z Waszyngtonu do Los Angeles, cztery godziny w powietrzu, lotnisko i czterdzieści minut później była już w kanionie Kenter w Brentwood. W domu. Przyjechała tu po telefonie od naczelnika policji w Coachelli, który zadzwonił do niej przed czterema dniami.

Uwielbiała jeździć kanionem nocą, gdy pachniał jaśmin, koper i eukaliptusy, gdy w świetle reflektorów można było zobaczyć kojota albo jelenia. Wąska ulica zaczynała się na Bulwarze Zachodzącego Słońca: pięła się stromo między gęstymi drzewami i luksusowymi domami, w końcu widać już było tylko usiane gwiazdami niebo, a pod nim miasto ciągnące się aż po wschodni i południowy horyzont. Odkąd przed dwoma laty przeniesiono ją do kwatery głównej ATF, Biura ds. Alkoholu, Tytoniu, Broni Palnej oraz Materiałów Wybuchowych, bardzo brakowało jej tych widoków, ale na pewno nie tego, że komórka co rusz gubiła tu zasięg.

– Zaraz nam przerwie. Jadę do Bonnie.

– Słyszysz mnie?

– Na razie tak, ale zaraz przestanę.

Wicedyrektor Nancie Stendahl reprezentowała ATF w utworzonej przez Kongres grupie specjalnej, w skład której wchodziłi przedstawiciele FBI, ICE, DEA oraz stanowych i lokalnych agencji strzegących granicy amerykańsko-meksykańskiej. Ich zadaniem było zwalczanie działalności narkotykowych gangów po meksykańskiej stronie. Tony Nakamura był jej oficerem łącznikowym. W normalnych okolicznościach komuś jej rangi biuro podstawiłoby samochód, ale ten wyjazd miał charakter prywatny.

– Mówię, że ci od senatora dobierają mi się do tyłka, bo zaraz konferencja, a ty wybyłaś.

– Senator może do mnie dzwonić przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, jestem pod telefonem.

– Tak im powiedziałem.

– Powiedz, że muszę potwierdzić pewne informacje, że to konieczne, jeśli chcą

mieć pełny raport.

Czekała, ale zasięg szlag trafił. Wiedziała, że wróci na szczycie kanionu, ale było jej wszystko jedno. Miała na głowie inne sprawy.

Hanley Park, ostatni zakręt i zatrzymała się przed eleganckim, nowoczesnym domem z zapierającym dech w piersiach widokiem na Pacyfik. Należał do jej młodszej siostry i odziedziczyła go, kiedy Bonnie i Mel zginęli w wypadku samochodowym na Pacific Coast Highway. Do wypadku doszło przed czterema laty, kiedy akurat zmieniała męża i była głównym śledczym w placówce ATF w Los Angeles. Teraz, cztery lata później, już z nowym mężem, nową pracą i życiem w stolicy, wracała tu tak często, jak mogła, ale nie z powodu domu.

Wyjęła z bagażnika walizkę na kółkach, zarzuciła torebkę na ramię i poszła do drzwi. Dom wyglądał normalnie. Pały się zewnętrzne światła, a delikatna poświata bijąca z za matowych bocznych lamp mówiła, że palą się i światła w środku, chociaż te włączały się i gasły automatycznie.

Weszła i włączył się alarm, głośno krzycząc, że zostało jej tylko sześćdziesiąt sekund na jego wyłączenie i że zaraz potem zjawi się tu policja. Wprowadziła czterocyfrowy kod (rok urodzin swego siostrzeńca) i alarm ucichł.

– Hej, jesteś w domu? To ja, Nancie!

Weszła do dużego pokoju z widokiem na basen (też kontrolowany automatem) tak czysty i nieruchomy, jakby wypełniło go tylko powietrze.

– Hej, staruszkule!

Dom był schludny, wysprzątnany i czyściutki. Szła do sypialni, kiedy zadzwonił telefon. Myślała, że to Tony, ale zerknęła na wyświetlacz i zobaczyła kierunkowy: 760. 760 to Palm Springs.

– Stendahl.

– Eee... mówi sierżant Conner Hartley z policji w Palm Springs. Chciałbym rozmawiać z panią... aaa... Nancie Stendahl.

– Przy telefonie.

Nie znała tego głosu, ale nie miało to żadnego znaczenia. W ciągu ostatnich czterech dni miała dużo telefonów z tamtych okolic.

– Eee... dyrektor Nancie Stendahl? Z ATF w Waszyngtonie?

Jakby nie mieściło mu się to w głowie.

– Wicedyrektor, ale dziękuję za awans. Znaleźliście mojego siostrzeńca?

– Eee... przykro mi, ale nie, pani dyrektor. Szef kazał mi zadzwonić. Mam przekazać, że części fordka mustanga, które znaleźliśmy w Coachelli, pochodzą z pojazdu zarejestrowanego na... eee...

Dokończyła za niego.

– Fundusz powierniczy Arrowhead Trust, z Nancie Stendahl i Jackiem Bermanem jako beneficjentami i współpowiernikami.

– Właśnie. Kradzieży nie zgłoszono ani tutaj, ani w Los Angeles. Sprawdziliśmy dwa razy, i w policji, i w biurze szeryfa na wypadek, gdyby coś przeoczyli, ale nie, nikt tego nie zgłosił.

Policja z Coachelli i biuro szeryfa hrabstwa Riverside rozbiły gang złodziei samochodów, który miał w Coachelli dziuplę. Sprawdzając numery rejestracyjne i numery silników skradzionych pojazdów, śledczy natrafili na forda mustanga należącego do Arrowhead Trust, funduszu powierniczego, którego adres korespondencyjny pokrywał się z adresem siedziby ATF w Waszyngtonie. Naczelnik tamtejszej policji natychmiast zadzwonił do niej, by spytać, czy wciąż jest jego właścicielką.

– Ci, których nakryliście w dziupli, powiedzieli, gdzie ukradli mój wóz?

– Eee... trzeba by spytać tych z Coachelli, to oni ich aresztowali. Ja nie wiem.

– Siedzą jeszcze w areszcie?

– Hmm, musiałbym sprawdzić.

– Sierżancie – powiedziała chłodno Nancie. – Mógłby pan przekazać mój numer swojemu przełożonemu i poprosić go, żeby zadzwonił do mnie osobiście? Byłabym wdzięczna za telefon jeszcze dzisiaj, bez względu na porę.

– Tak, pani dyrektor, dobrze.

– Jeszcze jedno. Zagłądaliście do mojego domu w Palm Springs?

Do Arrowhead Trust, którego beneficjentem był Jack, a powiernikiem ona, należał dom w kanonie Kenter, dom w Palm Springs oraz pozostałości majątku Bonnie i Mela.

– Tak. Naczelnik wysłał tam paru naszych. Wszystko jest w porządku.

– Dziękuję, sierżancie. Niech go pan poprosi, żeby do mnie zadzwonił.

– Tak jest, pani dyrektor.

Nancie rozłączyła się i popatrzyła na rozświetlony błękit basenu, zastanawiając się, gdzie jest Jack, dlaczego jego mustang skończył w dziupli i dlaczego nikt nie zawiadomił policji o kradzieży. Myślała o tym, odkąd zadzwonił do niej naczelnik policji w Coachelli, i nie podobało jej się żadne z możliwych wyjaśnień. Natychmiast zadzwoniła do Jacka, napisała do niego e-mail i wysłała SMS-a – od tamtej pory dzwoniła i pisała do niego codziennie, ale nie odpowiadał. Wysłała tu paru kumpli z ATF w Los Angeles, ale nie zauważyli nic podejrzanego.

– Niech to szlag – syknęła.

Rzuciła torebkę na kanapę, zdjęła żakiet, rozsunęła szklane drzwi i wyszła nad basen.

Kiedy zginęli Bonnie i Mel, Jack był niepełnoletni. Siostrze i szwagrowi wiodło się bardzo dobrze: oboje byli prawnikami, mieli dom w kanonie i drugi w Palm Springs. Doszło do tego olbrzymie odszkodowanie od pijanego kierowcy, który ich zabił. Nancie założyła fundusz powierniczy z Jackiem jako współpowiernikiem

i głównym beneficjentem. Ponieważ była wtedy po rozwodzie i mieszkała sama, przeprowadziła się tu i opiekowała nim, dopóki nie rozpoczął studiów; potem dostała awans i przenieśli ją do stolicy. Pod względem finansowym Jack był dobrze zabezpieczony, tylko że nagle zniknął.

Przejrzała listę kontaktów w telefonie i zadzwoniła do głównego śledczego w przedstawicielstwie ATF w Los Angeles. Odebrał natychmiast.

– Hej. Nie za późno?

– Nie dla ciebie, szefowo. Dzwoni, kiedy tylko chcesz. Przyjechałaś?

– Tak, jestem u siostry. Weszłam pięć minut temu.

– Jacka nie ma?

– Nie.

Kiedy kierowała oddziałem w Los Angeles, John Taylor był jej zastępcą. Był bystrym, twardym agentem z długą listą spektakularnych osiągnięć na koncie i miał wybitne zdolności kierownicze. Kiedy dostała awans, to właśnie on przejął ster. Należało mu się.

– Jak ci pomóc? Mówisz i masz.

– Policja w Coachelli, policja w Palm Springs, biuro szeryfa hrabstwa Riverside. Chcę mieć wszystko, co wiedzą o tej dziupli.

– Załatwione.

Nancie odwróciła się i weszła do domu.

– Jutro rano chcę spotkać się z tamtejszymi śledczymi.

– Załatwione.

– I chcę pogadać z tymi, których tam nakryli. Jeśli któryś wyszedł za kaucją, niech go zgarną i doprowadzą.

– Nie ma sprawy. Coś jeszcze?

Nancie przystanęła na środku salonu. Spojrzała na bezprzewodowy telefon na kuchennym blacie i monitor systemu alarmowego na ścianie.

– Mam tu dwie linie naziemne, w Palm Springs jedną. Jest jeszcze komórka Jacka. Posadź kogoś do tego. Numery masz w papierach.

– I w telefonie. Sprawdzimy wszystkie połączenia przychodzące i wychodzące z ostatnich dwóch tygodni. Zrobimy listę.

– Jest tu system nadzoru wideo. Nagrywa przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, kasuje się po dwóch tygodniach. Chcę mieć zdjęcia wszystkich, którzy tu wchodzili albo stąd wychodzili.

– Masz dostęp przez net?

– Tak. Poszukam kodu.

– Załatwione. Coś jeszcze?

Intensywnie myśląc, Nancie spojrzała na lśniący basen.

– Nie. Na razie tyle. Dzięki.

– Kiedy chcesz zacząć?

– Jak najszybciej.

– W ciągu dwóch godzin Mo i Roach usiądą do tych telefonów. Przyślij mi kod, to sprawdzą nagranie na laptopach. Jeśli nie znajdziesz kodu, wymontują twardego dysk. Wystarczy, że im powiesz.

– Dzięki, JT.

– Znajdziemy go. Zaufaj mi.

– Zawsze ci ufałam. I zawsze będę.

Nancie rozłączyła się i przeszła się po domu. Dom Bonnie. Dom jej młodszej siostry.

Ona chciała mieć dzieci, ale nie mogła. Dlatego całym sercem hołubiła Jacka i kochała go jak własnego syna. Może nawet bardziej. Na pogrzebie, nad grobem Bonnie i Mela, tuliła go do siebie, zalewając go łzami. Poprzysięgła sobie w duchu, że zajmie się ich synkiem, że będzie opiekowała się nim do końca swych dni, tak jak robiłaby to Bonnie.

I tak było. Aż do teraz.

– Znajdę go, Bon. Dobrze wiesz, że znajdę.

CZĘŚĆ 3

28

Danny Trehorn

Dwadzieścia jeden minut po szóstej rano Danny wyszedł spod prysznic, wycierając ręcznikiem głowę, plecy i tyłek tak energicznie, jakby czyścił szmatką buty; szybko zbliżała się siódma, *tea time* dla tych czterech adwokatów z Los Angeles, którzy nie umieli grać, ale nie dostawali szału, kiedy coś spieprzyli. Specjaliści od dramatyzowania dawali kiepskie napiwki, ale ci byli spoko.

Rzucił ręcznik na zasłonę, popsikał się dezodorantem i zerknął na zegarek. Gdyby wyszedł o szóstej trzydzieści, za piętnaście siódma byłby już w klubie: odbiłby kartę, wziął wózek, zapakował do lodówki wodę i bąbelki i spokojnie czekał na swoich patałachów.

Super.

Szorty, klubowa koszulka polo, skarpetki. Elegancja Francja, mógł wychodzić.

Właśnie zawiązywał sznurówki, kiedy coś grzmotnęło w drzwi tak głośno, że omal nie narobił w majtki.

Bum! Bum! Bum!

Dosłownie w tym samym momencie zadzwoniła komórka.

Bum! Bum! Bum!

Danny zerknął na ekranik wyświetlacza, zobaczył ATF i wtedy zza drzwi ktoś krzyknął:

– Danielu Trehorn! Policja! Proszę otworzyć!

Co to, kurwa, jest? Jakiś kawał czy co?

Z jednym butem na nodze, z drugim w ręku dokuśtykał do drzwi i wyjrzał przez judasza. Prosto na niego patrzył groźnie nachmurzony rudowłosy mężczyzna z policyjną odznaką.

Danny otworzył: stało przed nim pięcioro ludzi. Dwóch mundurowych oraz dwóch mężczyzn i kobieta po cywilnemu.

Rudy opuścił odznakę.

– Daniel Trehorn?

Danny'ego ogarnął strach.

– Tak. Co ja zrobiłem?

– Nancie Stendahl z ATF – przedstawiła się kobieta. – Wejdźmy do środka.
Nie poprosiła. Rozkazała.

O tym, żeby zadzwonić do klubu i uprzedzić, że spóźni się na *tea time*, Danny pomyślał dopiero po wyjściu agentów, ale wtedy nie miało to już żadnego znaczenia, zresztą było mu wszystko jedno. Policja szukała Jacka. I Danny chciał im pomóc.

ELVIS COLE:
czterdzieści dwie minuty przed jego
uprowadzeniem

29

Lawrence „Ocznik” Gomez jeździł granatowym audi coupé z przyciemnionymi szybami i magnezowymi felgami, i tak powiedział Pike’owi i Stone’owi, tylko że tym razem zajechał przed Burger Kinga wyblakłą szarą furgonetką. Pierwszego kontaktu z wrogiem nie wytrzymuje żaden plan działania.

Ocznik spojrzał na mnie swoim dziko roztańczonym okiem. Niczym przechodzący przez drogę wąż, przez jego twarz falami przebiegł obojętny uśmiech.

– Wskakuj. On nie lubi czekać.

– A mój wóz?

– Niedługo wrócimy.

Pike i Stone, w dwóch samochodach, byli gdzieś w pobliżu, ale nie wiedziałem gdzie ani nie zamierzałem ich szukać. Przyjechałem na parking godzinę przed Ocznikiem. Oni godzinę przede mną.

Obszedłem furgonetkę i wsiadłem. Samochód był jak pustynna tragedia na kółkach, ale klimatyzację miał w porządku.

– Gdzie się podziało audi?

– Dali mi ten. Żebyś nie widział, gdzie jedziemy. Komórkę zostawiłeś w samochodzie?

– Tak jak kazałeś.

Miałem nie zabierać telefonu, zegarka, pagera ani niczego elektronicznego. Upredził, że zostanę obszukany. Syryjczyk miał swoje zasady i nie było od nich żadnych odstępstw.

– Znajdę coś i albo to wyrzucimy, albo wracasz do domu.

– Wiem. Uważałem.

– Dobra. Jeśli coś nie wypali, to tylko z twojej winy.

Ocznik miał sto osiemdziesiąt pięć centymetrów wzrostu i skórę koloru mocnej kawy latte, bo był półkrwi Salwadorczykiem, półkrwi Afroamerykaninem. Kiedy miał dwanaście lat, jego ojciec przyłożył mu w prawy policzek cegłą z żużlobetonu. Kości oczodołu uległy zmiążdżeniu, skutkiem czego zapadł mu się policzek, a skóra pokryła czarnymi i różowymi cętkami. Oko wyglądało jak jajko ugotowane na miękko.

Uwolnione od kości, gniewne i niewidzące, w wiecznej wędrówce obracało się na wszystkie strony, rażąc wszystkich upiornym spojrzeniem. Stąd ksywka. Ocznik. On nazywał je okiem czarodziejskim. Podobno widziało prawdę.

Dwa dni wcześniej Fredo wskazał mi go, gdy stał przy swoim audi naprzeciwko baru niedaleko Echo Lake. Bar był miejscem spotkań „nielegalnych” Salwadorczyków, którzy przychodzili tam, by podzielić się wiadomościami z domu. Bywały tam również nowo przybyłe kojoty, które przed podróżą na południe oferowały swoje usługi tym, którzy mieli w kraju krewnych lub przyjaciół. Ocznik wykorzystywał swoje salwadorskie pochodzenie i magiczne oko do zdobywania informacji o transportach *pollos*, które następnie sprzedawał Syryjczykowi i innym *bajadores*. Żerując na swoich.

Zagadałem do niego i sprzedałem mu swoją historyjkę, nie wspominając o Syryjczyku ani nie zdradzając, gdzie można znaleźć transport gotowych do pracy robotników. Zastrzegłem tylko, że nie będę robił interesów z Sinaloas. Sugerując, że coś między nami nie gra, dałem Syryjczykowi powód, by mnie sprawdził. Syryjczyk sprawdził i uznał, że jestem w porządku.

Dwa dni później spotkałem się z Ocznikiem na parkingu przed Burger Kingiem. Niecałe trzy kilometry po tym, jak wsiadłem do jego furgonetki, zjechaliśmy z autostrady na niezagospodarowany teren pod Rancho Mirage i zatrzymaliśmy się na drodze serwisowej.

– Wsiadaj. Łatwiej będzie na zewnątrz.

– Tutaj?

– Jasne. Tamci gównem stamtąd widzą.

Staliśmy na otwartej przestrzeni i widać nas było z przejeżdżających autostradą samochodów, mimo to przesunął po mnie czarodziejską różdżką. Bardzo fachowo, co znaczyło, że musiał robić to już przedtem.

– Dobra, wsiadaj. Teraz buty.

Wsiadłem i zacząłem je ściągać, ale mnie powstrzymał.

– Najpierw przejdź do tyłu, między fotelami. I tak będziesz tam siedział.

Przecisnąłem się między przednimi siedzeniami, zdjąłem i podałem mu buty.

Furgonetki panelowe to wozy robocze. Ta nie miała z tyłu okien, a jej ładownia wyglądała jak brudne metalowe pudło cuchnące pestycydami i smarem. W identycznej Angelo Buono i Kenneth Bianchi torturowali i zabijali swoje ofiary, nagrywając ich krzyki.

Ocznik sprawdził buty równie dokładnie jak mnie: obmacał je w środku, wyjął wkładki, obejrzał podeszwy i sznurowadła. Sznurowadła sprawdził palcami, potem do każdego buta włożył różdżkę. Wreszcie zwrócił je i podał mi poszewkę na poduszkę.

– Włóż.

Podczas naszej porannej rozmowy telefonicznej uprzedził mnie, że będę musiał

włożyć na głowę torbę, żebym nie widział, dokąd jadę. Zgodziłem się, ale teraz byłem w ciemnej furgonetce, która pachniała pestycydami i kojarzyła mi się z Dusicielami z Hillside.

– Bez tego się nie da? I tak nic stąd nie widać.

– Żartujesz? Lepiej nie zaczynaj.

Oko łypnęło na mnie gniewnie, powędrowało dalej, wróciło i zniknęło w czaszce. Było rozwścieczone i zastanawiałem się, co w tej furii widzi.

Ocznik potrząsnął poszewką.

– Wkładaj. Uprzedzałem cię i powiedziałeś, że spoko. Wkładaj albo wracamy na parking.

Wziąłem poszewkę i naciągnąłem ją na głowę. Pachniała czystością i była chyba z egipskiej bawełny.

– Do twarzy mi?

– Lepiej zacznij się przyzwyczajać, bo włożysz ją dzisiaj jeszcze parę razy.

– Jak to?

– Tak łatwo do niego nie trafisz. To zabezpieczenie. Zanim się spotkacie, czeka cię jeszcze parę takich przejazdów.

Ocznik odpalił silnik i wróciliśmy na autostradę. Nawet w poszewce na głowie czułem na sobie jego oko, gniewne i paskudnie łypiące. Czarodziejskie.

Tkwiąc w poszewkowym potrzasku, byłem łatwym celem i miałem tylko nadzieję, że Pike i Stone są w pobliżu.

JOE PIKE:
w dniu uprowadzenia Elvise Cole'a

30

Pike obserwował corvetę Cole'a ze stacji Shella po drugiej stronie autostrady, czterysta metrów przed Burger Kingiem. Czarny rover Stone'a parkował po stronie Cole'a, czterysta metrów za Burger Kingiem. Bez względu na to, w którym Cole pojechałby kierunku, jeden z nich miałby go na oku.

W uchu Pike'a odezwał się głos Jona:

– Jest ruch.

Obaj mieli słuchawki w uszach. Zabrali również telefony satelitarne, ale zwykła komórka była lepsza pod warunkiem, że miała zasięg i była wyposażona w wojskowy GPS.

– Nic.

Co znaczyło, że Pike nie widzi pojazdów. Stone miał lepszą pozycję i lornetkę.

– Furgonetka cofa...

Auto pojawiło się w polu widzenia Pike'a. Ten przekręcił kluczyk w stacyjce i powoli ruszył.

– Mam ich. Cole jest w środku?

– Potwierdzam. Jezu, szkoda, że nie widzisz kierowcy. Co za morda!

Furgonetka skręciła, oddalając się od Pike'a.

Pike dodał gazu i na pierwszym skrzyżowaniu wjechał na autostradę. Musiał przepuścić nadjeżdżające samochody i stracił furgonetkę z oczu, ale zygzakując między strumieniami pojazdów, szybko ją dogonił.

– Osiem wozów za nią. Obok żółtego tira.

– Szukam.

Zanim zdążył wpaść w rytm, furgonetka włączyła prawy migacz. Ujechali niewiele ponad kilometr.

– Migacz.

– Cholera, nie widzę cię.

– Las Palmas. Zachodnia strona.

– Szukam.

Zwolnił, żeby zwiększyć odległość. Z tyłu zatrąbił klakson, potem drugi, ale on

zahamował jeszcze mocniej, bo furgonetka skręciła w ulicę między dwoma dużymi, niezagospodarowanymi placami. Zatrzymała się na otwartym terenie.

Pike zjechał z autostrady, ale skręcił w przeciwnym kierunku, obserwując ją w bocznym lusterku. Zatrzymał się sto metrów dalej, na parkingu przed outletem z domowymi meblami.

– Stoją na pustym placu.

– Widzę. Wysiedli. Tamten go obszukuje. Na widoku, cholera.

– Jestem na północ od nich. Ustaw się po drugiej stronie.

– Przyjąłem.

Wiedział, że rewizja nie potrwa długo, i rzeczywiście nie trwała. Cole i Ocznik wsiedli, pojechali dalej na południe, a potem na wschód, pozostawiając za sobą bogate okolice Rancho Mirage i Palm Desert i wjeżdżając do dzielnicy robotniczej Indio.

Pike i Stone często zmieniali pozycję, żeby Ocznik nie zauważył podążającego za nim pojedynczego samochodu. Pike odpadł właśnie do tyłu, gdy w słuchawce zabrzmiał głos Jona:

– Migacz.

Pike był siedem wozów za nim. Miał przed sobą pięć sedanów, dwie półciężarówki i motocyklistę na harleyu. Stone włączył lewy migacz i zameldował:

– W lewo przy Taco Bell.

– Widzę.

– Muszę zwolnić. Podjedź.

Pike lekko dodał gazu.

Furgonetka minęła Taco Bell i wjechała do dzielnicy mieszkalno-przemysłowej. Ruch natychmiast zmalął, co utrudniało im obserwację, dlatego Stone jeszcze bardziej zwiększył odległość. Pike trzymał się dwie przecznice za nim, śledząc na GPS-ie siatkę ulic na wypadek, gdyby musiał nagle wykonać jakiś manewr.

– Migacz – zameldował Stone. – Zatrzymuje się. Trzy ulice dalej. Ja też staję.

Pike natychmiast skręcił w prawo, wcisnął pedał gazu i z piskiem opon skręcił w pierwszą w lewo, uważając na dzieci i nadjeżdżające z naprzeciwka samochody. Pięć ulic dalej przyhamował, dwa razy skręcił w lewo i z przeciwnej strony powoli wyjechał na tę, którą tu przyjechali. Szara furgonetka stała na podjeździe trzy domy dalej, czekając, aż otworzą się drzwi garażu.

– Żółty dom po twojej prawej – powiedział. – Numer trzy-sześć-dwa.

Wszystkie domy były tynkowane, miały jasne dachy z kompozytu, wywietrzniki na strychu nad ścianą szczytową, dobudowany garaż na dwa samochody i podniszczony płot z siatki. Na większości podwórek rosły drzewa i krzewy, ale na podwórzu przed tym żółtym leżał tylko spieczony przez słońce piach i kamienie.

Pike ruszył z jednej strony, Stone z drugiej. Garaż był już otwarty, ale w środku

stał duży zielony SUV i brakowało tam miejsca dla furgonetki. Pike zdążył jeszcze dostrzec wysiadającego Cole'a i musiał jechać dalej.

– Garaż otwarty. Wysiadają.

– Widzę. Ocznik i Elvis. W garażu. Zamykają się drzwi. Czekaj.

Pike skręcił w pierwszą w prawo i szybko zawrócił. Zatrzymał się tuż przed skrzyżowaniem. Stone wykonał taki sam manewr ulicę dalej.

Z miejsca, gdzie stał, Pike widział drzwi do garażu, drzwi frontowe, dwa okna frontowe i dwa boczne. Okna były zamknięte, rolety opuszczone. Wszystkie, we wszystkich oknach, opuszczone tak nisko, że nad parapetem nie było najmniejszej szparki.

Pike opuścił szybę i przypomnieli mu się masajscy myśliwi. Zastanawiał się, czy usłyszałyby, jak dom do niego przemawia. Patrzył i słuchał.

Czekał niecałe pięć minut, gdy drzwi do garażu znowu drgnęły.

– Jon.

– Widzę.

Drzwi nie zdążyły się jeszcze otworzyć, gdy prześlizgnął się pod nimi Ocznik. Wyszedł i od razu wrócił do furgonetki.

– Widzisz tego pojeba z okiem?

– Widzisz Elvisa?

– Nie, tylko pojeba.

Drzwi się zamknęły.

– W garażu ktoś był?

– Nie, tylko on.

Ocznik wycofał na ulicę, minął Pike'a i odjechał.

– Kurwa, co jest? – warknął Stone.

Czekali. Minęła minuta. Minęły dwie.

– Myślisz, że przetrzymują tam zakładników?

Pike nie odpowiedział.

– Że jest tam ten Ad-Diri?

– Ciii.

Trzy minuty po odjeździe Ocznika drzwi znowu ożyły i znowu powędrowały na szynach do góry. Kiedy się otworzyły, z garażu ostrożnie wyjechał tyłem zielony ford explorer. Szyby miał tak ciemne, że prawie czarne.

– Wypad w teren – rzucił Stone. – Co robimy? Jedziemy za nim czy zostajemy?

Drzwi się zamknęły. Garaż był teraz pusty, co nie znaczyło, że pusty jest i dom.

Ford wycofał na ulicę i odjechał, mijając Jona.

– Widziałeś kogoś? – spytał Pike.

– Nie. Nie przez te szyby. Myślisz, że on tam jest? Elvis.

– Nie wiem.

– Więc co robimy?

Pike patrzył na dom. Nie było sposobu, by dowiedzieć się, czy Cole tam jest, czy go wywieźli.

– Jedź za explorerem. Ja zostanę tutaj.

– Wykonuję.

Obserwując dom, Pike wyteżał słuch, by usłyszeć głosy, których nie słyszał nikt inny.

31

Jon Stone

Przejechali przez Indio, przejechali przez Coachellę i znaleźli się na pustyni. Ford trzymał się prawego pasa, ani razu nie wyprzedził innych, ani razu nie zrobił nic niezwykłego. Jon uznał, że to podejrzane.

Jechał tak daleko za nim, że musiał korzystać z zeissowskiej lornetki, którą trzymał na kolanach. Spoglądał przez nią co pięć minut, by sprawdzić, czy jest tam, gdzie powinien być, i tak, był gdzie trzeba.

Minęli Thermal, które – jak na pustynne miasto – ma całkiem niezłą nazwę, i pomyślał, że mogą tak jechać aż do Meksyku, ale zaraz za lotniskiem ford skręcił na wschód.

Rover Jona miał turbodoładowanie, więc bez trudu dogonił go i minąwszy Salton Sea, znaleźli się w małym osiedlu otoczonym farmami. Jon zadzwonił do Pike'a.

– Wygląda na to, że jedziemy do kolejnego domu. Jestem w Mekce, tym miasteczku na północnym brzegu jeziora.

Pike nie odpowiedział, jak to Pike.

– U ciebie coś się dzieje?

– Nie.

– Pojeb wrócił?

– Nie.

„Nie”. Jednosłowne odpowiedzi. Typowa dla Pike'a antyrozмова.

– Dobra. Będę meldował.

– Jon.

– Tak?

– Zrobiłem obrót.

Co znaczyło, że obszedł i sprawdził dom. Znaczyło to również, że się niepokoi. Pike był najlepszym zwiadowcą, jakiego Stone znał, ale obchodząc dom po piachu i kamieniach, prosił się o kłopoty. On też o tym wiedział i rozumiał, jakie z tym łączy się ryzyko.

– Rolety są nie tylko opuszczone. Są przybite do parapetu gwoździami. Dom jest zamknięty.

- Było coś słycać?
- Nie.
- Klimatyzatory?
- Szumią.
- Jeśli chcesz tam wejść, wróć. Rozpirzimy drzwi i wejdziemy.
- Nie. Pilnuj tamtych.
- Przyjąłem.

Ford włączył migacz i Stone zwolnił. Uliczki były wąskie i musiał teraz zachować jeszcze większą ostrożność. W tej zapuszczonej okolicy jego wart osiemdziesiąt tysięcy dolarów wóz rzucał się w oczy jak błyszczący czarny brylant, ale nie żeby się tym przejmował. Było to kolejne wyzwanie, a on uwielbiał wyzwania. Dzięki nim życie było ciekawe.

Zerknął na GPS i stwierdził, że uliczki tworzą prostokątną siatkę. Kaszka z mleczkiem.

Trzy przecznice dalej tamten skręcił w prawo. Stone odczekał dwie sekundy, też ostro skręcił w prawo i wcisnął pedał gazu. Włączyło się turbodoładowanie i rover wystrzelił przed siebie jak F18 z katapulty na lotniskowcu. Na pierwszym skrzyżowaniu kopnął pedał gazu, poleciał do przodu i zobaczył, jak tamten przejeżdża przez równoległe skrzyżowanie trzy ulice dalej.

Jechał za nim żabką przez trzy skrzyżowania, ale na czwartym ford już się nie pokazał. Stone skręcił w lewo, potem znowu w lewo i rozciągnął usta w uśmiechu.

– Mam cię, sukinsynu.

Po prawej stronie, cztery domy dalej, ford wjeżdżał przodem do otwartego garażu. W środku stał jakiś pojazd, ale Jon nie rozpoznał marki ani modelu. Zaczekał, aż drzwi się zamkną, i przejechał przed domem.

Dom miał czerwony dach i wyblakłe różowe ściany. Stone zawrócił i zaparkował tyłem na wolnym miejscu po drugiej stronie ulicy, trzy domy dalej. Wcisnął się między półciężarówkę dodge'a i toyotę cruiser z nadzieją, że tutaj rover wtopi się w tło.

Przyjrzał się domowi, szczególną uwagę zwracając na okna. Tak jak w tamtym, w tym też rolety były opuszczone do samego parapetu, a na działce nie dostrzegł najmniejszego ruchu. Wywietrzniki nad ścianą szczytową miały kształt drzwiczek i jeden był otwarty, jakby spadł z zawiasów. W przeciwieństwie do spieczonego słońcem podwórza przed domem w Indio, na podwórzu tego rosły dwa kostropate dęby, z boku nierówny rząd cedrów, a nad garażem zamontowano białą tablicę do kosza. Obłaziła z farby, a siatka już dawno odpadła.

Zastanawiał się właśnie, kiedy po raz ostatni ktoś przerzucił piłkę przez obręcz, gdy drzwi garażu ożyły, odsłaniając ciemnozielonego forda i czarnego cadillaca escalade. Jon osunął się w fotelu.

Cadillac wyjechał na ulicę tuż przed nim. Stone zobaczył kierowcę i sylwetkę siedzącego z przodu pasażera, ale pasażer był tylko cieniem.

Nie wiedział, co robić, jechać za nimi czy dalej pilnować forda, w końcu postanowił zostać. Tańczy się z tą, z którą przyszło się na imprezę.

Przeszedł na tylne siedzenie i rozpiął zielony worek marynarski. Pogrzebał w nim, wyjął twardy plastikowy kuferek, otworzył go i przejrzał jego zawartość.

Dla zdobycia informacji często musiał posługiwać się różnego rodzaju urządzeniami podsłuchowymi i monitorującymi. I zastanawiał się teraz, czy nie warto by zajrzeć do wnętrza domu. Wystarczyłoby wywiercić dwuipółmilimetrowej średnicy dziurkę w ścianie i wsunąć do niej kamerę z mikrofonem na przewodzie cieniutkim jak ołówkowy grafit.

Już wybierał wiertło, kiedy drzwi garażu otworzyły się po raz kolejny. Jon zamknął kuferek.

Patrząc, jak ford wyjeżdża tyłem na ulicę, zauważył, że w garażu nie ma rupieci, które ludzie zwykle tam gromadzą. Nic nie zwisało z sufitu, pod ścianami nie było kartonów, rowerów, kosiarek czy ozdób choinkowych. Szybko przeszukał swój bank pamięci i stwierdził, że garaż tego drugiego domu też był czysty i wysprzątany.

Ruszył za fordem. Minęli lotnisko w Thermal, przejechali przez Coachellę. Już myślał, że wracają do Indio, ale skręcili na zachód, na La Quinta i Indian Wells, a potem na południe.

Spojrzał na GPS i zobaczył, że szosa odbija od ludzkich osiedli i omijając od zachodu Salton Sea, prowadzi donikąd, w głąb pustyni Anza-Borrego. Samochodów było coraz mniej, więc stopniowo zwiększał odległość i w końcu, aby zobaczyć forda, musiał korzystać z lornetki. Prawie przez dwadzieścia minut jechali z prędkością stu dziesięciu kilometrów na godzinę, wreszcie w oddali rozbłysły światła hamowania. Stone natychmiast zwolnił i zerknął na GPS, myśląc, że biegnie tam jakaś droga, ale nie zobaczył nic. Przeszedł na widok satelitarny i powiększywszy obraz, wypatrzył cieniutką nitkę odchodzącej od szosy drogi. Pewnie bitej.

Ford skręcił i spod jego kół natychmiast wytrysnął pióropusz pyłu, który Jon zobaczył nawet bez lornetki.

– Kurwa – zaklął.

Zwolnił jeszcze bardziej. Nie bał się, że go zgubi, bo pióropusz rzucał się w oczy, sęk w tym, że teraz było mu znacznie trudniej. Skoro on widział forda, ford mógł zobaczyć jego.

Tuż przed skretem zjechał na pobocze i jeszcze raz odszukał drogę na wyświetlaczu. Ekran pokazywał kilka cieniutkich nitek, które kilkanaście kilometrów dalej krzyżowały się z kolejną nitką. Ford jechał teraz drogą, która odbijała skosem od szosy i nieco dalej łączyła się z inną, biegnącą równoległe do szosy. Ta druga krzyżowała się z trzecią, a trzecia zawijała z powrotem do szosy. Jon uśmiechnął się

na ten widok, ruszył i dodał gazu.

Siedem kilometrów dalej – pokonał tę odległość z prędkością stu siedemdziesięciu kilometrów na godzinę – skręcił w tę trzecią. Pióropusz pyłu został w tyle i ciągle się oddalał. Stone zerknął na GPS i powoli pojechał za fordem. Podążał za nim prawie przez cztery kilometry, aż tamten się zatrzymał.

Zatrzymał się i on i skierowawszy lornetkę na czubek opadającego pióropusza, w drżącym z gorąca powietrzu dostrzegł coś błyszczącego. Wyjął z worka zeissowską lunetkę na małym trójnogu; okazała się idealna do wypatrywania wroga na skalistych zboczach gór Afganistanu. Ustawił ją na masce rovera, wyregulował ostrość i zobaczył forda.

Wóz stał na wzniesieniu niedaleko niskiej kamiennej ściany. Dwie małe sylwetki niosły w krzaki coś dużego. Zaniosły, wróciły i wyjęły z samochodu kolejny pakunek. Jon miał mrozące krew w żyłach przecucie, że w jednym z nich może być ciało Elvise Cole’a.

Tamci chodzili za kamienną ścianę jeszcze dwa razy, w końcu wsiedli i odjechali. Stone był rozdarty: jechać za nimi czy poszukać Cole’a, ale mógł podjąć tylko jedną decyzję.

Kiedy pył opadł, zmienił ustawienie zawieszenia i ruszył na przełaj przez pustynię. Zatrzymał się sześćdziesiąt metrów od kamiennych ruin, wysiadł i odbezpieczył karabin. Skóra głowy zaswędziała go, jakby maszerowało tam stado mrówek – momentalnie przeszedł na tryb bojowy gotów wystrzelić wszystkie trzydzieści pocisków kalibru 5,56 mm.

Przedarł się przez krzaki, znalazł ślady opon forda i podążając za śladami stóp, doszedł do płytkiej rozpadliny za kamienną ścianą. Wiedział, co tam znajdzie, zanim zobaczył wyżłobiony przez wodę kanał. Gniewne brzęczenie pustynnych much, buczenie mięsożernych szerszeni – smród gnijących krewetek i wnętrzości dopowiedział resztę.

Ciała były w plastikowych workach i leżały jedno na drugim. Posypano je obficie białym proszkiem, co jednak nie zabiło smrodu ani nie odstraszyło much. Krążyły chmarami nad rozpadliną i wchodziły do worków.

Jon naliczył osiem, potem dziewięć ciał mężczyzn i kobiet, ale przez plastik źle widział i nie wiedział, czy jest tam również Cole.

Zarzucił karabin na ramię, obfotografował zwłoki iPhone’em i wrócił do samochodu. Zdjął okulary, wytarł ręką twarz, spojrzął na horyzont i krzyknął:

– To są, kurwa, ludzie! Jezu Chryste, to są, kurwa, ludzie!

Ruszył w stronę rozpadliny, złożył kolbę karabinu, zdjął koszulę i obwiązał nią usta i nos, żeby zabezpieczyć się przed muchami.

Wszedł między trupy. I zaczął rozrywać plastik, szukając Cole’a.

Wiedział, że Pike o niego spyta.

32

Joe Pike

Nie wrócił Ocznik, nie wrócił ford. Ulicą przejechało kilka młodych mam z dziećmi w samochodowych fotelikach, chodnikiem przemknęło z hurkotem trzech chłopców na deskorolkach. Pike zastanawiał się, czy Cole jest w środku z Ghazim ad-Dirim i czy wszystko idzie zgodnie z planem.

Z sąsiedniego domu wyszła kobieta w czarnych spodniach i czarnym topie, prowadząc na smyczy dużego owczarka niemieckiego. Jak na tak drobną kobietę miała szerokie ramiona i dobrze umięśnione ręce. Cała na czarno, wyglądała jak komandoska, ale nie robiła wrażenia zadowolonej.

Minęła go, jakby odbywała ten spacer tysięczny raz i jakby nie liczyła już na nic nowego. Pies szarpnął smyczą, a ona kazała mu przestać. Niby gniewnie, ale bez gniewu. Szli tędy tysięczny raz i za każdym razem pies szarpał smycz, a ona karciała go spięta i zdenerwowana. Pike zastanawiał się, dlaczego nie próbuje zmienić schematu. Wystarczyło zmienić jeden element i zmieniało się wszystko. Musiała tylko porozmawiać z psem.

Zawibrowała komórka. Zerknął na wyświetlacz. Stone.

– Mów.

– Pozbywają się ciał. Dojechałem za nimi na pustynię i widziałem. Te domy, oni zabijają tam ludzi.

Pike spojrzał na dom, zastanawiając się, czy ktoś tam właśnie umiera.

– Elvis?

– Nie. Sprawdziłem. Dzisiaj przywieźli cztery, ale naliczyłem dziewięć. Prawdziwy koszmar, kurwa, koszmar.

Pike doszedł do wniosku, że to pewnie ludzie Parka.

– Koreańczycy?

– Też tak myślałem, ale nie. Hindusi albo Pakistańczycy. Kurwa, ilu ich ten facet porwał?

To Pike'a zaskoczyło. Zastanawiał się, czy przetrzymywano ich w tym domu, w domu w Mekce czy w jakimś innym i ilu ich jeszcze jest.

– Od dawna nie żyją?

– Tych czterech nie dłużej jak od pięciu, sześciu godzin. Pozostali od wielu dni.

– Gdzie teraz jesteś?

– Już wracam, ale ciała leżą trzydzieści dwa kilometry na południe od Palm Springs. Naniósłem punkt orientacyjny. Co u ciebie?

– Nic.

Stone tego nie skomentował, co znaczyło, że mu się to nie podoba. Pike'owi też się nie podobało. Cole miał być tutaj, w tym domu, ale Ocznik nie wrócił, by odwieźć go do samochodu, i nie przyjechał tu nikt inny. Jeśli wywieźli go fordem, nie miał teraz żadnego wsparcia, a to podobało mu się jeszcze mniej.

Stone czytał w jego myślach.

– Nie wiadomo, czy był w tym fordzie.

– Uhm.

– Ale jeśli Syryjczyk był w Mekce, mogli wyrzucić go gdzieś w drodze na pustynię.

Pike uznał, że to możliwe, ale istniał tylko jeden sposób, by to sprawdzić.

– Wchodzę.

– Zaczekaj. Za kwadrans tam będę. Nawet szybciej.

– Nie chcę czekać.

Schował telefon i przeszedł na tył samochodu. Zdjął bluzę i włożył pod nią kamizelkę kuloodporną. Przypiął za plecami kaburę z półautomatyczną czterdziestkapiątką i już miał przypiąć rewolwer, kiedy ciągnąc za sobą smycz, obok samochodu przebiegł owczarek. Pike cofnął się w głąb wozu, by ukryć broń.

Pies pobiegł prosto do drzwi i zaczął je drapać, chcąc wejść do środka. Jego pani miała chyba dość szarpaniny. Nachmurzona nadeszła kilka sekund później, krzycząc, żeby przestał. Owczarek nie przestał. Kobieta zerknęła na samochód i Pike się odwrócił.

Kiedy weszła z psem do domu, przypiął do pasa kaburę z rewolwerem i podjechał bliżej garażu. Wysiadł z siedmiokilogramowym młotem w ręku i nie zawracał sobie głowy pukaniem do drzwi.

Grzmotnął młotem w zasuwę. Ta wbiła się w drewno, ale drzwi nie ustąpiły. Uderzył jeszcze raz, znowu roztrzaskując drewno, ale wyglądało na to, że coś je blokuje.

Stanął z boku. Zbliżył ucho do dziury, ale nic nie usłyszał. Ani głosów, ani żadnego ruchu, ani szybkich kroków ludzi biegnących po broń.

Wrócił do dziupa, zjechał na dół, napał na drzwi zderzakiem i wreszcie ustąpiły.

Te do pralni roztrzaskał młotem.

Z gotowym do strzału pistoletem w ręku szybko przebiegł przez dom. Dom był pusty. Nie znalazł ani ciał, ani rzeczy osobistych, ani jedzenia, ani ubrań. Jedyнным dowodem na to, że działo się tu coś strasznego, była gruba sklejka, którą

zabezpieczono okna i drzwi. Budynek więzienie.

Skończył i ciężko dysząc, przystanął w salonie. Próbował wsłuchać się w opowieść domu, ale słyszał jedynie miarowe bicie swego serca.

Stał na straży, odkąd szara furgonetka przywiozła tu Cole'a, ale teraz Cole zniknął.

Uprowadzono go. Ktoś uprowadził jego przyjaciela.

Wrócił do samochodu, wyjechał tyłem na ulicę i kazał Stone'owi czekać na niego w Mekce.

33

Joe Pike

W Mekce znaleźli jeszcze mniej. Sklejkę zdjęto, dziury po śrubach zaszpachlowano. Ani śladu Cole'a, ani nikogo innego.

– Co teraz? – spytał Stone.

– Jego wóz.

– Co?

– Nie możemy zostawić jego wozu przed Burger Kingiem.

– Pytałem, co teraz robimy.

– Wiem.

Zostawili dżipa na lotnisku w Palm Springs. Potem pojechali do Burger Kinga, gdzie Pike przesiadł się do corvetty. Miał kluczyki. Zamierzali odstawić corvette do domu Elvisa, przespać się trochę, wrócić rano po dżipa i pojechać na pustynię. Jeśli tamci pozbyli się dziewięciu ciał, mogli pozbyć się i dziesiątego.

Dwie godziny i czterdzieści sześć minut później wziął ostatni zakręt i wjechał pod wiatę przed domem Cole'a.

W domu było ciemno, ale on znał go jak swój własny. Zapalił światło w kuchni, lampę w salonie, potem otworzył jeszcze drzwi na taras.

Kanion był upstrzony światłami. Niektóre domy stały tak blisko, że przez okna widział migotliwy blask telewizorów, inne tonęły w błękitnej poświacie basenu. Lubił ten taras. Pomagał Cole'owi go remontować, kiedy drewno zaatakowały termyty, i co trzy lata razem go malowali. Wieczór był chłodny i pachniał koprem.

– Słyszę cię.

Ciche klik-klik-klik pazurków i o nogi otarł mu się kot.

Pike spojrział w dół, kot w górę. Miał zmierzwioną sierść i blade szramy na czarnym pyszczku i wystrzępionych uszach.

Pike przykucnął i pogłaskał go po guzowatym łebku i wygiętym grzbiecie. Kotu się to podobało, ale tylko przez chwilę, bo zaraz cofnął się i zjeżył. Położył i wyprostował uszy. Pyszczyk miał gniewny i wojowniczy.

– Nie ma go – powiedział Pike.

Wszedł do domu. Znalazł otwartą puszkę kociego jedzenia i butelkę piwa

w lodówce. Wziął widelec, wygarnął jedzenie do czystej miseczki, dał mu świeżej wody i wlał do spodeczka trochę piwa.

Kot podszedł do miski, ale nic nie zjadł.

Pike wypił resztę piwa, zapalił światło pod wiatą i spojrzał na samochód Cole'a. Corvette była brudna. On mył swój wóz codziennie, a co dwa miesiące go woskował. W domu Cole'a zawsze było czysto i porządkie, a gotując, Elvis skrupulatnie przestrzegał zasad higieny, ale zupełnie nie dbał o swój samochód. Pike tego nie rozumiał i często zastanawiał się, czy nie ujawnia to jakiejś prawdy, której za nic nie mógł ogarnąć.

W pralni znalazł wiadro i ręczniki. Wlał do wiadra trochę płynu do mycia naczyń i poszedł do samochodu. Wokół wiszącej pod wiatą lampy kłębiła się armada owadów.

Rozwinął wiszący na ścianie domu wąż, napełnił wiadro wodą i opłukał samochód. Zaczął myć od przodu, pocierając ręcznikiem, żeby zeszło jak najwięcej brudu. Kot przyszedł popatrzeć. Bryzgała na niego woda, ale nawet się nie poruszył.

Pike zmył brud z maski, boków i bagażnika, zanurzył ręcznik w mydlinach i umył samochód jeszcze raz. Pocierał mocno karoserię, felgi i opony, następnie spłukał wóz wodą. Potem wytarł go do sucha ręcznikiem, jeszcze potem przetarł na mokro wnętrze.

Skończywszy, próbował sobie przypomnieć, kiedy corvetta była tak czysta jak teraz. Nie mógł, ale nie miało to znaczenia. Grunt, że była. Kiedy Cole wróci, będzie gotowa do drogi.

Zostawił wiadro i wszedł do domu. Ściągnął ubranie, wraz z ręcznikami wrzucił je do pralki i wziął prysznic w łazience dla gości. Kot chodził za nim po domu i przyszedł z nim do pralni, kiedy Pike wrócił, by przełożyć ubranie do suszarki.

Pranie wirowało, a on poszedł na górę po przybory do czyszczenia broni. Zniósł je na dół i rozłożył na kuchennym stole. Oliwa, waciki, szczotka, wycior i miękka bawełniana szmatka.

Rozładował i rozłożył pistolet. Mógłby go rozłożyć i złożyć z zawiązanymi oczami, po ciemku, w jakichkolwiek warunkach. Nie miał czasu myśleć o tym, co robi. Myślały za niego ręce.

Kot obserwował go z drugiego końca stołu. Pike przepchnął nasączony oliwą wacik przez lufę, wytarł szkielet, prowadnicę, łożysko, mechanizm powrotny zamka i sam zamek. Pracując, zerkał na kota i zauważył, że ten wcale nie patrzy na niego: patrzył na części, które Pike czyścił i wycierał.

Włożył do szkieletu sprężynę powrotną, wcisnął zamek i zablokował go trzpieniem. Potem odłożył pistolet i zajął się rewolwerem. Po chwili znowu spojrzał na kota. Kocie oczy były jak płonące gniewem wąskie szparki, ogon jak rozedrgany wąż.

Pike przetrął oliwą lufę i bębenek, potem ściankę oporową i gwiazdę rozładownika. Wyczyścił wyciorem komory i lufę i wytarł rewolwer szmatką, ale robiąc to, nie patrzył na ręce. Obserwował kota.

Zjeżony kocur chodził tam i z powrotem na końcu stołu, nerwowo machając ogonem.

Pike nabił pistolet. Jeden po drugim, wciskał do magazynka złociste naboje 45 ACP hollow point, aż magazynek się wypełnił. Wtedy wbił go do rękojęści, odciągnął zamek, wprowadzając nabój do komory, i przesunął skrzydełko bezpiecznika.

Kot podszedł do niego, odszedł i wrócił. Pyszczek miał gniewny jak twarz Maorysa. A sierść na grzbiecie jak włosy maoryskiego wojownika.

Pike odłożył pistolet i zaczął nabijać rewolwer. Otworzył bębenek i włożył do cylindrycznej komory długi nabój 357 magnum.

Kot podszedł bliżej.

Pike włożył do bębena drugi nabój, potem trzeci i kot stał teraz ledwie kilkanaście centymetrów przed nim, ale nie patrzył już na broń. Z rozwścieczonym czarnym pyskiem patrzył na niego.

Pike skończył. Sześć komór, sześć nabojów. Zamknął magazynek i nie odkładając rewolweru, spojrzął mu w oczy. W oczy kotu Elvisa.

Kocur oblizwał drapieżnie pyszczek i zamiauczał, nisko i przeciągle.

Pike kiwnął głową.

– Tak. Znajdę go.

Schował broń do kabury, wypił butelkę wody i zadzwonił do Jona Stone'a.

– Przyjedź po mnie. Nie chcę czekać do rana.

Stone przyjechał kilka minut później.

**JACK I KRISTA:
siedem dni po uprowadzeniu**

34

Dzień po tym, jak go pobili, Jack otworzył oczy. Miał rozszerzone źrenice.

– Co jess... w telewizji?

– Widzisz mnie? Tutaj, tu jestem.

Jack przewrócił oczami i skupił na niej wzrok.

– Nancie. Mama jess... w domu.

Krista dotknęła jego ust. Ilekroć wspominał o ciotce, czuła ukłucie strachu.

– Ciii, skarbie. Nie mów o niej.

Jack znowu przewrócił oczami, wytrzeszczył je i zamknął.

Leżał pod ścianą, na ich miejscu pod oknem. Strażnicy przywlekli go do pokoju i rzucili obok kubła. Dali jej zawinięty w ręcznik lód na jego głowę. Taki był zakres ich pomocy. Kwan przeniósł go pod okno. Lód się roztopił, więc złożyła mokry ręcznik i podłożyła mu go pod głowę, jak poduszkę.

Kwan usiadł obok nich. Nikt inny do nich nie podszedł. Jakby się bali, że strażnicy skatują i ich.

– Więcej mówi. Dobrze.

Prawie przez cały dzień Jack był nieprzytomny i Krista myślała, że umrze. Skórę miał bladą i wilgotną i między okresami spokoju wstrząsały nim gwałtowne drgawki. Rano zaczął niewyraźnie mamrotać. Krista uznała, że to dobry znak, ale nie wiedziała, czy na pewno. Bardzo mocno go pobili. Miała nadzieję, że to tylko wstrząśnienie mózgu, ale w głowie kłębiły jej się myśli o krwotoku śródczaszkowym, o uszkodzeniu mózgu i o monitorach z płaskim wykresem.

– A ty jak? – spytał Kwan.

Podniosła wzrok i zobaczyła, że wskazuje jej ramię. Poprzedniego dnia zadzwonili do jej mamy. Medina trzymał ją, a Rojas dzwonił. Kiedy mama odebrała, Medina ugryzł ją w ramię, żeby krzyknęła. Ugryzł mocno i gryząc, szeroko się uśmiechał.

– W porządku – odpowiedziała szybko, odpędzając wspomnienia. – Nic mi nie będzie.

Kwan chrząknął, jakby pochwalał jej odwagę.

– Zabiję.

Zerknęła na niego, a on uśmiechnął się, ale twarz miał mroczną i pochmurną.

– Już niedługo.

Oparł się o ścianę i zamknął oczy, ale nie przestał się uśmiechać.

Kilka godzin po tym, jak strażnicy skatowali Jacka, uwolniono dwóch kolejnych Koreańczyków. Rojas wygłosił tę samą przemowę, twierdząc, że są już w drodze do swoich kochających i hojnych rodzin, ale Kwan znowu szyderczo wykrzywił usta.

– Nie zapłacili.

– Myślisz, że ich zabili? – spytała.

– Nie płacisz, umierasz.

– Ty wciąż żyjesz. Kto za ciebie płaci?

Kwan tylko się uśmiechnął i zamilkł.

Dwadzieścia minut później Rojas i Medina zmusili ją do rozmowy z matką i Medina ją ugryzł.

Żeby o tym zapomnieć, pogłaskała Jacka po głowie. Skupiła się na nim, tylko na nim. Teraz chodziło tylko o to, żeby utrzymać go przy życiu, dopóki ich nie uratują.

Zastanawiała się właśnie, jak mu pomóc, kiedy otworzyły się drzwi i weszli Medina, Rojas i Miguel. Myślała, że znowu idą po nią, ale zaczęli kopać ludzi leżących na środku pokoju, roztrącając ich na boki. Stojący w progu wysoki mężczyzna ze ściągniętymi w kucyk włosami zaczekał, aż zrobią mu przejście, i ruszył prosto do niej. Była pewna, że przyszli po Jacka, więc szybko wstała.

– Nie róbcie mu krzywdy! On musi do lekarza!

Ten z kucykiem odepchnął ją na bok i przykucnął. Zajrzał Jackowi do jednego oka, do drugiego, przytknął mu rękę do czoła. Potem wstał i odwrócił się do niej. Mówił świętą hiszpańszczyzną.

– Jest silny. Kiedy wraca jego matka?

Krista wzięła się w garść. Była tak przerażona, że omal nie zwymiotowała, ale fala paniki trochę opadła. Jeśli Kucyk chciał rozmawiać, mogła spróbować go przekonać.

– On mówi, że za tydzień, ale nie wiem. Słabo zna hiszpański, a ja słabo angielski.

– Jesteś z Sonory?

– *Si*. Z Hermosillo.

– Skąd wiesz, że ma pieniądze?

– Od mamy, mama mi mówiła. Pracuje u nich.

– I mówiła, że są bogaci?

Krista spróbowała odpowiedzieć tak, jak odpowiedziałyby prosta dziewczyna ze wsi.

– Mają dużo domów i samochodów. Jego matka jeździ do cudownych krajów. A on nie pracuje. Nikt z nich nie pracuje. Dlatego mama poprosiła go, żeby po mnie

przyjechał.

Robiła, co mogła, by sprawiać wrażenie zawstydzonej i trochę skrępowanej.

– Ma nadzieję, że się mu spodobam.

Kucyk uśmiechnął się lekko i poczuła przypływ mocy.

– Jakie samochody? Mercedesy? Porsche? Bentleye?

Spojrzała na niego tak, jakby mówił w obcym języku, i pokręciła głową.

– Nie wiem, nie znam się...

Kucyk znowu się uśmiechnął, tym razem z tego, że jest taka głupia. To jeszcze bardziej dodało jej odwagi.

– Ale mama mówi, że są bogaci.

Wiedziała, że Kucyk wierzy w te kłamstwa, bo chce w nie wierzyć, dlatego musiała podsunąć mu coś wiarygodnego, ale w taki sposób, żeby nie zaczął czegoś podejrzewać.

– Jego ojciec zginął w wypadku. Dostali z odszkodowania dużo pieniędzy. Dlatego są tacy bogaci.

Kucyk chrząknął, jakby było to całkiem logiczne, potem spojrzał na Jacka i chrząknął jeszcze raz.

– Jest silny. Przeżyje.

– Musi do lekarza.

Kucyk uśmiechnął się, ale tym razem był to uśmiech okrutny.

– Ty jesteś jego lekarzem. Wylecz go i może wyjdiesz za jego pieniądze. Dostaniesz więcej lodu.

Odwrócił się i wyszedł.

Kiedy zamknęły się drzwi, Krista usiadła obok Jacka i dotknęła jego czoła. Jack żył. Przeżyli kolejny dzień. Już ich szukano.

Oparła się o ścianę i pomyślała o zachłanności tego z kucykiem.

Pomyślała: Jestem sprytniejsza. Wygram.

Kwan wymamrotał coś, czego nie zrozumiała.

– Słucham?

Spojrzał na nią.

– Oni niedługo umrą. Już niedługo.

– Skąd wiesz?

– Moi ludzie przyjdą.

Krista dotknęła głowy Jacka, kurczowo trzymając się nadziei.

– Moi też. Są już w drodze.

Jack jęknął, a ona zadrżała z zimna, którego nikt inny nie odczuwał.

**ELVIS COLE:
uprowadzony**

35

Lawrence „Ocznik” Gomez powiedział, że zaraz się zatrzymamy, ale żebym nie zdejmował poszewki. Zwolniliśmy, skręciliśmy z chrzęstem na żwir i znowu zahamowaliśmy.

Zaturkotały podnoszące się drzwi, furgonetka podjechała kawałek do przodu i drzwi zaturkotały ponownie. Otworzyły się drzwiczki, boczne i te od strony pasażera, i Ocznik ściągnął mi z głowy poszewkę. Jakiś Murzyn celował we mnie ze strzelby. A siedzący obok Ocznika Latynos z pistoletu, który trzymał obiema rękami, jak komandos.

Zamrugalem.

– Ty jesteś Syryjczyk?

– Jestem z Compton, chłopaczku – odparł Murzyn. – Syryjczyka tu nie ma. Obszukamy cię i pojedziesz dalej.

– Po co chcecie mnie znowu obszukiwać?

– Bo tak trzeba. Rusz dupę i wyłaź.

Ocznik posłał mi paskudny uśmiech, w jego mniemaniu pewnie krzepiący.

– Jesteś czysty, bracie. Wszystko będzie OK.

Murzyn cofnął się, żebym mógł stanąć w wąskim przejściu między furgonetką i ciemnozielonym fordem explorerem. Wprowadzili mnie do pustego domu i obszukali, ale Ocznik został przy samochodzie. Wtedy widziałem go ostatni raz.

Kilka minut później kazali mi wsiąść do forda, znowu włożyli poszewkę na głowę i zawieźli mnie do kolejnego domu. Prowadził ten z Compton. Tym razem, kiedy zdjęto mi poszewkę, okazało się, że parkujemy w garażu tuż obok czarnego cadillaca escalade.

W progu otwartych drzwi po drugiej stronie stało dwóch Latynosów. Patrzyli na nas. Jeden był tęgi i krzepki, drugi miał źle zoperowaną zajęczą wargę. Udałem zblazowanego, jakbym świat handlu ludźmi znał tak dobrze, że nic nie mogło mnie już zaskoczyć.

– Tamci to nie Syryjczycy. Gościu tu jest czy nie? Nie chce dobić targu, chuj z tym.

– Jest, jest. Zaraz go poznasz.

Latynosi zrobili nam przejście i odeszli od drzwi. Zaczęli gadać z tym, który jechał w fordzie obok Murzyna z Compton.

Przeszliśmy przez pomieszczenie gospodarcze, potem przez kuchnię i weszliśmy do salonu. W domu cuchnęło jak w męskim kiblu na dworcu autobusowym, w którym ktoś rozrzucił kiszoną kapustę. Otaksowało mnie spojrzeniem dwóch strażników w korytarzu, trzeci gapił się na mnie z kanapy. Dwie kanapy, dwa składane krzesła i trzy lampy stołowe, więcej mebli tam nie było. Jeden z tych w korytarzu odszedł.

– Ładne mieszkanko – powiedziałem.

Wszystkie okna i drzwi były zabezpieczone sklejką, grubą jak płyta pancerna. Nawet drzwi frontowe i wewnętrzne. Wejść i wyjść można było tylko przez garaż. Dom przekształcono w bunkier.

Na końcu korytarza pojawił się Ghazi ad-Diri i jakiś mężczyzna. Wysoki i muskularny Syryjczyk miał śniadą cerę, czarne oczy, gniewną zmarszczkę między brwiami i ściągnięte w kucyk czarne włosy. Był w marmurkowych dżinsach, żółtawej koszuli z dzianiny, a na palcach lewej ręki miał trzy złote pierścienie. Ten drugi, niższy, miał malutkie oczy i krostowatą twarz.

Ad-Diri uśmiechnął się wylewnie i wyciągnął do mnie rękę.

– Witam. Ghazi ad-Diri. A to jest mój wspólnik, Vasco Medina.

Medina pokazał mi zęby, które wyglądały jak rekwizyt z filmowego horroru.

– Harlan. Rozumiem, że może mi pan pomóc.

– Tak. Proszę wybaczyć, zaproponowałbym, żebyśmy usiedli, ale nie ma gdzie.

– Nie szkodzi. Towar jest tutaj? Mogę obejrzeć?

Serce waliło mi jak młotem, ale próbowałem zachować spokój. Jeśli Koreańcy tu byli, prawdopodobnie byli tu i ludzie, których z nimi schwytano, ale nie miałem co do tego pewności.

Zachowywałem się tak, jakbym chciał jak najszybciej przystąpić do interesów, ale Ad-Diriemu się nie spieszyło. Zahaczył kciukami o kieszenie spodni i puścił moje pytanie mimo uszu.

– Podobno zajmuje się pan sprowadzaniem siły roboczej. Interesuje pana agrobiznes?

Sprzedalem mu tę samą bzdurę, którą wcisnąłem Ramosowi.

– Ułatwiam karierę zawodową obywatelom krajów rozwijających się, dostarczając tanią siłę roboczą firmom przyjmującym pracowników o niesprawdzonych referencjach.

Ad-Diri zmarszczył brwi, jakby nie był pewny, czy nie żartuję, więc parłem dalej.

– Agrobiznes. Tak. Dlatego chcę ich obejrzeć. Ważny jest wiek i stan zdrowia. Płeć nie tak bardzo. Mówimy o młodych ogierach czy o wątłych starcach? Muszę ich zobaczyć, zanim zaproponuję cenę.

Ad-Diri kiwnął w końcu głową, jakbym mówił zupełnie do rzeczy, i wskazał ręką korytarz.

– Są tam.

– Świetnie.

Rozmawialiśmy tak serdecznie, jakbyśmy nie byli w cuchnącym moczem domu, gdzie torturowano i mordowano ludzi.

Ad-Diri powiedział:

– Rozumiem, że nie chce pan współpracować z Sinaloas.

– Mieliśmy małe nieporozumienie.

– Oni mają nieporozumienia z wieloma ludźmi.

– Z panem też?

Poklepał mnie po plecach.

– Wróg mojego wroga jest moim przyjacielem. Proszę, oto co dla pana mam.

Pilnujący drzwi strażnik zobaczył nas i trzasnął zasuwą. Ad-Diri otworzył drzwi, ale pierwszy wszedł do środka Medina. Jak kwaśna mgła z pokoju buchnął smród moczu, odchodów i niemytych ciał. Zaczęły mi łzawić oczy, ale Syryjczyk i Medina byli chyba uodpornieni.

– Mam do sprzedania dwudziestu trzech robotników. Czternastu mężczyzn i dziewięć kobiet. Trzech mężczyzn ma już swoje lata, ale są zdrowi i silni. Trzech mówi po hiszpańsku, czworo po angielsku, ale nie za dobrze. Większość zna tylko koreański. Chce pan ich dotknąć? Sprawdzić, czy są silni? Jest tu kilka ładnych kobiet.

W pokoju siedziało i leżało na podłodze kilkanaścioro ludzi, lecz nie wypatrzyłem wśród nich Kristy Morales ani Jacka Bermana. Dominowali Azjaci, ale było tam również kilku Latynosów i wszyscy patrzyli na mnie smutnymi oczami. Byli brudni, cuchnący, mężczyźni mieli zarost. Próbowałem nie oddychać.

– Mówimy o Koreańczykach? – spytałem.

– Tak. Tylko o Koreańczykach.

– Tu nie ma dwudziestu trzech.

– Reszta jest w drugim pokoju. Pokażę panu.

– Powiedziano mi, że macie dwudziestu sześciu.

Medina wyszczerzył zęby.

– Zawsze są jakieś straty. Gównem chodzi po ludziach.

Kiedy Medina otworzył drzwi do sąsiedniego pokoju, Krista i Jack byli pierwszymi osobami, jakie zobaczyłem. Siedzieli na podłodze pod oknem, a Berman chyba spał. Zobaczyłem ich i zignorowałem. Rozejrzałem się szybko i rzuciłem:

– Potrzebuję trzydziestu.

Ad-Diri pokręcił głową.

– Mam na sprzedaż tylko dwudziestu trzech.

– Rozumiem, ale ja muszę mieć trzydziestu. Tyłu straciłem w San Diego. Mój kupiec spodziewa się kompletu. Ci tu się nadadzą.

Przeszedłem niespiesznie przez pokój, jakbym oceniał ich przydatność. Zerknąłem na Kristę i Jacka i zdałem sobie sprawę, że Berman nie śpi. Oczy drgnęły mu, powędrowały w głąb czaszki i się zamknęły. Wokół ucha miał czarną skorupę zakrzepłej krwi.

– Co mu jest?

– Pan jest Amerykaninem? Może mu pan pomóc? On jest ranny.

Dziewczyna była przerażona. Tak przerażona, że mówiła zupełnie inaczej niż przez telefon.

Przykucnąłem, jakbym przyglądał się Bermanowi, ale zerknąłem na nią i zniżyłem głos.

– Pamiętaj o akcencie. Udajesz Meksykankę.

Spojrzała na mnie tak, jakbym uderzył ją w twarz, ale zanim zdążyła odpowiedzieć, wstałem i odwróciłem się do Ad-Diriego.

– Co jest? Oni są ranni i chorzy?

– On nie jest chory – odparł Medina. – Skopałem mu dupę. Czasem trzeba.

Spojrzałem na niego i uśmiechnąłem się.

– Tak. Niektórzy aż się o to proszą.

Przeniosłem wzrok na Syryjczyka.

– Widuję takie obrażenia cały czas. Chce pan, to go obejrzę.

Ad-Diri wyszedł na korytarz i skinął na mnie ręką.

– Nie, to nieważne. Mamy sprawę do omówienia. Chodźmy.

Zerknąłem na Kristę i zobaczyłem, że na mnie patrzy. Chciałem jej powiedzieć, że już za chwilę wyciągnę ją z tego piekła, ale poszedłem za Syryjczykiem.

W kuchni był tęgi Latynos z garażu i ciemnoskóry Amerykanin o dużych rękach. Latynos zawołał Medinę. Ad-Diri kazał mi zaczekać w salonie i podszedł do nich. Rozmawiali we czwórkę i zostałem sam.

Po chwili ze skrzyżowanymi rękami stanął obok mnie Medina.

– Co się dzieje? – spytałem.

– Nic. Ten pieprzony Orlato zawsze z czymś wyskoczy.

Orlato – brzuchaty Latynos.

Ad-Diri zniknął z nim w kuchni, a Murzyn stanął tuż za mną. Próbowałem obserwować go i ignorować jednocześnie.

Pół minuty później Syryjczyk wrócił, ale teraz przy jego udzie dyndał pistolet.

– O co chodzi? – spytałem.

Syryjczyk podniósł pistolet.

– O ciebie.

Wtedy Murzyn cofnął się o krok i też we mnie wycelował.

Orlato wyszedł z kuchni z niskim mężczyzną z gębą dupowatego boksera. Był to ochroniarz Ramosa, ten sam, którego widziałem w firmie holowniczej Sanchezów.

Ad-Diri spojrzał na niego i wskazał mnie pistoletem.

– To on?

– Tak. On się pod kogoś podszywa. To kumpel Ramosa.

Vasco Medina pokazał mi zęby, a potem uderzył mnie w twarz.

36

– Gleba! – krzyknął Murzyn. – Na podłogę, kurwo, ale już!

Kiedy się położyłem, Medina skuł mi ręce plastikowymi kajdankami. Dwa razy przyłożył mi pięścią w plecy, raz w szyję, a potem podnieśli mnie i kazali mi ukłęknać.

Syryjczyk podszedł bliżej i opuścił pistolet.

– Kim jesteś?

– Harlan Green. Jezu, co wy robicie?

– A ja myślę, że jesteś agentem federalnym.

Łypnąłem spode łba na boksera.

– Wierzysz temu dupkowi? Sprawdziliście mnie. Jeśli nie, to po cholerę mnie tu przywieźliście?

Syryjczyk powiedział coś po hiszpańsku. Orlato wziął boksera za ramię i wyprowadził go przez kuchnię. Zastanawiałem się, czy Pike widział, jak facet wchodzi do domu, czy zobaczy, jak wychodzi, i zorientuje się, że coś jest nie tak.

– Sprawdziliśmy cię, ale teraz od kogoś dobrze poinformowanego słyszę, że przyjaźnisz się z naszymi wrogami. Co znaczy, że nie sprawdziliśmy dokładnie.

– Ktoś wpuszcza cię w maliny. Ten facet bredzi.

– Nigdy dotąd nie bredził.

– Ale teraz bredzi i stracisz przez niego kasę.

Mówiłem cicho i spokojnie. Krista Morales i Jack Berman byli sześć metrów ode mnie i potrzebowali mojej pomocy. Spokój jest dobry, kiedy chce się udawać kogoś, kto panuje nad sytuacją bardziej, niż naprawdę panuje.

– Twój szpicel widział mnie z Winstonem Ramosem i Sang Ki Parkiem z gangu Podwójnego Smoka. Ramos to kutas, chce mojej głowy. Ludzie Parka zapewniali mi obstawę, zapewne twój zasrany szpicel zapomniał wspomnieć, że Park skopał jego kumpłowi dupę i poniżył go przed szefem?

Zaskoczony moim wyznaniem Syryjczyk uniósł brwi.

– Spotkałeś się z kimś, kto chce twojej śmierci?

– Jasne. Nie lubię, kiedy ktoś na mnie poluje. Zorganizowałem to małe tête-à-tête,

żeby załagodzić dzielące nas różnice. Park poszedł na to, bo dzięki tobie też nie przepada za Ramosem. Koreańczycy, których zgarnęliście, to jego ludzie. Słyszałem, jak się kłóca, i pomyślałem, że ich od ciebie kupię. I tak nic na nich nie zarabiasz. Sprzedasz tanio i zarobimy obydwaj.

Ghazi ad-Diri przypatrywał mi się bez słowa. Jeśli rozmawiał z kimś z Sinaloa, z kimś, kto wiedział, dlaczego Ramos spotkał się z Parkiem, moja wersja wydarzeń nabrałaby wiarygodności.

– Odrób lekcje – dodałem. – Znajdź kogoś, kto wie, o czym gadałem z Ramosem.

Syryjczyk przesunął ręką po włosach i po kucyku. Był niespokojny, co znaczyło, że wierzy mi na tyle, by na jednej szali położyć chęć zarobku, a na drugiej jakość usług swojego informatora. W końcu spytał:

– Kupisz tych ludzi, jeśli ich sprzedam?

– Trzydziestu. Potrzebuję trzydziestu, żeby zadowolić klienta. Ale po tym wszystkim zapłacę ci tylko połowę tego, co zamierzałem.

Syryjczykowi zwężyły się oczy.

– Mam dużo kupców.

– No to gadaj z nimi, a ja spadam. Muszę znaleźć trzydziestu *pollos*, bo facet nie da mi żyć.

Zmarszczka między brwiami pogłębiła się, ale wtedy z kuchni wybiegł Orlato. W rękę ścisnął telefon i robił wrażenie jeszcze bardziej spanikowanego niż przedtem. Zamienili kilka słów po hiszpańsku, ale nie była to rozmowa cicha ani spokojna. Ad-Diri odwrócił się na pięcie i warknął coś do Mediny i pozostałych. Tamci rozbiegli się na wszystkie strony, krzyżąc do siebie i pokrzykując.

Syryjczyk spojrzał na mnie.

– Przyjrzę się temu i pomyślę, czy można ci zaufać. Ale teraz musimy iść. Trzeba przerzucić *pollos*.

– Świetnie. Zadzwoni do mnie, kiedy się zdecydujesz, ale nie czekaj za długo.

Ad-Diri posłał mi jaszczurczy uśmiech.

– Nie ma takiej potrzeby. Dopóki czegoś nie ustalimy, będziesz moim gościem.

Warknął coś do Mediny i szybko odszedł. Medina i Murzyn postawili mnie na nogi, popchnęli w stronę garażu i znowu włożyli mi poszewkę na głowę.

Dwadzieścia pięć minut później zdjęli ją i już z innego garażu w innym domu wpełnęli mnie do kuchni, gdzie zdenerwowana Hinduska z czerwonym bindi na czole mieszała zupę. Zupa pachniała rzepą.

Posadzili mnie na podłodze w salonie i Medina powiedział temu z zajęczą wargą, że Syryjczyk przyjdzie po mnie później. Kazał mu zająć się mną wyjątkowo troskliwie. Dodał, że Ad-Diri chce mnie zabić, że nie może już się doczekać.

Pokazał mi swoje zgniłe zęby i wyszli, on i Murzyn.

Strażnicy zajęli się swoimi sprawami. Nikt mi nie dokuczał. Piętnaście,

dwadzieścia minut później Hinduska przyniosła trochę wody w papierowym kubku i przytknęła mi go do ust. Miała duże, wilgotne, wystraszone oczy.

– Zostało nas tylko czworo – szepnęła, gdy piłem. – Oni nas zabijają.

– Wiem. Strasznie mi przykro.

– Może mi pan pomóc?

– Nie, niestety.

Zaczekała, aż wypiję, i wróciła do kuchni. Policzki spływały mi łzami, pękało mi serce. Chciałem jej pomóc. Chciałem pomóc im wszystkim. Chciałem pomóc samemu sobie, ale bałem się, że nie zdołam.

CZĘŚĆ 4

Areszt hrabstwa Riverside w Indio

Hermano Pinetta

37

Dwóch zastępców szeryfa wywołało Pinettę z celi i poprowadziło go do małego pokoju przesłuchań. Hermano, teraz w niebieskim kombinezonie aresztu hrabstwa Riverside, był czterdziestoczteroletnim recydywistą z dwoma zarzutami na koncie i gdyby skazano go za przestępstwa, o które był obecnie oskarżony, czekałaby go bardzo długa odsiadka.

Pod drzwiami pokoju przesłuchań stał jego adwokat. Oscar Castaneda, nerwowy mężczyzna w średnim wieku, miał długie włosy, które nieustannie odgarniał z twarzy, i oczy ruchliwe jak zdenerwowana ćma.

Zerknął na idącego przodem zastępcę szeryfa, jakby wstydził się nawiązać z nim kontakt wzrokowy.

– Mogę? Na sekundkę.

Zastępcy zatrzymali się, więc podszedł bliżej i zniżył głos.

– Ta kobieta spyta cię o samochód. Masz jedną szansę. Chcesz wrócić przed śmiercią do domu, to odpowiedz na jej pytania.

– Jaka kobieta? O co tu chodzi?

Zanim Oscar zdążył odpowiedzieć, zastępca szeryfa chwycił Pinettę za ramię i wciągnął go do pokoju. Od chwili aresztowania Hermano był tam trzy razy, ale nigdy nie rozmawiał z więcej jak dwoma detektywami, których znał już z imienia. Teraz w ciasnej salce tłoczyli się ponurzy mężczyźni w garniturach, którzy obserwowali go wyglodniałymi oczami. Przy stole siedziała samotnie kobieta, a tamci stali wokół niej jak anielski chór. Ręce kobiety spoczywały na dużej żółtej kopercie. Palce były splecione.

Zastępcy szeryfa pchnęli go na krzesło i przykuli do stalowego pręta przyśrubowanego do stołu.

– Hermano Pinetta – zaczęła kobieta.

– Tak.

– Aresztowano pana za prowadzenie warsztatu, w którym rozbierał pan na części skradzione samochody; w sumie postawiono panu dwadzieścia siedem związanych z tym zarzutów. Są to przestępstwa stanowe. Jak dotąd nie oskarżono pana o żadne

przestępstwo federalne. Czy rozumie pan różnicę?

Oscar nachylił się ku niemu i szepnął:

– Powiedz „tak”.

– Tak – powiedział Hermano.

– Pańską sprawę będzie prowadziła prokuratura hrabstwa Riverside. Tego rodzaju zarzuty nazywamy „kołyską”, ponieważ prokurator ma prawo potraktować te czyny jako przestępstwo, jako wykroczenie albo jako czyny niewyczerpujące znamion przestępstwa. Czy rozumie pan, co to znaczy?

Oscar znowu zbliżył usta do jego ucha.

– Oskarżą cię o trzecie przestępstwo i nie wyjdiesz stąd do końca życia. Powiedz, że rozumiesz.

– Tak, rozumiem.

– Nazywam się Nancie Stendahl. Jestem zastępczynią dyrektora Biura do spraw Alkoholu, Tytoniu, Broni Palnej oraz Materiałów Wybuchowych. W Waszyngtonie. Czy chciałby pan, żebym panu pomogła?

Hermanowi zrobiło się niedobrze. Zerknął na Oscara, którego oczy wirowały i tańczyły jak umierające świetliki.

– Tak, pani dyrektor. Bylibyśmy bardzo wdzięczni.

Kobieta otworzyła kopertę, wyjęła z niej zdjęcie i położyła je na stole. Przedstawiało dwóch białych, chudych chłopaków obok srebrzystego mustanga.

– Części tego samochodu znaleziono w pańskim warsztacie. Czy rozpoznaje pan ten wóz?

– Nie.

Kobieta i stojący wokół niej mężczyźni spokojnie czekali, a w jego uchu znowu zabrzmiał szept Oscara:

– Mów prawdę, głupi idioto.

Hermano odchrząknął.

– Tak, widziałem ten samochód. Tak.

Kobieta nachyliła się ku niemu.

– Kto go do pana przyprowadził?

Hermano zawahał się, ale znowu usłyszał głos Oscara.

– Gadaj, bo twoje żalodne dupsko już nigdy nie wyjdzie z pierdla.

– Mój kuzyn Luis – powiedział. – Luis Pinetta.

Kobieta się uśmiechnęła. Pierwszy raz, ale nie był to miły uśmiech.

JOE PIKE:
dzień po wprowadzeniu Elvisa Cole'a

38

Pike zdawał sobie sprawę, że Washington i Pinetta mogą wrócić po rzeczy, więc pchnął Haddada w stronę drzwi.

– Wypad. Wychodzimy, Jon. Szybko.

Wycofali się z domu, w którym zamordowano Hindusów, tak szybko, jak do niego weszli, Stone wepchnął Haddada głową naprzód do dżipa, a Pike odpalił silnik i ruszył. Musieli zdążyć przed powrotem tamtych. Drzwi garażu nie zdążyły się jeszcze zamknąć, a oni stali już za jakimś dodge'em dwie ulice dalej, wsłuchując się w tykanie stygnącego silnika.

Pike zsunął się za kierownicę, spojrział w górę w lusterko wsteczne, ale nie zobaczył w nim Stone'a ani Haddada.

– Leży?

– Tak nisko, że następnym przystankiem będzie grób.

Odkąd zostawili na pustyni Orlata i Ruiza, wszystko się zmieniło. Orlato, Haddad i Ruiz mieli pozbyć się ciał, ale nie wrócili ani nie zadzwonili. Syryjczyk mógł kazać komuś sprawdzić, czy cadillac nie zepsuł się gdzieś po drodze, ale bardziej prawdopodobne było to, że założył, iż jego ludzie zostali aresztowani i wyśpiewają wszystko policji. Pewnie wysłał Washingtona i Pinettę, żeby jak najszybciej wyczyścili dom.

– Nie zgarniamy ich, tak? Zobaczymy, dokąd pojedą.

– Tak.

– Pysznie.

Jon nie powiedział nic więcej, Pike też nie.

Osiemnaście minut później zabuczała komórka. Pike zerknął na wyświetlacz. Dzwonił kierownik jego sklepu.

– Tak?

– Hej – zaczął Ronnie. – Pomyślałem, że lepiej cię uprzedzę. Byli tu ci z ATF.

– OK.

Pike to zignorował. Sklep miał rządową licencję na sprzedaż broni. Agent ATF wpadał do nich raz do roku, by sprawdzić papiery i zadać parę pytań. Pro forma.

– Ale nie pytali o sklep. Szukają Elvisa i myśleli, że wiesz, gdzie jest. Zostawili wizytówkę i prosili o telefon.

– Dlaczego szukają Elvisa?

– Chcą go spytać o dawnego klienta czy coś.

Ronnie wciąż mówił, kiedy Pike poczuł na ramieniu rękę Jona.

– Muszę kończyć.

Schował komórkę i w tej samej chwili z drugiego końca ulicy nadjechał SUV, ciemna toyota.

Stone podciągnął Haddada do góry. Kiedy toyota skręciła na podjazd, przez otwarte okno zobaczyli Afroamerykanina o przylizanych kędzierzawych włosach.

– To Washington – powiedział Haddad. – Ten za kierownicą to Pinetta.

Garaż połknął toyotę i drzwi się zamknęły.

– Oni zawsze po was sprzątają?

– Tak. Przygotowują dom, a potem sprzątają. Każdy ma jakieś zajęcie.

Pike'owi przypomniła się gruba sklejka w oknach domu w Mekce i zaszpachlowane otwory po śrubach.

– Sklejkę też zabierają?

– Tak.

– A ty co robisz? – spytał Stone.

– Słucham?

– Każdy ma jakieś zajęcie. Jakie masz ty?

– Rozmawiam z ludźmi z mojej części świata. Z tymi, którzy nie znają żadnego innego języka.

– Słowem robisz w chuja swoich.

Haddad nie odpowiedział.

Pike zerknął w lusterko, ale nie zobaczył ani jednego, ani drugiego. Wciąż myślał o tych domach.

– Macie oddzielny dom dla każdej grupy *pollos*?

– Tak. Jeśli trzeba ich przerzucać, to i kilka.

– To od cholery domów – zauważył Stone. – Skąd je bierzecie?

– Nie wiem. Orlato daje nam adres i jedziemy.

Wciąż rozmawiali, kiedy otworzyły się drzwi i toyota wyjechała tyłem z garażu. Pike sprawdził czas. Washington i Pinetta spędzili tam tylko szesnaście minut.

– Pieprzone lenie – mruknął Stone. – Dużo się nie nasprząтали.

Zbity z tropu Haddad wzruszył ramionami.

– Nie wiem. Może po coś jadą. Może na pustynię, po nas. Orlato zadzwonił na pewno do Syryjczyka. Syryjczyk już wie, że coś jest nie tak.

Pike zczekał, aż toyota skręci za róg, i w wieczornym ruchu pojechali za nią przez Coachellę i Mekkę, aż na mroczne pustkowia nawadnianych terenów rolniczych

na zachód od Salton Sea. Ruch zmałał do tego stopnia, że w pewnym momencie Pike zdał sobie sprawę, że tamci widzą w lusterku tylko ich światła – natychmiast zwolnił i zgasił reflektory.

Na poboczach szosy zaroiło się od sklepów spożywczych, stacji benzynowych i warsztatów, a potem tylne światła toyoty rozbłysły na czerwono i SUV skręcił na parking przed jakimś barem.

Pike minął bar, gwałtownie zawrócił i wjechał na parking z przeciwnej strony. Wysiadł, zanim dziup się zatrzymał.

– Prowadź. Bądź gotowy do odjazdu.

– Zawsze do usług.

Pike wszedł do środka bocznymi drzwiami i stanął przy automacie telefonicznym.

Bar był jasno oświetlony, a przy kilku brudnych stolikach siedziało nie więcej niż dziesięciu ludzi. Pinetta stał przy ladzie, ale Washington został w samochodzie. Pinetta i barman rozmawiali jak starzy znajomi. Barman włożył butelkę crown royal do brązowej torebki i postawił na ladzie. Pinetta zapłacił, wetknął ją pod pachę jak piłkę futbolową i uśmiechnięty ruszył do wyjścia.

Pike wypadł na parking, gdzie w biegu zgarnął go Stone. Toyota minęła ich pięć sekund później. Jon odliczył jeszcze pięć i wjechał na szosę.

– No i?

– Kupił whisky.

– Whisky?

– Crown royal.

Kilka minut później znaleźli się w jakimś osiedlu – niskie bloki i wolno stojące domy – i Stone musiał zgasić światła.

– On tu może mieszkać – powiedział Haddad. – Pinetta. Słyszałem, jak mówił, że ma kobietę na zachód od jeziora.

Jon zerknął w lusterko.

– Ty, kurwa, poważnie?

– Czemu miałbym z tego żartować?

SUV był cztery ulice dalej, gdy znowu przyhamował i skręcił na słabo oświetlony parking przed małym, piętrowym blokiem. Jon natychmiast zjechał na pobocze i stanął w cieniu.

Toyota parkowała przy schodach. Kiedy Pinetta wysiadł, zapaliła się górna lampka, która zgasła, kiedy zamknął drzwiczki. Washington został w samochodzie.

Stone jęknął.

– To jakiś żart? Jedziemy za tym gnojkiem przez całą pustynię, a on idzie podupczyć?

Pinetta i jego whisky byli w połowie schodów, kiedy za domem ulicę dalej zamigotało niebieskie światło. Jak spod ziemi wyskoczył stamtąd policyjny radiowóz,

który z rykiem silnika ruszył w kierunku toyoty i w tej samej chwili ze wszystkich stron naraz nadjechały kolejne. Pike wiedział, że jest to duża operacja taktyczna i że mają kłopoty.

– Wycofaj, Jon. Powoli. Bez świateł.

– Już.

Radiowozy skręciły z piskiem opon na parking, zablokowały toyotę, a wzmocniony elektronicznie głos oznajmił, że to policja.

Pinetta dał się zaskoczyć na schodach. Rzucił butelkę i zamarł z wyciągniętymi w bok rękami, gdy nagle wewnątrz toyoty rozświeciły dwa rozbłyski.

– Kretyn – mruknął Jon.

Wokół radiowozów zamigotał las ogników, buchnęła seria głośnych trzasków i w karoserię i szyby toyoty uderzyło kilkadziesiąt rozwścieczonych młotków. Z lufy pistoletu Washingtona błysnęło jeszcze dwa razy, potem jeszcze trzy – błysk-błysk-błysk – ale tamci szatkowali jego wóz kulami, dopóki megafon nie kazał im wstrzymać ognia.

Wtedy Pike zobaczył dużą białą terenówkę na końcu parkingu, tylko że ta nie była zwykłym wozem policyjnym. W rozmytym świetle napis i emblemat na drzwiczkach były słabo widoczne, ale czytelne. ATF. GRUPA SZYBKIEGO REAGOWANIA. Grupa Szybkiego Reagowania ATF to ichni odpowiednik SWAT.

– Jon. Widzisz to?

– Widzę. Dużi chłopcy przyjechali się zabawić.

Powolutku jechali tyłem przez ciemny plac i byli już prawie na ulicy, kiedy tył dżipa zalało białe światło. Krótco zawyła syrena i drogę odcięły im radiowozy.

Byli w potrzasku. Gdyby policja zobaczyła Haddada i karabin Stone'a, poszukiwania Cole'a dobiegłyby końca.

– Piechotę – rzucił Pike. – Wiejemy piechotę.

– Wiem.

Stone ostro skręcił, pchnął do przodu dźwignię zmiany biegów i wdepnął pedał gazu – wszystkie cztery koła dżipa zabuksowały i jak z kopyta ruszyli w stronę wąskiego przejścia między domami.

Pike zaparł się rękami o deskę rozdzielczą.

– Za wąsko.

– W sam raz.

Jon szarpnął dźwignią hamulca ręcznego, żeby zablokować tylne koła, i wóz zarzucił, ustawiając się bokiem. Za drzwiczkami Pike'a ziało ciemne przejście.

– Znajdź go – rzucił. – Panuję nad sytuacją. Idź!

Nawet na niego nie spojrział. Otworzył drzwiczki i z rękami do góry wysiadł, krzycząc, żeby do niego nie strzelali, poddając się policji, by umożliwić Pike'owi ucieczkę.

Pike wyslizgnął się z dziapa i wbiegł w ciemność.

39

Przeskakiwał przez grzechoczące płoty z siatki na czarnych jak atrament podwórkach i mury w głębokich, mrocznych cieniach między domami. Dwa razy musiał uciekać przed psami, raz przed wałęsającym się pitbulem, który ścigał go na pustej ulicy. Odwrócił się i grzmotnął psa w pysk pistoletem. Pitbul dał mu spokój, a on pobiegł dalej, cały czas w kierunku jeziora, jak najdalej od szosy.

Dwa razy przystanął i wyteżył słuch, ale nie, nikt go nie ścigał. Wszystkie odgłosy rozmyły się w ciemności. Nie padł ani jeden wystrzał, co znaczyło, że Jon jest cały i zdrowy.

Nad brzegiem jeziora skręcił na południe, przebiegł kilkaset metrów i dopiero wtedy zawrócił do szosy. Nawalony ritalinem kierowca ciężarówki podrzucił go na północ i trzydzieści osiem minut od policyjnego nalotu był już na lotnisku w Palm Springs – kluczem uniwersalnym otworzył drzwiczki i wsiadł do samochodu Stone'a.

Oddychaj.

Zamknął oczy, wziął głęboki oddech i wypchnął powietrze przeponą. Wziął kolejny oddech. Pranayama, ćwiczenia relaksujące z hatha-jogi. Zagubił się na chłodnej leśnej polanie, nakrapianej plamkami światła sączącego się przez jasnozielone liście. Poczul zapach mchu i sumaka. Serce zwolniło. Uspokoił się. Skupił.

Odpalił silnik i zdał sobie sprawę, że nie wie, co robić, więc go zgasił. Instynkt kazał mu iść za ciosem, ale Haddada, Washingtona i Pinetty już nie było. Nie było Jona. Wciąż nie było Cole'a, dziewczyny i chłopaka, na dodatek wmieszała się w to policja, a kiedy Ghazi ad-Diri dowie się o aresztowaniu Pinetty, wystraszy się i przestanie nad sobą panować.

To dobrze. Zaleje go potop informacji, ale odpowiedzi na wszystkie pytania nie znajdzie. Szukając ich rozpaczliwie, zamrze, zastygnie bez ruchu i wpadnie w panikę. Panika to dobra rzecz, jeśli panikuje ten drugi.

Skupił się na tym, co wiedział. Agenci ATF odwiedzili jego sklep, szukając Cole'a, a teraz zdjęli Pinettę i Washingtona. Nie miał pojęcia, jak te dwa wydarzenia się ze sobą wiążą, ale ATF była małą, elitarną agencją. Nie mieli ludzi na tak dużą

operację, dlatego uznał, że to nie przypadek. Wyjął telefon i zadzwonił do Ronniego.

– Kiedy przyszli ci z ATF?

– Przed południem. Tuż przed jedenastą.

– Co powiedzieli?

– Że szukają Elvisa w związku z jakąś starą sprawą, nic więcej. To kit?

– Tak.

– Mówili, że nic do niego nie mają. Prosimi, żebym ci to przekazał, bo myślą, że może dlatego nie odbiera telefonów.

Pike uznał, że to ciekawe, zwłaszcza to, ile razy dzwonił i od kiedy szukają Cole'a.

– A co ja mam z tym wspólnego?

– Myślą, że wiesz, gdzie jest. O nic więcej nie pytali.

– Przyszedł jeden czy dwóch?

– Dwóch.

– Zostawili wizytówkę?

– Mam ją w ręku. Agent specjalny Jason Kaufman, Los Angeles, oddział terenowy w Glendale.

– Numer.

Pike zapisał nazwisko i numer i zadzwonił do swego domu w Culver City. Miał zastrzeżony numer, mimo to znalazł na poczcie głosowej wiadomość od agenta specjalnego ATF Kima Stanleya Robinsona. Robinson zapodał historyjkę podobną do tej Kaufmana, ale nie identyczną. Chciał rozmawiać z Cole'em w związku z zarzutami jego byłego klienta, który przebywał teraz w areszcie federalnym, i miał nadzieję, że Pike pomoże mu się z nim skontaktować. On też zostawił numer telefonu, ale był to numer waszyngtoński. Wiadomość nagrano szesnaście minut przed wizytą Kaufmana w sklepie.

Pike rozłączył się i zadzwonił do kancelarii Elvisa. Nie mógł sprawdzić poczty głosowej jego numeru domowego, ale znał hasło do służbowego i znalazł tam dwie wiadomości od ATF. Drugą nagrał agent specjalny Kaufman poprzedniego dnia rano. Pierwszą – kobieta, która przedstawiła się jako Nancie Stendahl z ATF i która prosiła go o jak najszybszy kontakt. Zostawiła numer telefonu w Waszyngtonie, ale nie dodała nic więcej.

Pike zapisał jej namiary i schował komórkę. ATF poszukiwało Cole'a tak usilnie, że zaangażowało do tego agentów ze stolicy i z Los Angeles, ale chociaż był przekonany, że ma to związek z Syryjczykiem, nie wiedział, jak może mu to pomóc w znalezieniu Cole'a.

Skupił się na domach, zwłaszcza na tym, gdzie zamordowano Hindusów. Nie dawała mu spokoju liczba kryjówek Syryjczyka, to i ta sklejka. Rozumiał, że Syryjczyk wysyła tam swoich ludzi, by usunęli dowody rzeczowe i ślady DNA, ale

zdejbowanie i zabieranie skleiki było niepotrzebnym ryzykiem. Im dłużej przestępca przebywał na miejscu zbrodni, tym większe było prawdopodobieństwo, że zostanie schwytyany. Syryjczyk najwyraźniej uważał, że takie ryzyko jest konieczne. Pike zastanawiał się, czy ma to coś wspólnego z tym, skąd te domy bierze.

Uruchomił silnik i pojechał do tego w Indio.

O tej porze w Indio panowała cisza i spokój, a dom był ciemny. Z wepchniętymi do środka drzwiami garaż wyglądał jak czarna jaskinia, ale jeśli w ogóle ktoś tam przyszedł, żeby się pogapić, już dawno go nie było.

Pike przejechał ulicą, by sprawdzić, czy nikt go nie obserwuje, zaparkował za rogiem i podszedł do domu od tyłu. Uważnie obejrzał sąsiednie podwórza, dachy i śpiące na podwórzach pojazdy. Upewniwszy się, że teren jest czysty, wrócił do samochodu, zrobił jeszcze jedno kółko i stanął naprzeciwko domu kobiety z owczarkiem.

W oknach paliło się światło, więc ruszył do drzwi. Wiedział, że o tej porze kobieta może mu nie otworzyć, dlatego zdjął okulary, żeby wyglądać mniej groźnie, i otrzepał kurz z dżinsów i bluzy.

Kiedy był w połowie podjazdu, owczarek zaczął szczekać i nie przestał, gdy kobieta próbowała go uciszyć. Rutyna, tak jak próba sił na spacerze.

Zadzwoił i ujadanie przybrało na sile.

– Zamknij się! Możesz się wreszcie zamknąć? Chryste! Co ja mam z tobą zrobić?

Miejsce, skąd dochodził głos, wskazywało, że kobieta przygląda mu się przez judasza.

– Jest późno. Czego pan chce?

– Nazywam się Pike. Chciałbym spytać panią o sąsiadów.

– Co? Chryste, zamknij się, nic nie słyszę! Przepraszam, o kogo?

Pike cofnął się od drzwi. Czekał. Po kilku sekundach drzwi uchyliły się i pies zaszczekał jeszcze głośniejsze.

Kobieta wyjrzała przez szparę nisko pochylona, bo trzymała go za obrozę. Miała ciemnobrązowe oczy. Oczy psa były złociste.

– Nie słyszałam. Przepraszam. Ona jest bardzo agresywna.

Pike przyjrzał się oczom, tym złocistym.

– Boi się. Uspokoi się, kiedy otworzy pani drzwi.

– Mówię poważnie. Ona gryzie.

– Będzie grzeczna.

Kobieta uchyliła drzwi. Suka wystawiła łeb, ale nie przestała ujadać. Była ślicznym psem o czarnym pysku, trochę jaśniejszym między oczami. Kobieta przytrzymała drzwi biodrem i krzyknęła, żeby przestał szczekać.

– Dobry pies – powiedział Pike.

Suka położyła uszy i ucichła.

Pike podał jej kłykcie do powąchania. Suka obwąchała je i cichutko zaskomlała.

– Boże – powiedziała kobieta – nigdy czegoś takiego nie widziałam.

– To grzeczny pies.

Kobieta otworzyła drzwi i wyszła, wciąż trzymając owczarka za obrozę. Pies wyrzywał się do Pike'a, uderzając ogonem w drzwi. Kobieta przedstawiła się:

– Joanie Fryman. Pan z policji?

– Nie. Chciałbym spytać panią o ten dom obok.

– Dlatego myślałam, że pan z policji. Dzwoniłam do nich.

– Dzisiaj?

– Cztery, pięć dni temu. Tam coś się dzieje. Samochody przyjeżdżają i wyjeżdżają, ale nigdy nikogo nie widać, a raz wydawało mi się, że ktoś tam jęczał.

Spojrzała w stronę domu, marszcząc brwi, jakby było to najbardziej odrażające miejsce na ziemi, i wtedy zauważyła garaż.

– Jezu, co tam się stało?

– Myślałem, że to pustostan, więc zapukałem – odparł Pike. – Zna pani tych, którzy tam mieszkają?

– Nie, widziałam tylko te samochody. Ktoś go wynajmował. Chryste, mam nadzieję, że się wynieśli.

– Dawno go wynajęli?

– Parę tygodni temu. Kiedyś mieszkali tam Simmonsowie. Miła rodzina.

Joanie Fryman szybko podniosła wzrok.

– Chce pan go wynająć?

– Może.

Joanie uśmiechnęła się promiennie.

– Kto wie, może nie wszyscy lokatorzy są tacy źli.

– Zna pani właściciela?

– Tak, to pan Castro, ale on mieszka w Idaho. Oddał dom jakiejś agencji. Poznałam nawet tę pośredniczkę, mam jej wizytówkę...

Chciała wejść do domu, ale owczarek zaparł się czterema łapami, woląc zostać z Pikiem.

– Chryste, no chodź!

– Proszę ją tu zostawić.

Joanie Fryman przewróciła oczami i puściła obrozę. Pies podbiegł do Pike'a z położonymi uszami i machając ogonem, zaczął lizać i trącać pyskiem jego ręce.

– Boże, czysty obłąd.

Joanie przewróciła oczami jeszcze wymowniej i zniknęła za drzwiami.

Pike ukucnął. Przeczesał palcami gęstą sierść na ramionach i szyi psa, podrapał skronie. Suka była silna, potężnie zbudowana i miała prawidłowe odruchy, brakowało jej tylko wskazówek i zasad. Dobry pies musi znać zasady, tak samo jak człowiek.

Spojrzał w jej złociste oczy. Służąc w piechocie morskiej i policji, znał opiekunów z K-9, którzy zabijali ludzi, by chronić swoje psy, widział, jak odchodzili ze służby po ich stracie – czuli się wtedy tak, jakby zawiedli partnera, i nie mogli poradzić sobie ze smutkiem.

– Opiekuj się nią – powiedział. – Rób swoje.

Drapał psa za uchem, dopóki Joanie Fryman nie wróciła z beżową wizytówką.

– To ona.

Agencja Złoto Pustyni. Wynajem domów i obiektów komercyjnych. Megan Orlato.

Pike’owi drgnął kącik ust. Orlato. Siostra, żona, a może matka Dennisa Orlato. Dennis Orlato załatwiał Syryjczykowi domy.

– Mam nadzieję, że jest do wynajęcia. Byłby pan tu miłym dodatkiem.

Pike podziękował jej, ale nie bardzo wiedział, co jeszcze powiedzieć. Pozwolił psu polizać rękę i poklepał go po głowie.

– To bojowe psy. Umarłaby dla pani.

Zostawił je na ganku i wrócił do samochodu. Agencja Złoto Pustyni mieściła się w Palm Springs, a więc niedaleko. Wprowadził adres do GPS-a, włożył okulary i dziesięć minut później był już na miejscu.

40

Jon Stone

Siedział spokojnie w czystym, jasno oświetlonym pokoju przesłuchań w biurze szeryfa hrabstwa Riverside w Indio. Był przykuty do stołu, ale detektywi, którzy go przykuli, wyszli bez słowa wyjaśnienia, o nic go nie spytawszy. Pomyślał, że to ciekawe, i zastanawiał się, kto kazał im to zrobić.

Siedział tak prawie godzinę, wreszcie do pokoju weszła kobieta o krótkich brązowych włosach, typowa biznesmenka. Uśmiechnął się na jej widok. Była w wymiętym czarnym kostiumie i robiła wrażenie zmęczonej.

– Jak się pan miewa?

– Doskonale. A pani?

Spróbował wstać, chociaż utrudniały mu to kajdanki, ale kobieta powstrzymała go gestem ręki.

– Proszę usiąść. Bywało lepiej, ale podejrzewam, że u pana też.

– Raz na wozie, raz pod wozem. Taka praca.

Kobieta usiadła naprzeciwko niego.

– A jakaż to praca, panie Stone?

Jon posłał jej swój najbardziej promienny uśmiech.

– Jestem konsultantem wojskowym na kontrakcie z rządem Stanów Zjednoczonych i kilkoma międzynarodowymi korporacjami, z którymi rząd ten współpracuje.

Kobieta uśmiechnęła się i uniosła brwi, jakby był ostatnim kretynem.

– Pan poważnie?

– Jak najbardziej.

Kobieta splotła palce i przedstawiła się. Nancie Stendahl. ATF. Zastępczyni dyrektora. Waszyngton. Jon był pod wrażeniem. Nie ulegało wątpliwości, że to ona stoi za aresztowaniem Pinetty, a teraz proszę: siedziała z nim w pokoju przesłuchań. Sama. Ciekawe.

Stendahl odchrząknęła i powiedziała coś jeszcze ciekawszego.

– Czy zna pan go albo czy jest pan w jakiś sposób związany z Elvisem Cole'em?

To go zaskoczyło, ale odpowiedział bez chwili wahania.

- Coś słyszałem. To jakiś piosenkarz?
- Próbuję go znaleźć.
- Szkoda, że nie mogę pani pomóc.
- Pan Haddad mówi, że pan też go szuka.
- Nie znam pana Haddada.
- A zna pan pana Pike'a?

Jon uśmiechnął się do niej jak rekin.

- Jeśli mamy dalej rozmawiać, chciałbym zadzwonić do mojego adwokata.

Prosiłem detektywów, ale powiedzieli mi coś brzydkiego.

Po raz pierwszy jej twarz ściągnęła się z irytacji.

- Dał pan im numer zastępcy dyrektora Agencji Bezpieczeństwa Narodowego.

– Oczywiście. Gdyby się na mnie powołali, na pewno by odebrał. Ma mnie w swojej komórce, na liście szybkiego wybierania.

Stendahl puściła to mimo uszu, co zaimponowało mu jeszcze bardziej. Bzdury z „prawem do adwokata” natychmiast wyleciały przez okno.

– Pan Haddad twierdzi, że pan i pan Pike zamordowaliście Dennisa Orlato i obywatela Kolumbii nazwiskiem Pedro Ruiz. Niedaleko stąd, na pustyni.

Jon uśmiechnął się jak dwa rekiny w duecie.

- Wierutne kłamstwo. Czy znaleźliście w bazie moje odciski palców?

Kiedy go zatrzymano, zeskanowano je elektronicznie i rutynowo przekazano Departamentowi Sprawiedliwości do weryfikacji. Wiedział, jaki będzie wynik, i czekał na jej reakcję.

- Owszem. Nie jest pan notowany i ma pan ciekawą przeszłość wojskową.

- Tak tam jest napisane? „Ciekawą”?

– Rubryka jest pusta, nie licząc instrukcji, że po szczegóły należy zwrócić się do Departamentu Sprawiedliwości.

- Hm. Oni tak czasem robią. W przypadku tych od zadań specjalnych.

Jon znacząco uniósł brwi.

– Wiem, panie Stone. Pan Haddad twierdzi również, że pan Pike strzelił Dennisowi Orlato prosto w głowę, z bardzo bliskiej odległości.

- Kolejne kłamstwo. Widziała pani te zielone zęby? To ćpun.

- Gdzie jest teraz pan Pike?

- Nie mam pojęcia.

– Pan Haddad mówi, że był z panem w samochodzie i uciekł na kilka sekund przed aresztowaniem.

– Naprawdę nie wiem, co powiedzieć. Uwierzysz w jedno kłamstwo, uwierzysz we wszystkie.

Stendahl spojrzała na palce i zdała sobie sprawę, że splata je, żeby nie rozpaść się na kawałki. Podniosła wzrok i oblizała usta.

– Ale to kłamstwem nie jest: kobieta nazwiskiem Nita Morales wynajęła pana Cole’a do odnalezienia swojej córki, Kristy Morales. Zwróciła się do niego, myśląc, że córka uciekła ze swoim chłopakiem, Jackiem Bermanem. Jack Berman jest moim siostrzeńcem.

Jon kiwnął głową. Tylko dzięki wyszkoleniu i dyscyplinie wewnętrznej nie pokazał po sobie nic więcej.

– Pan Pike i pan Cole współpracują ze sobą i nagle zatrzymujemy pana w jego dziupie ze związanym mężczyzną i automatycznym karabinem szturmowym M4. Widzi pan, jak to się ze sobą łączy?

Stone uśmiechnął się, ale tym razem nie wyglądał jak rekin.

– To zabawne, jak kłamstwo może upodobnić się do prawdy. Prawda?

– A więc rozumie pan, że szukam pana Cole’a, żeby zaproponować mu pomoc, ale on nie odbiera telefonów, a teraz wygląda na to, że zaginął.

Jon kiwnął głową, zastanawiając się, co Stendahl wie o sytuacji swego siostrzeńca.

– Może nie jest w stanie odebrać.

– I dlatego szukał go pan z panem Pikiem?

– Jeden z nas wciąż go szuka.

– Dobrze. Chciałabym, żeby pan coś zrozumiał. Chcę uratować mojego siostrzeńca i wszystkich uprowadzonych. Rząd Stanów Zjednoczonych dał mi pełną władzę. Niech pan pomoże mi ją wykorzystać. Niech pan pozwoli sobie pomóc.

– Siedzę w pudle.

– I tu pan pozostanie. Znajdę mojego siostrzeńca, ale nie mogę pozwolić, żeby cywile jeździli po mieście z nielegalną bronią, zabijając ludzi.

– Rozumiem.

– Pomoże mi pan?

Stone wiedział, że odpowiedź się jej nie spodoba, ale z całego serca wierzył, że innej nie ma.

– Jego największą szansą jest ktoś, kto już go szuka. Proszę pozwolić Pike’owi robić swoje.

– Nie mogę.

– Nie powstrzyma go pani. – Jon posłał jej swój najbardziej zabójczy uśmiech. – A teraz niech pani zrobi siostrzeńcowi przysługę i pozwoli mi zadzwonić do adwokata. Próbuję ułatwić pani życie.

Stendahl wyszła bez słowa. Stone odprowadził ją wzrokiem, wiedząc, że wróci.

41

Joe Pike

Agencja wynajmu nieruchomości Złoto Pustyni mieściła się bliżej Cathedral City niż Palm Desert, w małym, wąskim biurze wciśniętym między punkt z pamiątkami i sklep z damską odzieżą. Pobliskie sklepy i biura były zamknięte, co bardzo mu odpowiadało, bo ulice były opustoszałe.

Szybę oklejono kolorowymi ulotkami reklamującymi dostępne nieruchomości. Wynikało z nich, że Megan Orlato specjalizuje się w wynajmowaniu domów dla gości weekendowych i dla osób przyjeżdżających w sezonie na dłuższy letni wypoczynek. W środku było ciemno. Jedyne światło dochodziło z komputera na biurku w głębi biura. Z przodu stał mały, okrągły stolik z krzesłami dla klientów, ale biurko było tylko jedno: nad nim wisiały plakaty, za nim stała niska szafka na akta. Pike poszukał wzrokiem czerwonego światełka alarmu przy drzwiach, ale go nie znalazł.

Pojechał na parking za biurem. Na tylnych drzwiach, komercyjnych ognioodpornych drzwiach, jakie widuje się niemal w każdym sklepie, zamontowano zasuwę. Pike obejrzał ją, pojechał na stację benzynową Chevrona trzy ulice dalej i poszperał w rzeczach Stone'a. Znalazł elektryczny wytrych i klucze dynamometryczne. Narzędzia najwyższej jakości.

Zatankował, wrócił do biura, otworzył zasuwę i wszedł do środka. Myślał, że zawyje alarm, a kiedy nie zawył, założył, że jest to alarm cichy.

Jeśli biuro obsługiwała dobra prywatna firma ochroniarska, miał co najmniej cztery minuty. Wiedział, że dyżurny uruchomi najpierw program diagnostyczny, by sprawdzić, czy nie jest to błąd systemu, a potem zadzwoni do abonenta. Jeśli się nie dodzwoni, zawiadomi policję albo firmowy patrol, który zjawi się tu dopiero po bieżącej interwencji. Cztery minuty to wzorcowy czas reakcji, ale w rzeczywistości czas ten był o wiele dłuższy.

Zapalił światło. Plakaty, które widział z ulicy, reklamowały agencję. „Służymy Wam już od 13 ZŁOTYCH lat!”.

Zignorował komputer i od razu podszedł do szafki. Przeszukiwanie obcego komputera mogło trwać wieki, za to w szafce były tylko trzy szuflady. Pierwsza

zawierała teczki oznaczone napisami takimi jak „Visa”, „Amex”, „Licencje i opłaty”, „Media”, „Samochody” i „Lekarz”. Uznał, że są to dokumenty osobiste, i otworzył drugą. W tej były teczki ułożone alfabetycznie według ulic i adresów. Szybko sprawdził, czy nie ma wśród nich domów wykorzystywanych przez Syryjczyka, lecz ich nie znalazł. Na chybił trafił wyjął dwie, by sprawdzić ich zawartość, i okazało się, że są w nich podpisane umowy najmu. Szuflada była przeznaczona na dokumenty domów aktualnie wynajmowanych.

W trzeciej leżał żółty segregator z napisem „Dostępne nieruchomości”. Tu znalazł trzy domy wykorzystywane przez Syryjczyka. W każdej koszulce była umowa wynajmu zawarta między właścicielem i agencją. Pike sprawdził, czy wszystkie trzy domy należą do tej samej osoby, i okazało się, że nie. Poza tym wszyscy ich właściciele mieszkali poza granicami stanu, co znaczyło, że pewnie nie mają pojęcia, jak wykorzystuje się ich posiadłości. Z tego też względu w każdej umowie zaznaczono, że zarządcą nieruchomości jest agencja Złoto Pustyni. To z kolei znaczyło, że podczas nieobecności właściciela agencja musi zajmować się ogrodem, konserwacją i wszelkimi naprawami. Dzięki temu przez dwa, trzy tygodnie, kiedy dom był wykorzystywany przez Syryjczyka, Orlatowie mogli nie wpuszczać tam niepożądanych gości.

Łącznie z tymi trzema w segregatorze było trzydzieści, czterdzieści plastikowych koszulek. Zatem Cole musiał przebywać w którymś z pozostałych domów, na pewno w jednym z tych, którego właściciel gdzieś wyjechał. Pike zabrał segregator, zamknął szufladę i już miał wychodzić, kiedy zobaczył zdjęcie.

Oprawione w ramkę stało na biurku i przedstawiało Dennisa Orlato z jakąś kobietą. On był w niebieskim garniturze, ona w obcisłej kwiecistej sukience. Oboje uśmiechali się, pozując z bukietem białych róż pod neonem „KAPLICA ŚLUBNA NIEBIAŃSKIE SZCZĘŚCIE LAS VEGAS”. Megan Orlato nie była jego siostrą ani matką. Była jego żoną.

Pike zerknął na zegarek. Przebywał w biurze od czterech minut i dwudziestu sekund.

Spojrzał na zdjęcie. Nie byli już dzieciakami. Megan była młodsza od Dennisa, ale on wydawał się ledwie kilka lat młodszy niż w chwili, kiedy Pike go zastrzelił. Zdjęcie zrobiono nie dawniej jak przed sześciu, ośmiu laty, co znaczyło, że mieli stosunkowo krótki staż małżeński.

Megan była atrakcyjną kobietą. Szczupła i wyższa od męża, miała mocno zaznaczone kości policzkowe, długi nos i oczy w kształcie migdałów. Pike'owi przypomniało się to, co Orlato powiedział przed śmiercią.

„Syryjczyk go wymieni. Jestem mężem jego siostry”.

Jeszcze raz spojrzął na zegarek. Cztery minuty i pięćdziesiąt sekund.

Wtedy w to nie uwierzył, ale teraz zastanawiał się, czy to prawda.

Zerknął na plakaty. Złoto Pustyni. „Służymy Wam już od 13 ZŁOTYCH lat!”. Dłużej, niż trwało ich małżeństwo.

Otworzył górną szufladę i wyjął z niej teczkę z napisem „Licencje i opłaty”. Pierwszymi dokumentami w tezcze była licencja agenta handlu nieruchomościami i pozwolenie na prowadzenie działalności gospodarczej. Licencję wystawiono na długo przedtem, zanim Megan poznała Dennisa Orlato i wyszła za niego za mąż. Widniało na niej nazwisko Maysan ad-Diri.

Pike wyjął teczki z napisem „Samochody” i „Lekarz”. W pierwszej były rachunki z warsztatu, które wysłano do Megan Orlato na adres 2717 Croydon Avenue w Indio. W drugiej umowa ubezpieczeniowa z tym samym adresem. Adresem domowym pani Orlato.

Po raz drugi tego dnia Pike’owi drgnął kącik ust. Miał coś lepszego niż lista domów.

Miał siostrę Ghaziego ad-Diriego.

Farma daktylowa

42

Elvis Cole

Dwóch strażników wyniosło do garażu owinięte plastikiem i oklejone taśmą ciało. Obserwowałem ich, siedząc na podłodze ze skutymi z tyłu rękami.

Kiedy mijali mnie z drugim, wstałem i zaatakowałem ich z nisko pochyloną głową, jak szarżujący byk. Z zaskoczenia poczerwieniały im twarze i upuścili zwłoki. Kopnąłem pierwszego w pierś, zrobiłem szybki, niski obrót i podciąłem drugiemu nogi, ale wtedy ten z zajęczą wargą przyłożył mi od tyłu.

Ocknąłem się na swoim miejscu pod lampą i wydawało mi się, że Krista Morales obserwuje mnie przez judasza, śmiejąc się z Syryjczykiem i mówiąc, że dupa ze mnie, nie detektyw. Znalazłem ją wszystkiego na pięć minut i straciłem w rekordowym tempie. A teraz nie wiedziałem nawet, gdzie jest, gdzie jestem ja i czy Krista jeszcze żyje. Próbowałem wstać, ale ktoś skuł mi nogi.

Wynieśli trzecie ciało. To trzecie było małe. Kobieta z *bindi* na czole. Próbowałem sobie przypomnieć, czy podziękowałem jej za wodę. I nie mogłem. Podziękowałem? Czy jej ostatnim wspomnieniem o mnie było to, że zachowałem się niegrzecznie?

Po nosie spływały mi łzy. Spojrzałem w dół i zobaczyłem, że to krew. Wyjąłem z kieszeni Świerszcza od Nity Morales i wetknąłem go pod lampę.

– Okruszki chleba – powiedziałem.

Gdzieś między Burger Kingiem i domem, w którym teraz przebywałem, zadziałał ich sprytny system bezpieczeństwa. Pike'a nie było. Ale nigdy, ani razu, nie miałem wątpliwości, że mnie znajdzie. Moim zadaniem było przeżyć do tej chwili, przeżyć albo uciec na własną rękę. Stany Zjednoczone wysłały mnie do czegoś, co nazywano szkołą rangersów. Ich credo brzmi: *sua sponte*. Co znaczy: „jesteś zdany na samego siebie, dupku”.

Dobra.

Dawaj.

My się nie poddajemy.

Cztery godziny później Washington i Pinetta przecięli mi więzy na nogach, założyli poszewkę na głowę i zabrali mnie na kolejną przejażdżkę. Asfalt ustąpił

miejsca zwirowi, zwolniliśmy, wjechaliśmy do kolejnego garażu i się zatrzymaliśmy. Ale tym razem, gdy Washington ściągnął mi z głowy poszewkę, zobaczyłem duże, brudne pomieszczenie wielkości nie jednego, ale sześciu garaży. Rozsunięto wielkie na pół ściany drzwi, żebyśmy mogli wjechać. W środku stały trzy terenówki i pięć pikapów z grubymi, guzowatymi oponami. Ślady takich opon widziałem na pustyni, gdzie napadnięto Sancheza.

– Co to jest? – spytałem.

– Stara farma daktylowa. Kiedyś pakowano tu daktyle i ładowano je na ciężarówki.

Przez otwarte drzwi widać było rzędy dawno uschniętych palm. Ich wysokie, grube pnie pokrywały romboidalne łuski. Zachodzące słońce omywało je miedzianym światłem. Z zielonymi pióropuszcami liści musiały być piękne, ale teraz, nagie i martwe, wyglądały jak zapomniane słupy totemiczne. Zastanawiałem się, czy są tu Krista i Jack, czy może przewieziono ich gdzie indziej.

– Nowa kwatery?

– Dla ciebie.

Z pakowalni przeszliśmy do budynku podzielonego na pomieszczenia biurowe i małą stołówkę. Trzech strażników podłączało gaz, dwóch innych prąd, czterech dźwigało grubą sklejkę. Było ich więcej niż w dwóch poprzednich domach i żadnego nie znałem.

Washington i Pinetta zaprowadzili mnie do małego pokoju ze wzmocnionymi drzwiami. Na betonowej podłodze stała butelka wody, kubek i nic więcej.

– Kolorowych snów – powiedział Washington. – I uważaj na robaki.

Pinetta się roześmiał, a ja odwróciłem się, by pokazać im ręce.

– Przetniecie to, żebym mógł się wysikać?

– Nie.

Wyszli i zamknęli drzwi. Przez całą noc słyszałem stukot młotków, warkot wiertarek i pił; siedziałem na brudnym betonie, ale nie mogłem zasnąć. Udało mi się zsunąć spodnie, zrobić co trzeba i naciągnąć je z powrotem.

Nazajutrz w drzwiach pojawił się pochylony Latynos z dużym jabłkiem Adama i zaciągający z teksańska otyły skinhead.

– Gdzie Washington i Pinetta? – spytałem. – Mieli przynieść kawę.

– Wstawaj, złamasie – rzucił skinhead.

Wygadany facet.

Wyciągnęli mnie na korytarz, gdzie czekał niezbyt zadowolony Syryjczyk.

– Jak długo będziecie mnie sprawdzać? – spytałem. – To się staje absurdalne.

– Dziewczyna mówi, że chłopakowi się pogorszyło. Znasz się na medycynie?

To pytanie wszystko zmieniło. Dziesięć sekund wcześniej nie wiedziałem, czy zobaczę jeszcze Kristę i Jacka. Dziesięć sekund później okazało się, że tu są.

– Opatrywałem rany i diagnozowałem moich ludzi. Chcesz, żebym go obejrzał, nie ma sprawy. Mogę mu pomóc.

Minęliśmy stołówkę i krótkim korytarzem weszliśmy do sąsiedniego budynku. Skinhead miał na imię Royce i lubił gderać. Wraz z pozostałymi strażnikami przyjechał poprzedniego dnia i nie podobało mu się, że przez całą noc musiał przykręcać sklejkę. Gadał o tym i gadał, aż Syryjczyk kazał mu się zamknąć. Royce się zamknął i zobaczyłem kolejnych strażników. Większość była uzbrojona w pałki elektryczne i kije, ale niektórzy mieli krótkie, czarne strzelby, a jeden chińskiego kałasznikowa. Byli spięci i zdenerwowani, a ich milczenie i broń zaniepokoiły mnie, bo nie wiedziałem, na co Ad-Diri się szykuje.

Przez całą długość sąsiedniego budynku, dokładnie jego środkiem, biegł korytarz. Było w nim czworo drzwi, ale dwoje tych dalszych i piąte na końcu zabito sklejką. Tu też kręcili się jego ludzie.

Niezdarny strażnik otworzył pierwsze drzwi po lewej i wprowadzili mnie do długiego, kiszkowatego pomieszczenia. Kiedyś mieścił się tu pewnie magazyn albo stołówka, ale teraz ściany były ogołoczone do nagiego betonu, a okna zabezpieczone sklejką. Na podłodze pod ścianami siedzieli grupkami mężczyźni i kobiety. Było ich więcej niż w poprzednich domach. Więcej Latynosów. Więcej czarnych i białych. Garstka uprowadzonych z Bliskiego Wschodu. Berman leżał pod ścianą między Kristą i młodym, muskularnym Azjata. Krista wstała na nasz widok.

– Jest tam – powiedział Ad-Diri. – Obejrzyj go. Umiera?

Wzruszyłem ramionami i pokazałem mu nadgarstki.

– Muszę mieć wolne ręce.

Syryjczyk dał znak Royce'owi, który przeciął kajdanki.

Podszedłem bliżej i ukląknęłam przy głowie Bermana. Dziewczyna przyglądała mi się, jakby próbowała mnie rozgryźć.

Ponieważ Ad-Diri i jego ludzie wciąż mnie obserwowali, uśmiechnąłem się do niej jak przyjazny lekarz rodzinny i głośno spytałem:

– Jak się dzisiaj czuje?

Tym razem pamiętała o akcencie.

– Chyba gorzej, ale nie wiem, może tak samo? Porusza oczami, ale nie widzi. I mówi dziwne rzeczy.

Berman wyglądał lepiej. Bładość ustąpiła, miał suchą skórę. Spojrzał na mnie, kiedy dotknąłem jego czoła. Wzrok miał pusty, ale źrenice były jednakowej wielkości, i próbował skupić na mnie spojrzenie. W gorszym stanie widywałem bejsbolistów, kumpli z wojska i facetów na siłowni. Zerknąłem na Kristę.

– Tak. Rozumiem.

Sprawdziłem, czy ma gorączkę, podniosłem mu powieki, obmacałem głowę. Za prawym uchem miał trzy duże stłuczenia i skrzywił się w bólu, kiedy ich dotknąłem.

Wstałem i podszedłem do Syryjczyka, jakbym nie chciał rozmawiać przy dziewczynie.

– Ma silne wstrząśnienie mózgu, to na pewno, ale widywałem gorsze rzeczy. Nie znalazłem żadnej rany zewnętrznej, ale nie wiem, czy nie ma krwotoku wewnętrznego. Jeśli ciśnienie w czaszce wzrasta, ma przerąbane. Jeśli nie, za kilka dni powinien wydobrzeć, trzeba go tylko ciągle okładać.

– Okładać?

– Tak, lodem. Głowę. Lód zmniejszy opuchliznę, może nawet zatrzymać krwotok. Macie tu lód?

– Tak. Jest prąd.

Kiedy mnie przywieźli, widziałem, jak jego ludzie podłączali zasilanie.

– Daj mi kilka ręczników i lód, to wam pokażę. I trzeba go poić. Odwodni się i umrze. Jeśli będzie pił, wyzdrowieje.

Ad-Diri zawołał tego z jabłkiem Adama, wysłał go po ręczniki i lód i strażnik wybiegł z sali.

Coś zabuczało. Syryjczyk wyjął z kieszeni komórkę i odszedł na bok. Zasłonił telefon ręką i dał znak Royce'owi.

– Poszukaj Mediny.

Kiedy Royce wyszedł, przykucnąłem obok Bermana i szepnąłem do Kristy:

– Teraz nie daj nic po sobie poznać. Nazywam się Elvis Cole. Pracuję dla twojej matki. Wyciągnę was stąd.

Dziewczyna nie zareagowała, oblizwała tylko usta. Ponad moim ramieniem zerknęła na strażników.

– Teraz?

– Wkrótce. Pomaga mi ktoś z zewnątrz, ale jeśli nadarzy się okazja, uciekniemy sami.

Spojrzałem na młodego Azjatę.

– Kwan Min Park. Pomaga mi twój dziadek i kuzyn.

Przez jego twarz przebiegł leciutki uśmiech. Kwan Min Park próbował dostać się do Stanów Zjednoczonych, ponieważ w Korei Południowej poszukiwano go za siedem morderstw.

– Wyjdziemy stąd. Już niedługo.

Zerknąłem na Kristę, potem na Jacka.

– Jest ranny, ale powoli dochodzi do siebie. Co się stało?

– Zęby – odparł Kwan.

I w koszmarnym grymasie odsłonił swoje.

– Medina – wyjaśniła Krista. – Ten szczerbaty. Zrobił mi... krzywdę.

Umilkła i spojrzała na mnie, jakby nie chciała wchodzić w szczegóły.

– Rozumiem. Trzymasz się?

– Jakoś. Ale on ciągle się na mnie gapi.

Rozejrzałem się. Mediny nie było, ale w sali roiło się od zdenerwowanych więźniów i strażników. W kącie naprzeciwko siedziała grupka Koreańczyków, ale było ich nie więcej niż dwunastu. Zerknąłem na Kwana.

– Gdzie reszta waszych?

– W drugim pokoju. Tak jak poprzednio.

– Po drugiej stronie korytarza jest identyczna sala – dodała Krista. – Podzielili nas, połowa tu, połowa tam.

– Tutaj jest co najmniej setka. Razem to dwieście osób.

– Przywieźli nas wczoraj wieczorem, nas i dwie inne grupy. Słyszałam, jak jeden strażnik mówił, że są tam nawet Rosjanie. Mają prawie trzydziestu Rosjan, w tej drugiej sali.

Czysty obłąd. Dwustu ubogich albo pozbawionych środków do życia ludzi, których uprowadzono i uwięziono, by od ich równie biednych rodzin i pracodawców zażądać okupu w wysokości ledwie kilkuset, najwyżej kilku tysięcy dolarów. Locano miał rację. Brudny interes Syryjczyka bazował na ilości. Gdyby udało mu się zebrać od tysiąca do dwóch tysięcy dolarów od każdego z dwustu *pollos*, miałby od dwustu do czterystu tysięcy tylko od tych, których więził tutaj, teraz. Gdyby porywał dwustu ludzi dziesięć razy w roku, zgarniałby od dwóch do czterech milionów.

Zastanawiało mnie tylko, dlaczego przywiózł trzy grupy w jedno miejsce i dlaczego wszystkie naraz.

– Strażnicy mówili, dlaczego was tu przywieźli?

– Kilku z nich zniknęło. Jakby wyparowali i ci tu myślą, że wpadli. Bali się, że tamci powiedzą policji, gdzie jesteśmy, i nas przenieśli.

– Zniknęło kilku strażników? Tych, którzy was pilnowali?

– Tak. Nie ma ich.

Pike. Coś lub ktoś przyparł Syryjczyka do muru i wiedziałem, że to Pike.

Zerknąłem na Ad-Diriego. Wciąż rozmawiał przez telefon, ale teraz podeszli do niego Medina i Royce, a Syryjczyk był wyraźnie zły.

– Masz broń? – spytał Kwan.

Postukałem się w głowę.

– Moją bronią jest umysł, rycerzu Jedi.

Kwan zmrużył oczy i się odwrócił.

Krista nachyliła się ku mnie i szepnęła:

– Mam nóż. Jack znalazł go w tamtym domu.

Sięgnęła w dół, jakby chciała mi go pokazać, ale ją powstrzymałem.

– Nie wyjmuj. Użyj go w razie czego. Wydostanę was stąd.

– A jeśli pana przyjaciel nas nie znajdzie?

– Znajdzie. Są ludzie, którzy nigdy nie zawodzą.

Niezdarny strażnik z jabłkiem Adama wrócił z lodem i przetartymi ręcznikami. Krista ostrzegła mnie, że nadchodzi, i dodała, że wygląda jak modliszka. Modliszka. Uśmiechnąłem się.

Kiedy podawał mi lód, w jego prawej kieszeni zauważyłem kanciaste wybrzuszenie, zarys pistoletu. Uśmiechnąłem się jeszcze szerzej.

Zawinałem lód w ręcznik i podłożyłem go Bermanowi pod głowę. Syryjczyk krzyknął na kogoś w korytarzu. Cieszyłem się, że jest zły. Znowu pomyślałem o Pike'u, wiedząc, że wciąż poluje.

Royce i Modliszka wrócili kilka minut później, skuli mnie i zaprowadzili do mojego pokoju. Idąc, kilka razy wpadłem na Royce'a, by sprawdzić jego kieszenie, ale nie miał broni. Nic to. Modliszka broń miał i wiedziałem, że łatwo mu ją będzie odebrać.

Z pokoju wypuścili mnie dopiero trzeciego dnia. Przez ten czas nie widziałem Ad-Diriego. Royce'a i Modliszkę też zobaczyłem dopiero wtedy, w dniu, gdy odebrałem mu pistolet i ich zastrzeliłem.

Joe Pike polował.

Ja też zamierzałem pójść na łowy.

43

Joe Pike

Parkował na piasku niecałe dwa kilometry na północ od Coachelli, obserwując odległe światła reflektorów sunące po niewidocznej szosie na niewidocznym horyzoncie, kiedy Megan Orlato wreszcie się obudziła. W sekundę otrzeźwiała, poczuła, że jest zakneblowana i związana, i zeszywniała jak na krześle elektrycznym. Potem zaczęła się szarpać i próbowała krzyczeć. Oczy miała wytrzeszczone z przerażenia, i tak powinno być. Tak było dobrze i właściwie. Tak było prawidłowo.

Leżała na tylnym siedzeniu. Nadgarstki, łokcie, kostki u nóg i kolana miała skrępowane plastikowymi kajdankami. Usta zaklejone taśmą. Pike siedział za kierownicą spokojny i odprężony, z ręką na zagłówku. Patrzył na nią przez ramię. Byli sami. Nie poruszało się nic oprócz świateł na horyzoncie.

Próbował sobie przypomnieć, kiedy ostatnio spał, ale nie mógł. Nieważne. Jak poświęcenie, to poświęcenie.

Patrzył na kobietę, aż się uspokoiła. Obserwował, jak ona patrzy na niego, słyszał jej oddech. Oddychała głośno i szybko, ale w końcu się uspokoiła.

– Nazywa się pani Maysan ad-Diri. Jest pani siostrą Ghaziego ad-Diriego. Pani i Dennis Orlato załatwiacie dla niego domy.

Poruszył się pierwszy raz, żeby podnieść żółty segregator, który zabrał z jej agencji.

– To są domy, w których torturowano i zabijano ludzi. Nieruchomości na sprzedaż i wynajem, których właściciele przebywają poza granicami stanu.

Nachylił się ku niej i łagodnie zdjął taśmę z jej ust.

Megan Orlato zaczęła krzyczeć o pomoc, przeraźliwie wrzeszczeć, pisać i szarpać się na wszystkie strony. Nie wiedziała, kiedy ucisnął jej tętnicę szyjną i uśpił ją, odcinając dopływ tlenu do mózgu. Pierwszy raz zobaczyła go dopiero teraz, na tonącej w blasku księżycy pustyni.

– Dennis nie żyje. Strzeliłem mu tutaj.

Pike dotknął palcem środka prawej brwi.

– Ruiz i Washington też nie żyją. Pinettę i Haddada aresztowała policja.

Megan Orlato znowu oddychała szybko i głośno.

– Kim ty jesteś?

– Gdzie jest Ghazi?

Zacząła oddychać jeszcze szybciej, więc dotknął segregatora.

– Dwadzieścia dwa domy, musi być w jednym z nich. Czas, który mi pani zaoszczędzi, może być wart pani życie.

Megan milczała.

– Inaczej zostawię tu panią z Dennisem. Ghaziego znajdę i tak.

– Czego od niego chcesz?

– Przetrzykuje mojego przyjaciela.

– Zabijesz go?

– Jeśli będę musiał, tak, zabiję. Panią też. Gdzie on jest?

Megan Orlato oblizwała usta, potajemnie, ale zdradził ją błysk niebieskiego światła odbitego od języka.

– Na farmie daktylowej. Jest na liście nieruchomości komercyjnych.

– Adres.

Podawała mu namiary. Farma była niedaleko.

– Proszę mówić prawdę. Skłamię pani i nie będzie drugiej szansy.

– Nie kłamię. Chciał czegoś większego. Miałam tę farmę.

Kierując się jej wskazówkami, wrócił do Coachelli i skręcił na południowy wschód, znowu na pustynię spory kawałek za miastem. Farma – czterysta pięćdziesiąt metrów długości, dwieście dwadzieścia pięć metrów szerokości – leżała w idealnym prostokącie między asfaltowymi szosami i dokładnie w połowie przecinała ją żwirówka. Była gęsto obsadzona palmami, ale palmy już dawno uschły i straciły liście. Przypominały teraz szeregi zastygłych w wiecznym bezruchu żołnierzy piechoty morskiej. Przed wjazdem stała duża tablica z napisem: „NA SPRZEDAŻ. DO NATYCHMIASTOWEGO ZAGOSPODAROWANIA. AGENCJA HANDLU NIERUCHOMOŚCIAMI ZŁOTO PUSTYNI”. Na końcu żwirówki widać było zarys jakiegoś budynku, nic więcej. Wszędzie panowała ciemność.

– Jest tam? – spytał Pike.

– Chyba tak. Nie wiem. Chciał czegoś większego, miałam tylko to. Nie pomagam mu w przeprowadzkach.

Pike przyjrzał się budynkowi i stwierdził, że są to dwa budynki, nie jeden. Zastanawiał się, czy w którymś z nich jest Cole i czy jeszcze żyje.

– Ile tam jest budynków?

– Ponad jedenaście hektarów ziemi z pięcioma budynkami na stalowo-drewnianym szkielecie, o łącznej powierzchni użytkowej tysiąca trzystu metrów kwadratowych. Trzy szamba, woda z wodociągów miejskich...

Pike zmrużył oczy.

– Nie zamierzam tego kupować.

– To była farma. W budynkach przetwarzano i pakowano daktyle. W dwóch przechowywano sprzęt do napraw i konserwacji. W jednym są pomieszczenia biurowe i stołówka dla pracowników.

– Ile wejść?

– Tylko jedno, to tutaj. Była brama od zachodniej strony, ale właściciele posadzili więcej drzew.

Pike'a zastanawiała wielkość nowej kryjówki. Trzy poprzednie były małymi domami jednorodzinnymi.

– Dlaczego tak duży budynek?

– Myślał, że Dennisa i tamtych aresztowała policja. Chciał przenieść ludzi z domów, o których wiedzieli.

– Ile grup?

– Chyba trzy. Miał trzy domy.

– Wszyscy tu przyjechali?

– Niczego innego mu nie dawałam.

Pike zaparkował na bityj drodze na północ od farmy, zakleił Megan usta świeżą taśmą i wślizgnął się między palmy. Pięć budynków stało w grupie pośrodku plantacji, niemal sto pięćdziesiąt metrów od szosy. Trzy po wschodniej stronie żwirówki, dwa po zachodniej, frontem do tamtych. W tych po wschodniej błyskało światło, te po zachodniej były ciemne. Pike ruszył w stronę świateł. Idąc, wypatrywał wartowników, ale żadnego nie zauważył.

Przez kilka minut przyglądał się budynkom, drzwiom i oknom, potem ostrożnie zakradł się od tyłu. Zza ściany pierwszego dochodziło chrapanie i – od czasu do czasu – stłumione głosy. W środkowym ktoś coś głośno powiedział, ktoś inny głośno się roześmiał. Pod długimi rozsuwanymi drzwiami na końcu trzeciego parkowało kilka terenowych pikapów i duża ciężarówka. Pike zastanawiał się, czy właśnie tą jechał Sanchez, kiedy Syryjczyk wprowadził Kristę Morales. Doszedł do wniosku, że więźniowie przebywają w budynku północnym, strażnicy w środkowym i że w budynku południowym jest garaż. Do środka można było dostać się pewnie tylko tamtędy, przez garaż.

Przystanął między pikapami i spojrzał na wyżwirowany podjazd. Od drzwi dzieliły go niemal dwie długości boiska futbolowego. Jedyne wejście i wyjście. Dwa boiska to kawał drogi.

Wrócił do samochodu, sprawdził, czy Megan Orlato jest dobrze skrupowana, i rozważył dostępne możliwości. Budynek zasłaniały teraz drzewa, ale wiedział, że tam jest, widział kładące się tam księżycowe cienie. Trzy grupy to mniej więcej osiemnastu uzbrojonych strażników i nieznana, lecz duża liczba niewinnych ludzi. Drzwi i okna były na pewno wzmocnione. Musiałby wejść przez garaż, przedrzeć się do ostatniego budynku, zlokalizować Cole'a i młodych, a potem przedrzeć się

z powrotem do wyjścia. W dodatku nie wiedział, czy Elvis na pewno tam jest.

– Idę po ciebie – powiedział.

Nie bał się ryzyka, ale im mniejsze ryzyko, tym większe szanse na powodzenie akcji, a on wierzył, że zna sposób, by to ryzyko zmniejszyć. Spojrzał na Megan Orlato i zadzwonił, by sprawdzić, czy Jon Stone już wyszedł.

44

Jon Stone

Wyszedł z aresztu, kiedy pękata kula księżycy rozpoczęła swój leniwy marsz na zachód. Zwrócono mu wszystko, co miał przy sobie w chwili zatrzymania, z wyjątkiem Khalila Haddada, który miał pozostać gościem rządu Stanów Zjednoczonych. Mała strata.

Poczuł się dotknięty, kiedy Nancie Stendahl wyszła jak burza z pokoju po tym, jak chłopcy z Waszyngtonu kazali go uwolnić. Dobrze chociaż, że dwóch młodych zastępców szeryfa, którzy wydawali mu rzeczy, miało na tyle taktu, by pokazać, że zaimponowało im to, iż pozwolono mu zatrzymać M4. Spytali go, czy jest szpiegiem.

Wybuchnął śmiechem. Szpiegiem. Jezu.

– Zawsze się pan z siebie śmieje? – spytała Nancie Stendahl.

– Gdyby słyszała pani, o jakich myślę głupotach, też by się pani śmiała.

Stendahl opierała się o dżipa, którego też mu zwrócono. Parking był prawie pusty i na jego drugim końcu zobaczył dużą, białą furgonetkę ATF.

Ucieszył się na widok Nancie. Współczuł jej, rozumiał jej zaangażowanie i szanował to, że chwyciła się wszystkich sposobów, by znaleźć swego siostrzeńca. Miał nadzieję, że nie zepsuje mu nastroju prawnymi pouczeniami. Postanowił, że jeśli to zrobi, on wyrecytuje po rosyjsku fragment *Zbrodni i kary* Dostojewskiego, żeby ją nastraszyć.

Ale nie. Nancie była zmęczona, spięta i zdenerwowana tak bardzo, jakby miała zaraz rozpaść się na kawałki. Chętnie postawiłby jej kawę, ale miał na głowie inne sprawy.

– Wie pan, gdzie jest Jack?

– Nie. Ale wiem, kto go uprowadził. Haddad też wie.

Natychmiast się ożywiła.

– Kto?

– Niejaki Ghazi ad-Diri. Szef Haddada. Ma pani papier i coś do pisania?

Ona szukała papieru, a on położył na tylnym siedzeniu karabin, a na przednim pistolety, amunicję, GPS i telefony. Kiedy się odwrócił, czekała z długopisem i serwetką. Wyrecytował z pamięci długość i szerokość geograficzną i sprawdził, czy

dobrze wszystko zapisała.

– To współrzędne miejsca, gdzie pozbywają się zwłok. Znajdziecie tam jedenaście albo dwanaście ciał w plastikowych workach. Haddad zamordował prawdopodobnie połowę ich. Leżą tam również dwa trupy bez worków. To oni zamordowali pozostałych.

– A kto zabił ich?

Puścił to pytanie mimo uszu.

– Niech pani nie da się zwieść jego chęcią współpracy. Haddad to bezwzględne bydlę, tak jak cała reszta. Potowarzyszy mi pani? Chcę obejrzeć samochód.

– Dlaczego mi pan to mówi?

– Chcecie ich złapać. Im więcej Haddad wyśpiewa wam o Syryjczyku, tym lepiej poznacie sposoby działania karteli. Nie ma to jak dobry wywiad. Przekonałem się o tym na własnej skórze.

Szybko obeszli dzipa. Na samochodzie pojawiło się kilka zadrapań. Pike się pewnie wkurzy.

– Ten Ghazi ad-Diri to prawdziwy Syryjczyk?

– Meksykanie tak go nazywają. Z tego, co wiem, pochodzi z Bakersfield. Wie pani, kto to jest *bajadore*?

Pokręciła głową.

– Bandzior, który kradnie wszystko to, co kartele szmuglują przez granicę. Głównie ludzi, którzy próbują wjechać tu bez dokumentów.

– Kradnie po tej stronie granicy?

– Większość działa po tamtej, ale niektórzy zaczynają przechodzić tutaj. Łatwiej jest uniknąć naszej policji niż tych z karteli.

– On tu mieszka? Ma rodzinę?

– Może Haddad to pani powie.

Jon spojrzał na zegarek. Chciał zadzwonić do Pike'a.

– Powodzenia. Muszę jechać.

– Ghazi ad-Diri uprowadził Elvisa Cole'a. Uprowadził mojego siostrzeńca. Oboje czegoś od niego chcemy, powinniśmy współpracować.

– Nie. Niech pani wybije to sobie z głowy.

– Jack jest dla mnie jak własne dziecko. To mój jedyny żyjący krewny. Myśli pan, że wycofam się z nadzieją, iż znajdzie go ktoś inny?

– Niech pani robi swoje. Może znajdzie go pani przed nami.

Stanąła na wprost niego i dźgnęła go palcem w pierś.

– To moja krew. Przysięgłam siostrze, że go znajdę. Przysięgłam nad jej grobem, że będę się nim opiekowała.

– Składała pani przysięgę. To wykluczone.

– Cholera jasna, niech mi pan pomoże!

Dźgnęła go jeszcze mocniej, aż się cofnęła.

– Proszę posłuchać...

Spojrzał na srebrzystoniebieski księżyc i pokręcił głową.

– Jeśli znajdziemy tych ludzi i okaże się, że Cole nie żyje, nikt z nich nie wyjdzie z tego żywy. Nie będzie żadnego sądu. Nie będzie sędziego ani przysięgłych. Jest pani zastępczynią dyrektora ATF. Nie mogłaby pani spojrzeć sobie w oczy.

– Nie musicie tego robić.

Zerknął na zegarek. *Tempus fugit*.

– Muszę jechać. Bez względu na to, gdzie Jack teraz jest, lepiej by było, żeby był gdzie indziej. Muszę jechać.

Spojrzała na niego tak, jakby chciała mówić dalej, ale powiedziała tylko jedno słowo.

– Powodzenia.

Odeszła w stronę swego samochodu, a on popatrzył za nią, wsiadł do dżipa i uruchomił silnik. Podłączył telefon satelitarny i GPS. Chwilę trwało, zanim telefon złapał odpowiedniego satelitę, ale zapaliło się zielone światełko i Jon mógł zaczynać.

Natychmiast załadowała się nowa wiadomość.

Nacisnął przycisk i usłyszał głos Pike'a.

– Zadzwoń.

Pike odebrał po pierwszym sygnale i Jon złożył mu krótki meldunek.

– Już wyszedłem. Co u ciebie?

– Mam siostrę Syryjczyka.

Jon wybuchnął śmiechem. Śmiał się tak bardzo, że zapiekły go oczy. Pike był niesamowity. Absolutnie najlepszy.

– Bosko. Fantastycznie. Co teraz? Chcesz wymienić ją na Cole'a?

– Nie. Zaproponujemy wymianę, Ad-Diri skupi się na nim i trudniej go będzie znaleźć.

– Siostrzyczka wie, gdzie oni są?

– Na farmie daktyłowej pod Coachellą. Właśnie na nią patrzę.

Pike opisał mu farmę i przekazał to, czego dowiedział się od Megan Orlato. Że kiedy Haddad i tych dwóch, których zastrzelili na pustyni, nagle zniknęło, Ad-Diri ściągnął tam trzy grupy *pollos* i trzy oddziały strażników. I że farma wygląda jak obstawiona przez żołnierzy forteca.

– Elvis tam jest?

– Wejdziemy i zobaczymy.

Jon myślał. W Delcie uczono ich odbijać zakładników i porywać bandziorów. Znał ten fach na wylot, jak mało kto.

– Od piętnastu do osiemnastu uzbrojonych ludzi i stu pięćdziesięciu zakładników podwyższa straty uboczne. I wydłuża czas akcji.

Czas akcji, czyli czas, w którym po wejściu na farmę musieliby zlokalizować Cole'a i młodych, odbić ich i wyjść. Im dłuższy czas akcji, tym większe ryzyko. Jeśli akcja trwała za długo, żołnierz wrastał na stałe w krajobraz.

– Jak byś to rozegrał? – spytał Pike. – Ale bez wymiany za Cole'a.

– Wymieniłbym siostrzyczkę na kogoś innego. Skoro już ją mamy, trzeba to wykorzystać. Daj ją Sangowi Ki Parkowi.

– Kiedy?

– Teraz. Przejmij inicjatywę. Popędź go, żeby kutas nie miał czasu pomyśleć.

– Mów.

Jon był tak bardzo zadowolony ze swego planu, że odjeżdżając, uśmiechał się od ucha do ucha. W tych sprawach był najbardziej zajebistym fachmanem, jaki kiedykolwiek się urodził. Nie było lepszych ani groźniejszych. Nigdy! Był solą tej ziemi.

Nancie Stendahl

Siedziała w samochodzie, dopóki Stone nie odjechał, potem szybko podeszła do furgonetki. Tylnymi drzwiczkami wkroczyła do świata przytłumionej czerwieni i ocierając się o zwisający z sufitu sprzęt, doszła do stanowiska elektronicznego.

– Cześć, szefowo – powitała ją Mo Heedles. – Dobra robota. Wszystko wygląda cacy.

Mo, duża kobieta o krótkich rudych włosach, siedziała pochylona nad laptopem. Komputer był podłączony do wzmacniacza sygnałów.

Nancie stanęła za nią, by spojrzeć na ekran, i na siatce ulic zobaczyła pulsującą czarną kropkę oddalającą się od biura szeryfa.

– Jaki mamy zasięg?

– Zasięg? Praktycznie nieograniczony. Skaczemy od wieży do wieży. Możemy śledzić chłoptasia, dokądkolwiek pojedzie.

Nancie wyjęła komórkę i zadzwoniła do Tony'ego Nakamury w Waszyngtonie. W stolicy było już późno, ale Tony zdążył przywyknąć do jej zwariowanych telefonów.

– Tone? Mówi Nancie. Na siódmą rano potrzebuję dwóch śmigłowców. W okolicy Palm Springs–Coachella.

– Załatwione.

– Jak tylko się dowiem, powiem dokładnie gdzie.

– Przyjąłem.

Nancie schowała telefon, obserwując czarną kropkę. Nie obchodziło jej, dokąd Stone jedzie. Obchodziło ją tylko to, żeby być tam, gdy dotrze na miejsce.

45

Sang Ki Park *Motel Wayward Palms*

Korzystając ze wskazówek jasnowłosego najemnika, dojechał do wyblakłego motelu przy drodze między Indio i Coachellą. Dwupółgodzinna przejażdżka zleciała bardzo szybko, kusząc obietnicą zemsty i wybawienia. Wiedział, że dzięki udanej akcji odbicia pracowników odzyska zaufanie wuja. I że ratując jego wnuka, uratuje siebie.

Pokój najemnika był obskurny i nijaki, za to pustynia orzeźwiała porannym chłodem i z każdą chwilą piękniała od pierwszych pocałunków słońca. Sang Ki Park czuł się zaszczycony, że może uczestniczyć w tym spektaklu. Zwłaszcza z tak piękną kobietą na jego łasce.

– Wygodnie ci?

Megan Orlato odpowiedziała dopiero wtedy, kiedy obłąkany blondyn zagadał do niej po arabsku.

– Nic mi nie jest. Kurwa mać, skończmy wreszcie z tym cyrkiem.

Język dziwki. Była siostrą, żoną i współniczką tych, którzy kradli, torturowali i mordowali jego robotników.

W pokoju był on, dziwka, blondyn i dwóch żołnierzy Podwójnego Smoka. Dodatkowych dwunastu czekało w pobliżu w samochodach. Jego wuj, Young Min Park, dziadek Kwana Min Parka, powinien właśnie wyjeżdżać, ale było mało prawdopodobne, żeby przybył na miejsce przed uwolnieniem Kwana. I tak być powinno. Young Min Park był czcigodnym przywódcą Ssang Yong Pa i musieli go strzec przed niebezpieczeństwem i sądami. Ale starzec, tak jak wszyscy starcy, był słaby emocjonalnie i głodny widoku wnuka.

Obłąkany blondyn spojrział na zegarek.

– Możemy zaczynać?

Park nie odrywał wzroku od kobiety, która siedziała na tapicerowanym krześle pilnowana przez jego ludzi. Dwóch najemników pracujących dla pana Cole'a porwało siostrę tego *bajadore* i chciało wymienić ją na uprowadzonych robotników. Blondyn wyłożył mu już cały plan.

- Tak. Możemy.
- Pamiętaj pan, co mówić, czy chce pan jeszcze raz wszystko przećwiczyć?
- Nie, nie trzeba.
- Żadnych negocjacji. Żadnej zwłoki.
- Tak, wiem.

Blondyn spojrzał na kobietę i odezwał się do niej po arabsku. Mówił, dopóki mu nie przerwała.

– Chryste, po angielsku.

– Nie obchodzi mnie, co powiesz, ale musisz coś powiedzieć. Zamkniesz się w sobie, to cię otworzę.

– Wal się.

Obłąkany blondyn wybrał numer. Dzwonił z komórki, którą pan Pike zabrał z jej domu. Był w niej bezpośredni numer do brata, który zapisała w kontaktach pod „Bobby”. To, że dzwonił z tej komórki, było ważne, bo Ad-Diri nie odbierał telefonów od obcych.

Blondyn zczekał na sygnał i podał komórkę kobiecie.

Ta zamknęła oczy, jakby próbowała wziąć się w garść, i przemówiła.

– To ja. Przepraszam, skarbie, ale dopadli mnie. Nie, ten Koreańczyk. Wczoraj wieczorem ktoś wywlókł mnie z domu i oddał Koreańczykowi. Zabili Dennisa. Dennis nie żyje...

Obłąkany blondyn zabrał jej telefon i dał go Parkowi.

– Twoja siostra jest w rękach Ssang Yong Pa. Masz dwudziestu sześciu naszych. Chcemy ich odzyskać.

Dokładnie według wskazówek najemnika Park zakomunikował Ad-Diriemu, gdzie, kiedy i jak zrobić wymianę. Nie dał mu dojść do słowa.

– Powiesz „tak” i siostra będzie żyła. Powiesz „nie” i usłyszysz przez telefon, jak umiera. Potem zabijesz moich ludzi, ale pogodzimy się z tą stratą. Będziemy cię ścigać do końca twoich dni.

Przez chwilę słuchał, a potem powtórzył to, co mu kazano.

– Musisz się zgodzić już teraz.

Znowu słuchał, w końcu powiedział:

– Bardzo dobrze. Za każdego z trzech zabitych zapłacisz nam odszkodowanie w wysokości dziesięciu tysięcy dolarów amerykańskich. Przestrzegaj wszystkich poleceń. Nie spóźnij się.

Przerwał połączenie i oddał komórkę najemnikowi.

– Zgodził się.

Słyszac to, kobieta zamknęła oczy i z ulgą odetchnęła.

Najemnik ruszył do drzwi.

– Potrzebuje pan czegoś jeszcze?

– Nie.

– Jeśli nie przyjadą, niech pan jej nie zabija. Może się nam przydać.

– Przyjadą. W jego głosie słyszałem dużo miłości.

Obłąkany blondyn przyjrzał mu się, wybuchnął śmiechem i wyszedł.

Sang Ki Park też uważał, że dowcip był przedni, ale zamaskował rozbawienie nachmurzonym czołem. Blondyn nalegał, żeby dokładnie trzymać się planu, ale on służył swoim własnym interesom, a Park interesom Ssang Yong Pa.

Plan zmieni się zależnie od tego, co będzie lepsze dla Ssang Yong Pa.

46

Joe Pike

Spotkał się ze Stone'em, żeby przekazać mu Megan Orlato i zamienić się samochodami. Raz obeszli farmę piechotą, by dograć wszystkie szczegóły planu, potem się rozdzielili. Koreańczycy byli już pewnie na przełęczy Banning i Jon musiał się z nimi spotkać.

Pojechał do spożywczego, który otwierano o czwartej rano. Skorzystał z toalety, kupił butelkę wody, dwie torebki mieszanki studenckiej i torebkę suszonego mango i wrócił na farmę. Zaparkował za porzuconą cysterną przed skretem na żwirówkę i pod leniwie jaśniejącym niebem zjadł śniadanie.

Myślał o Cole'u, myślał o ich przyjaźni z nadzieją, że Elvis tam jest, że żyje. Wmawiał to sobie. Wyjął z kieszeni figurkę Świerszcza. Spojrzał na nią. Gadający Świerszcz. Zabawka. Schował ją z powrotem do kieszeni.

Jeśli Cole nie żył, tamci zobaczą, co to jest piekło.

Zrobiło się zupełnie jasno, wstał piękny pustynny dzień. Na farmie panował bezruch.

O dziewiątej trzydzieści dwie zadzwoniła komórka.

– Zgodził się – zameldował Stone. – Ruszaj.

Pike wysiadł, pobiegł w kierunku farmy i zniknął między drzewami.

Ghazi ad-Diri

Jego życie skończyło się wraz z telefonem od Koreańczyka. Kiedy zadzwoniła komórka, był w stołówce, czekając na kawę z francuskiego ekspresu kupionego w São Paulo. Po rozmowie schował telefon do kieszeni i nalał sobie kawy. W pobliżu byli jego ludzie; jedli burrito z jajkami i fasolą, które sami sobie przyrządzili. Odszedł na bok, żeby pomyśleć. Był zły, ale wiedział, że zachowując spokój, może przeżyć.

Maysan wszystko zmieniła. Koreańscy gangsterzy zwęszyli, że jest jego siostrą, i teraz przetrzymywali ją jak *pollo*. Nie miał wyboru i musiał założyć, że wszystko z niej wyciągnęli, że znają jego numer telefonu, jego domowy adres w Ensenadzie, że wiedzą, iż od dwóch lat grasuje na północ od granicy, że wiedzą nawet, gdzie teraz jest. Tego bał się najbardziej, bo mogli obserwować farmę.

Musiał działać szybko. Do przeprowadzenia operacji potrzebował dużej

ciężarówka i wielu ludzi, ale jeśli chciał wyjść z tego cało, jeszcze więcej do zrobienia miał tutaj, a były to rzeczy bardzo nieprzyjemne.

– Rojas! Gdzie jest Medina?

– Pilnuje *pollos*. Zawołać go?

– Tak. Przyjdźcie do mnie do garażu. Obaj.

Po wyjściu Rojas napił się kawy, potem niespiesznie poszedł do garażu. Zgodził się na wymianę, ale nie zamierzał nigdzie jechać. Wiedział, że zrobi wszystko, by ocalić siostrę, i modlił się, żeby Koreańczyk dotrzymał słowa, ale nie wierzył, że ją jeszcze zobaczy, i czuł, że wymiana jest wyrokiem śmierci.

Rojas i Medina zjawili się niemal natychmiast. Ad-Diri wyprostował się jak na dowódcę przystało.

– Zwracamy Koreańczyków. Weźmiecie ośmiu ludzi: dwóch pojedzie dużą ciężarówką, reszta mniejszymi. Niech wezmą broń. Rojas, ty wsiądziesz do dużej. Będziesz dowodził.

Rojas był zaskoczony, ale nie zaprotestował. Pracowali razem od bardzo dawna. Ghazi nie chciałby go stracić, ale Samuel był z nich dwóch bystrzejszy i lepiej się do tego nadawał. Jeśli odzyskanie Maysan było w ogóle możliwe, on miał większe szanse.

– Ktoś ich wykupił?

– Koreańczycy mają moją siostrę. Wymienisz ją za *pollos*. Już się z nimi dogadałem.

Ad-Diri szybko powiedział im, co i jak, kazał Rojasowi zebrać ludzi i natychmiast jechać.

Rojas i Medina ruszyli do wyjścia, ale on dodał:

– Medina, ty zostań. Jest coś jeszcze.

Medina zatrzymał się i odwrócił. Ad-Diri milczał przez chwilę, zastanawiając się nad poprawnością swojego rozumowania. Tracił nie tylko Koreańczyków. Postanowił opuścić farmę, a bez siostry, która zaopatrywała ich w kryjówki, nie miał co zrobić z pozostałymi zakładnikami. Nie mógł ich po prostu wypuścić, bo byli świadkami potwornych zbrodni, i musiał coś postanowić.

Tak, sprawa była jasna. Podjął jedyną słuszną decyzję.

– Będzie potrzebna jeszcze jedna duża ciężarówka. Kiedy Rojas zabierze Koreańczyków, wyjedziemy stąd. Musimy pozbyć się *pollos*.

Medina przyjrzał mu się uważnie i wzruszył ramionami.

– Zawsze będą inni.

Vasco Medina nadawał się do tej roboty jak nikt inny.

– Na pewno nie chcesz poczekać na Rojasą? Nie musielibyśmy płacić za nową ciężarówkę.

– Nie ma czasu. Z Rojasem spotkamy się gdzie indziej.

Medina chrząknął zamyślony, a potem uśmiechnął się powoli swoim krokodylim uśmiechem. Nareszcie zrozumiał. Nie czekali na Rojas, bo Rojas i jego ciężarówka już pewnie nie wróca.

– Dobra. Załatwię, nie ma problemu. Może nawet większą. Ilu ich jest? Stu dwudziestu, stu trzydziestu?

– Tak, coś koło tego.

Medina znowu chrząknął.

– Możemy zostawić ich tutaj. Tak byłoby najszybciej.

Ghazi brał to pod uwagę, ale tylko przez chwilę. Farmę nadała mu Maysan. Gdyby znaleziono tu tyle trupów, śledztwo doprowadziłoby najpierw do niej, a potem do niego.

– Nie, nie możemy ich tu zostawić.

– Dobra. Znam miejsce, gdzie można dojechać ciężarówką. Zajmę się tym.

Ruszył do drzwi, ale się zatrzymał.

– A ten młody bogaty? Jego też?

Ad-Diri wciąż liczył na to, że owdowiała matka zapłaci. Ale nie, bogacze mogli przysporzyć kłopotów, dlatego chciał pozbyć się chłopaka razem z resztą.

– Też. Nie mamy czasu.

– A ten dupek od Sinaloas? Nie znoszę kutasa.

– Wszystkich. Załatw ciężarówkę i załaduj ich. Chcę już jechać.

– Mogę zrobić to po swojemu?

Ad-Diri aż się skulił. Medina mówił o zabijaniu. Należał do tych, którzy lubią zabijać. W Meksyku robili to młotem.

– Jak chcesz, ale nie tutaj. Najpierw ich tam zawieź. Żeby nikogo nie nosić.

Medina znowu pokazał mu w uśmiechu swoje krokodyle zęby i Ghazi pomyślał: dlaczego on nie pójdzie wreszcie do dentysty?

Popatrzył za nim i poszedł do samochodu. Jeździł grafitowym SUV-em Lexus, którego Pinetta kupił tanio od złodziei. Pinettę trudno było zastąpić; o wiele trudniej niż szwagra, który potrafił tylko rozkochać w sobie Maysan.

Wyjął zza fotela krótką, czarną strzelbę. Nie ufał tym gangsterom i czuł, że zaatakują. Dosłownie to czuł. Ktoś na niego polował.

Sprawdził, czy broń jest nabita, i wszedł do domu. Zaraz miało zacząć się zabijanie, a jego czekało jeszcze mnóstwo roboty.

Kwan Min Park

Siedział właśnie z Kristą i Jackiem, kiedy tamci weszli do pokoju i od razu ruszyli w stronę jego ludzi. Jeden ze strażników zdzielił kogoś pałką, żeby zrobić przejście, i Rojas podszedł do dziewczyny nazwiskiem Sun Hee. Była jego tłumaczką, bo najlepiej mówiła po angielsku.

Sun Hee zerwała się na równe nogi, wysłuchiwała swojego pana i przetłumaczyła

jego słowa. Gdyby była mężczyzną, znienawidziłby ją za współpracę z wrogiem i pewnie skręciłby jej kark. Ale Sun Hee była tylko uległą, poniżająco służalczą kobietą i niczego innego się po niej nie spodziewał, mimo to próbował ją wykorzystać. Kazał jej zaoferować swoje usługi seksualne strażnikom i ukraść im broń, ale jak dotąd nic z tego nie wyszło.

Ona mówiła, a jego ludzie wymieniali spojrzenia, jedni uśmiechając się, inni wstając z podłogi.

– Co się dzieje? – spytał Jack.

Kwan spojrzał na swego przyjaciela.

– Nie wiem. Jak ty?

Jack zamknął oczy i dotknął karku.

– Boli jak sto sukinsynów. Głowa. Potwornie boli mnie głowa. Rozumiesz?

Kwan nie był pewny, co znaczy „potwornie”, ale domyślił się, że ból musi być silny.

– Lepiej ci. Już widzisz. Mówisz.

– O wiele lepiej – wtrąciła z uśmiechem Krista.

Przerwała im Sun Hee. Przeprosiła Kwana, że ośmiela się do niego odzywać, i podczas gdy on patrzył na idących do drzwi Koreańczyków, ona szybko wyjaśniła mu, o co chodzi. Był zaskoczony, ale się tego spodziewał.

– Dokąd ich zabierają? – spytała Krista, kiedy Sun Hee spiesznie odeszła.

– Wychodzimy. Ssang Yong Pa nas uwolniła.

Krista miała zdezorientowaną minę.

– Rodzina. Klan. Ssang Yong to moja rodzina.

Kwan przyjrzał się swoim nowym przyjaciółom. Musiał ich zostawić i miał co do tego mieszane uczucia. Chwycił Jacka za ramię.

– Pierwszej nocy oni mnie bić, a ty chciałeś pomóc. Kwan Min Park pamięta. Teraz my przyjaciele, na zawsze. Moja rodzina wielka moc. Kwan Min Park duża siła. Wielki wojownik. Zabił dużo ludzi.

– Kwan... – zaczęła Krista.

Zobaczył strach w jej oczach i w tej samej chwili poczuł bolesne uderzenie w plecy. Odwrócił się, zanim pałka opadła ponownie, odparował cios i w ostatniej chwili powstrzymał się przed uderzeniem w szyję strażnika, którego Krista nazywała Modliszką. Była z nim Sun Hee i ten agresywny strażnik Medina.

Sun Hee szalała z niepokoju.

– Musisz iść. Teraz. Musisz iść.

Medina odepchnął na bok Modliszkę i ją i chwycił Kwana za ramię. Kwan pozwolił mu się podciągnąć i wyszarpnął rękę. Stali blisko siebie, nos w nos, oko w oko. Medina wykrzywił usta jak warczący pies i dźgnął go w bok elektryczną pałką. Ostry trzask wyładowania, silny jak kopnięcie wstrząs – ale Kwan nie

zareagował. Pałka maltretowała jego ciało, a on uśmiechał się wyzywająco.

Modliszka i Sun Hee pchnęli go w stronę drzwi, uwalniając od tortur. Kwan spojrział przez ramię na swego przyjaciela.

– Kwan nie zapomni. Pomoże ci, tak jak ty jemu.

Odwrócił się i dał się zapędzić do kolejki wraz z innymi. Na korytarzu tłoczyła się już druga część ich grupy, ta z drugiego pokoju, i Modliszka zniknęła.

Sun Hee zaszczebiotała jak natrętny ptaszek.

– Nie powinienes go do siebie zrażać. Jest bardzo zły.

– Jego gniew mnie nie interesuje. Zamilcz.

– Jeszcze nie jesteśmy wolni. Bądź ostrożny.

– To on powinien być ostrożny. Kiedy stąd wyjdziemy, pozna moje prawdziwe oblicze.

Kwan pchnął ją do przodu, żeby nie musieć jej słuchać.

Przeszli przez kuchnię, weszli do garażu. Tyłem do drzwi czekała na nich duża ciężarówka. Kwan zauważył, że obecni tu strażnicy są dobrze uzbrojeni i zdenerwowani. To go zaintrygowało.

Koniec kolejki zwolnił, ponieważ ci z przodu już wsiadali. On stał prawie na końcu. Cieszył się, że wkrótce zobaczy dziadka i kuzyna, i zastanawiał się, czy przyjadą na miejsce wymiany, by go powitać. Będzie tęsknił za Koreą, ale już od dawna marzył, by zająć należne mu miejsce w szeregach Ssang Yong Pa w pięknym mieście Los Angeles. Przesuwał się powoli w stronę ciężarówki i swego przeznaczenia.

Nie wiedział, czy zobaczy jeszcze swego przyjaciela Jacka Bermana. Miał nadzieję, że tak. Właśnie wyobrażał sobie, jak piją *soju* i śpiewają razem w klubie karaoke dziadka, gdy coś ciężkiego uderzyło go w tył głowy.

Świat rozbłysnął.

Kwan poczuł, że pada, ale nie mógł temu zapobiec. Niemal natychmiast otworzył oczy i zdał sobie sprawę, że leży na plecach.

Z góry patrzył na niego uśmiechnięty Medina.

Ogarnięty nagłym strachem Kwan spróbował wstać, ale ktoś przytrzymał go za ręce i nogi.

Medina podniósł wysoko ciężki młot i go opuścił.

Kwan Min Park chciał odwrócić głowę, ale nie mógł.

Joe Pike

Patrzył, jak sześciu mężczyzn wychodzi z garażu, prześlizguje się obok ciężarówki i idzie w stronę trzech pikapów. Dwóch miało kałasze, reszta strzelby. Wsiedli, po dwóch do każdego pikapa. Wyszło dwóch kolejnych i ci wsiedli do ciężarówki.

Leżał płasko na piachu pod palmą daktylową czterdzieści metrów dalej. Włączył

telefon satelitarny, opisał Stone'owi wszystkie cztery pojazdy, podał mu numery rejestracyjne.

– Przyjąłem – rzucił Stone. – Wyszło ośmiu?

– Ośmiu.

– Tym lepiej.

Trzy minuty później ruszył brązowy dodge, za nim srebrzysty ford. Ciężarówka ruszyła z warkotem za fordem, a za nią ostatni pikap.

– Odjeżdżają – szepnął Pike.

Samochody jechały w jego stronę, ale on patrzył na garaż. W drzwiach stało przez chwilę dwóch mężczyzn, którzy weszli po chwili do środka i zniknęli w cieniu.

Nie poruszył się, kiedy samochody go minęły. Leżał, dopóki nie skręciły na szosę, wtedy odezwał się ponownie.

– Wchodzę.

– Ja z drugiej.

Wszedł między palmy i biegnąc od pnia do pnia, obserwował garaż. Wyszedł z zagajnika tuż za garażem, wyjął pistolet i ruszył do drzwi. Nie słyszał nic podejrzanego, więc przypadł do ziemi i ostrożnie zajrzał do środka. W garażu stały trzy SUV-y i pikap, ale ludzi tam nie było.

Na końcu wielkiej hali, daleko za SUV-ami, były za to drzwi. Wiedział, że jest to jedyne wejście do budynku. Idąc w tamtą stronę, zobaczył na betonie prawie metrowej długości smugę świeżej krwi, która wyglądała tak, jakby wleczono coś po podłodze. Smuga urywała się, by ustąpić miejsca kroplom i cieniutkiej jak nitka czerwonej strużce ciągnącej się aż za drzwi garażu. Krople były jasne i miały kolor gasnącego życia. Ktoś zginął, wsiadając do ciężarówki.

Pike podbiegł do drzwi i przekręcił klamkę. Drzwi były zamknięte. Już miał wyjąć wytrych, gdy nagle się otworzyły.

Patrzył na niego zaskoczony mężczyzna, biały Amerykanin o dużych rękach, a obok niego stał Murzyn ze zmarszczonym czołem.

– A ty kto?

Pike zastrzelił tego o dużych rękach i wycelował w jego kompana.

Powiedział tylko dwa słowa.

– Elvis Cole.

Wszedł do środka i zamknął drzwi.

Elvis Cole

Tego poranka strażnicy zachowywali się inaczej niż zwykle. Szybciej przechodzili przed moją małą celą, mówili spiętym głosem, ich rozmowy były krótkie i urywane. Czasem się kłócili. Słyszałem przytłumione pokrzykiwania, coś jakby krzyk kobiety i warkot odpalanego silnika, ale nie byłem pewny, czy mi się tylko tak zdawało.

Royce i Modliszka otworzyli drzwi i Royce kazał mi wstać. Nawet on wyglądał

inaczej. Był zamknięty w sobie i ponury.

– Wstawaj, dupku. Idziemy.

Wstałem, odwróciłem się bokiem i pokazałem mu kajdanki.

– Przetnijcie to. Muszę się odlać.

– To lej w gacie. Wychodź.

Chwycił mnie za ramię i wyciągnął na korytarz. Roilo się tam od strażników i więźniów, których przeprowadzano z pomieszczenia do pomieszczenia. Ktoś krzyknął coś po hiszpańsku i strażnicy zaczęli popychać ludzi jeszcze brutalniej; niektórzy sięgnęli po pałki elektryczne.

Modliszka wepchnął mnie do sali, gdzie poprzednio widziałem Kristę i Jacka, teraz jeszcze bardziej zatłoczonej.

– Co się dzieje?

– Dowiesz się – odparł Royce. – Teraz zamknij się i siadaj.

Odwrócili się i poszli dalej. Młodych zobaczyłem na ich dawnym miejscu i ruszyłem w tamtą stronę. Jack siedział prosto, był przytomny i skupiony.

– Pamiętasz mnie? – spytałem.

– Jasne. Mniej więcej.

– Lepiej wyglądasz.

Krista nachyliła się ku mnie, gdy minęli nas strażnicy.

– Wypuścili Kwana i jego grupę. Wracają do domu.

Zdałem sobie sprawę, że w sali nie ma ani jego, ani pozostałych Koreańczyków.

– Dziś rano?

– Tak. Teraz przenoszą resztę tutaj.

Przypomniał mi się Sang Ki Park, to, że kategorycznie odmówił płacenia okupu, i zastanawiałem się, dlaczego ich wypuszczono. Strażnicy, którzy wpychali więźniów do sali, zachowywali się tak, jakby zaczynało brakować im czasu, jakby czuli na karku czyjś oddech. Pike umiał deptać ludziom po piętach i mógł współpracować z Parkiem. Jeśli był blisko, wszystko mogło zmienić się w ułamku sekundy.

Przysunąłem się bliżej Kristy, sprawdziłem, czy w pobliżu nie ma strażników, i odwróciłem się do niej plecami.

– Masz nóż?

– Tak, tak jak pan mówił.

– Tnij. To twardy plastik, może być ciężko.

Krista zabrała się do pracy. Kiedy się zmęczyła, pomógł jej Jack i minutę później kajdanki puścili. Trzymając z tyłu ręce, usiadłem plecami do ściany.

Druga grupa więźniów znalazła się wkrótce w naszej sali, wtedy pojawił się Ghazi ad-Diri. Przystanął w progu w towarzystwie kilku strażników, rzucił coś do Mediny i wyszedł. Nawet on był uzbrojony.

Medina wydał rozkaz swoim kompanom, a ci rozeszli się po sali, podrywając

więźniów na nogi i wypychając ich na korytarz. Kiedy ci siedzący dalej od drzwi zaczęli wstawać, inni strażnicy kazali im usiąść, ale tych bliżej wyjścia wciąż wypychano za próg.

– Co oni robią? – szepnęła Krista.

Chyba wiedziałem, ale miałem nadzieję, że się mylę. Ad-Diri mógł przynieść nas do innej kryjówki, ale przypomniało mi się, jak mecenas Locano wspominał o masowych grobach w Meksyku.

Trąciłem łokciem Jacka.

– Możesz chodzić?

– Tak. Jasne.

– Nie może – powiedziała Krista.

– Mogę.

Patrzyliśmy właśnie, jak ubywa tych siedzących bliżej drzwi, kiedy podeszli do nas Medina, Royce i Modliszka. Royce miał na ramieniu strzelbę, Medina i Modliszka trzymali w ręku elektryczne pałki. W prawej kieszeni Modliszki wciąż tkwił pistolet.

Medina spojrział z góry na Kristę i uśmiechnął się do niej ohydny, lubieżny uśmiechem.

– Pojedziemy na małą przejażdżkę, ale ze mną będzie ci wygodniej.

Pochylił się, by wziąć ją za rękę, i zobaczyłem, że jego koszula jest zbryzgana krwią. Smugi, zacieki i plamy pokrywały ją jak rzeźnicki fartuch, twarz miał usianą czerwonymi cętkami.

Zobaczyłem to, kiedy pomagał Kriście wstać. Zobaczyłem krew i to, czy Joe jest w pobliżu, czy nie, przestało mieć znaczenie.

Kiedy pociągnął Kristę za rękę, wstałem i ja i wtedy w sąsiednim budynku huknął wystrzał.

Wszyscy zamarli, wszyscy z wyjątkiem mnie i Mediny. Medina odepchnął Kristę i wziął zamach pałką. Zrobiłem unik, wpuściłem między nas jego ramię i pierwszymi dwoma kłykciami prawej ręki uderzyłem go w usta. Medina zatoczył się do tyłu, ale wciąż trzymałem go za łokieć i zanim Royce zdążył zdjąć z ramienia strzelbę, przyłożyłem mu jeszcze raz. Potem pchnąłem go na Royce'a, chwyciłem Modliszkę za gardło, podduśłem go i włożyłem mu rękę do kieszeni. Wciąż w niej grzebałem, kiedy Royce odepchnął Medinę i wycelował, ale wtedy Krista dźgnęła go nożem w ramię. Royce przeraźliwie zapiszczał i strzepnął nóż, jakby opędzał się od pszczoły. Kieszeń pękła i wpakowałem mu dwie kule w pierś; potem zastrzeliłem Modliszkę.

Medina zniknął. Wielu strażników pobiegło zobaczyć, co się dzieje, i w budynku znowu zagrzmiało echo wystrzałów. Niektórzy więźniowie zaczęli uciekać, inni padli na podłogę, jeszcze inni zwinęli się w kłębek.

Chwyciłem strzelbę Royce'a, przyciągnąłem do siebie Kristę i Jacka i ponad panującą w sali wrzawą krzyknąłem:

– Jeśli tu zostaniemy, będzie po nas! Możesz chodzić?

– Nawet biegać.

Zastrzeliłem jeszcze dwóch strażników i ruszyliśmy do drzwi.

Sang Ki Park

Sang Ki Park okazał życzliwość stojącemu przed nim pokonanemu wrogowi. Wróg z szacunkiem pochylił głowę i się przedstawił.

– Nazywam się Samuel Rojas. Przywieźliśmy pańskich ludzi.

Robili wymianę w opuszczonych kamieniołomach kilka kilometrów na północ od Salton Sea. Royas wskazał dużą ciężarówkę, z której wysiadali już Koreańczycy. Pomagali im ludzie z trzech pikapów.

Park zamierzał obejrzeć swoich rodaków i zatrzymać ciężarówkę do ich dalszego transportu.

– Czy przywiózł pan nam kogoś?

Sang Ki Park podniósł rękę. Z bmw wysiadła Maysan ad-Diri. Wysiadła, ale nie podeszła bliżej. Miała zakaz.

Wydawało się, że Park zachowuje dużą cierpliwość, czekając, aż jego krajanie zbiorą się w grupkę, ale były to tylko pozory. Przez cały czas wypatrywał swego kuzyna, poza tym chciał to mieć już za sobą. W motelu czekał na niego wuj i Park wolałby, żeby nie czekał zbyt długo. Wuj nie należał do ludzi cierpliwych.

Wyładunek dwudziestu trzech osób trwał krótko. Niecałe dwie minuty. Na pewno nie więcej niż trzy.

Park zmarszczył brwi. Kłębilo się przed nim dwudziestu trzech ludzi, ale nie było wśród nich kuzyna.

Już miał coś powiedzieć, kiedy dwóch mężczyzn wyjęło z pikapa ludzkie ciało i położyło je na ziemi kilka kroków dalej.

Sang Ki Park spojrział na roztrzaskaną głowę swego kuzyna Kwan Min Parka.

Poczuł się bardzo zmęczony, jednocześnie przepełniony tak silnym gniewem, że mógłby zastąpić serce smoka.

– Czy możemy teraz odebrać naszą panią? – spytał Samuel Rojas.

Park zerknął na niego, odwrócił się i podszedł do Maysan ad-Diri. Wyjął pistolet zza pazuchy i strzelił jej w głowę.

W tym samym momencie jego czternastu żołnierzy wyszło z kryjówek i otworzyło ogień z broni automatycznej, zabijając Rojasa i siedmiu ludzi, którzy z nim przyjechali.

Gdy było po wszystkim, kazał swoim ludziom wnieść do ciężarówki ciało kuzyna i wsiąść. Potem wszyscy odjechali.

Nancie Stendahl

Lecąc pięćset czterdzieści metrów nad ziemią i podążając za czarną kropką – za Jonem Stone’em – Nancie Stendahl poprawiła słuchawki.

– Powtórz.

– Kurs dwa-zero-dwa – powtórzyła Mo.

Pilotka skręciła kilka stopni na zachód, w głąb pustyni, i poleciała na południowo-południowy zachód.

Oprócz niej na pokładzie były jeszcze cztery osoby: z przodu siedziała pilotka i Mo ze swoim czarodziejskim laptopem, z tyłu ona, JT i Stan Uhlman, dowódca SRT, Grupy Szybkiego Reagowania. Dwa oddziały SRT, oddalone trzydzieści dwa kilometry od siebie, czekały na współrzędne i rozkaz wymarszu.

– Dziesięć kilometrów – zameldowała Mo.

– Tam nie ma dróg – powiedział Uhlman. – Czym on jedzie?

– Dżipem – odparła Nancie. – Czerwonym.

– No nie wiem – mruknął z powątpiewaniem Uhlman.

– Sześć i pół kilometra. Jeśli tam jest, niedługo powinniśmy go zobaczyć. Zatrzymał się.

Mo zerknęła na nią z uśmiechem.

– Jak pani myśli, szefowo? Dopadniemy chłoptasia?

– Drugi nadajnik wciąż działa? – spytała Nancie.

– Tak jest, jak złoto.

– A więc nawet jeśli pan Stone znalazł i zniszczył ten na rybkę, nie znalazł drugiego i powinniśmy go namierzyć.

JT wyciągnął rękę.

– Tam jest jakaś droga. Widzę drogę.

– Dwa kilometry – zameldowała Mo. – Niecałe.

Nancie zerknęła ponad jej ramieniem na czarną kropkę na ekranie laptopa i spojrzała w okno. Lecieli nad pełnym pustkowiem i na elektronicznej mapie nie było ani jednego punktu, który umożliwiłby jej prawidłowe zorientowanie się w terenie. Widziała tylko kropkę, nic więcej.

– Tam – powiedział Uhlman. – Co to? Samochód?

Śmigłowiec pochylił się na nos, opadł na wysokość stu dwudziestu metrów i przyspieszył.

– O Boże – jęknął JT.

– Bliżej – rozkazała Nancie.

Pilotka położyła śmigłowiec na burtę, zmniejszyła wysokość do sześćdziesięciu metrów i zatoczyła krąg.

– Widzę trzy pikapy i kilka ciał – powiedział Uhlman.

– Dziewięć – dodał JT. – Ośmiu mężczyzn i kobieta. Dżipa nie ma. Nie ma czerwonego dżipa. Szefowo?

– Ściągnij tu obie grupy. I każ szeryfowi zabezpieczyć teren.

– A my? Siadamy?

Nancie przyjrzała się ciałom przez lornetkę. Nie było wśród nich Jacka ani Jona Stone'a. Żadne się nie poruszało, nie okazywało oznak życia.

– Masz zamiar z drugiego nadajnika?

– Kurs jeden-jeden-zero.

– Lecimy na jeden-jeden-zero.

Śmigłowiec skręcił na północ i poleciał w kierunku Coachelli.

Elvis Cole

Bieganina, płaczący i ukrywający się ludzie – w korytarzu i stołówce panował chaos. Więźniowie nie rozumieli, co się dzieje, i nie wiedzieli, dokąd uciekać, ale strażnicy też wpadli w popłoch, co nas prawdopodobnie uratowało. Nie mieli pojęcia, kto strzela i dlaczego, większość była pewna, że atakują ich federalni. Spanikowali tak jak więźniowie i myśleli tylko o ucieczce. Zatrzymać nas chciało tylko dwóch i w obydwu przypadkach szybciej pociągnąłem za spust.

Jack dawał z siebie wszystko, ale szedł powoli i chwiejnie. Było oczywiste, że potrzebujemy jakiegoś pojazdu, dlatego przepchnęliśmy się przez stołówkę do garażu.

Byliśmy już za stołówką i biurami i właśnie skręciliśmy, kiedy Jack upadł. Schyliłem się, żeby mu pomóc, gdy z sąsiedniego korytarza wyskoczył Medina ze strzelbą. Uśmiechnął się, choć teraz już bezzębny, krwawym uśmiechem.

Przyłożył strzelbę do ramienia – wtedy zza rogu wyszedł Joe Pike i położył go strzałem.

Medina upadł na podłogę jak szmaciana lalka, ale Pike strzelił do niego jeszcze raz, potem wyrzucił łuski, załadował rewolwer speedloaderem, wreszcie spojrzął na mnie.

– Mam cię.

Nie mówił do Mediny.

Z trudem powstrzymałem uśmiech i powlokłem Jacka dalej.

– Garaż. To jedyne wyjście.

– To pana przyjaciel? – spytała Krista.

– Tak.

Pike ruszył przodem. Minęliśmy kilka ostatnich pokojów i weszliśmy do garażu. Był pusty, bo strażnicy zabrali wszystkie samochody.

– Masz wóz? On nie może chodzić.

– Prosto przed siebie, po drugiej stronie szosy.

Od strony palm padło kilka strzałów na oślep. Za nami gruchnęła seria z broni automatycznej i pomyślałem, że to pewnie Stone.

Ponieśliśmy Bermiana pod rękę, Joe i ja. Przy akompaniamencie coraz rzadszych wystrzałów potruciliśmy żwirówką, przecięliśmy szosę i skręciliśmy w stronę

zaparkowanego za cysterną dżipa.

– Mogę sam – wysapał Jack. – Dam radę.

Zignorowaliśmy go.

Pike pstryknął pilotem. Krista otworzyła tylne drzwiczki i wepchnęliśmy Bermana do środka.

– Trzeba z nim do szpitala. Krista, wszystko w porządku?

– Tak, nic mi nie jest.

Spojrzałem na Pike'a.

– Zjeżdżajmy stąd, bo zgarnie nas policja.

Pike zamknął drzwiczki i wtedy zza starej cysterny wyszedł Ghazi ad-Diri. Celował do nas z krótkiej, czarnej strzelby i miał rozwiązany kucyk. Włosy opadały mu aż na ramiona.

– Joe – powiedziałem – to jest Ghazi ad-Diri, Syryjczyk.

Syryjczyk podniósł strzelbę.

– Połóż kluczyki i odejź. Chcę ten wóz.

Strażnicy zabrali mu samochód i został z niczym.

– Wal się – odparła Krista. – Musimy zawieźć mojego chłopaka do szpitala.

Syryjczyk przyłożył broń do ramienia i krzyknął:

– Odejź, bo zabiję!

Rozległ się głośny huk serii wystrzałów, spod jego stóp trysnęły fontanny piasku i strzelba leniwie poszybowała w powietrzu.

Huk ucichł i nadbiegł Jon Stone, który powalił Syryjczyka na twarz i przygniótł go kolanem do ziemi.

Kiwnął do mnie głową.

– Wszystko OK?

– Tak.

– Gdzie chłopak?

– W samochodzie. Musimy zawieźć go do lekarza.

Stone przytknął lufę karabinu do głowy Ad-Diriego.

– Jedźcie. Ten jest mój. Zaopiekujcie się panem Bermanem.

I tak zrobiliśmy.

Nancie Stendahl

Czarna kropka ani drgnęła. Nancie miała nadzieję, że to dobry znak. Stone pewnie zaparkował, a jeśli on był blisko Jacka, blisko była i ona.

– Trzy kilometry – zameldowała Mo. – Kurs zero-osiem-zero.

Pięć osób na pokładzie śmigłowca jednocześnie spojrzało w tę samą stronę. Farmy. Zielone prostokąty namalowane na szarym pustynnym piasku.

– Półtora kilometra. Dokładnie przed nami.

Pilotka pchnęła drążek do przodu i śmigłowiec opadł na wysokość

dziewięćdziesięciu metrów.

– Jeśli ktoś widzi czerwonego dżipa, niech podniesie rękę – powiedział Uhlman.

– Czterysta metrów. Trzysta. Dwieście. Sto. Wisimy dokładnie nad nim.

– Co to jest? – spytał JT. – Palmy?

– Farma daktylowa – odparła Mo. – Chyba opuszczona.

– Niżej – rzuciła Nancie.

Pilotka zeszła na sześćdziesiąt metrów i powoli zatoczyła krąg. Na dole nie było ani ludzi, ani ruchu, ani najmniejszych oznak życia. Nie dostrzegli również żadnych ciał.

– Jesteśmy dokładnie nad nim – powtórzyła Mo. – Widzicie ten budynek? Musi być w środku.

– W którym? – odparła Nancie. – Widzę pięć.

– W tym na końcu. Pierwszym od wjazdu.

– Ląduj.

Wylądowali na płaskim terenie na zachód od sadu, w bezpiecznej odległości od drzew. Kiedy wirnik zwolnił obroty, ona, Mo, JT i Stan ruszyli w stronę budynków. Pilotka została.

Byli trzydzieści metrów od celu, kiedy zadzwoniła komórka. Nancie odruchowo odebrała.

– Stendahl.

– Niech pani idzie dalej.

– Kto mówi?

– Przecież pani wie. Jestem zbyt słodki, żeby mnie zapomnieć.

Nie mogła się powstrzymać.

– Jon Stone.

– Jack jest bezpieczny.

Nancie przystanąła i wpadli na nią Mo z Uhlmanem.

– Niech pan mówi. Gdzie on jest?

– Mniej więcej godzinę temu zawieziono go do Regionalnego Centrum Medycznego w Coachelli. Na oddział urazowy. Kiedy skończy pani swoje, proszę go odwiedzić. I zabrać go do domu.

Nancie spojrzała na budynek.

– Co znaczy skończy swoje? Co tu jest?

– Prezent. Drugi. Znalazła pani pierwszy?

– To pan zabił tych ludzi?

– Nie, nie ja. Niech pani idzie dalej.

– Co pan, do cholery, robi? Kto ich zabił?

– Proszę iść dalej. Za chwilę zadzwonię i uzupełnię kilka luk.

– Skąd pan ma mój numer? Jest zastrzeżony.

– Niech go pani obejrzy. Ode mnie dla pani.

Nancie opuściła rękę i przyspieszyła kroku, ale przed drzwiami zwolniła. Na podłodze leżał związany mężczyzna. Miał skrępowane ręce, ramiona, nogi i stopy, usta były zaklejone taśmą, długie włosy rozrzucone po twarzy. Patrzył na nią gniewnym wzrokiem. Nancie spojrzała mu prosto w oczy i podeszła bliżej.

– Ghazi ad-Diri?

Chwyciła za koniuszek taśmy i zerwała mu ją z ust.

– Ghazi ad-Diri?

– Kim pani jest?

Nancie uśmiechnęła się i pokazała mu odznakę.

– Kimś, kto bardzo chce z panem porozmawiać.

Zakleiała mu usta, wróciła do kolegów i wezwała posiłki.

47

Elvis Cole

Personel oddziału urazowego pozwolił Kriście zostać przy Jacku, kiedy go badano. Powiedzieli, że powinni się szybko uwinąć, więc zadzwoniłem do Nity Morales. Przy Pike’u, z jego telefonu. Oprócz nas w poczekalni była tylko staruszka, która z różańcem w ręku patrzyła w pustkę.

– Jest bezpieczna – powiedziałem. – Przywiozę ją do domu.

Nita milczała. Cierpliwie czekałem, bo są to chwile osobiste i bezcenne, i po kilku sekundach usłyszałem jej cichy szloch.

– Dziękuję. Wiedziałam, że... Wiedziałam...

– Ciii. Już wszystko dobrze. Krista jest ze mną i niedługo ją przywiozę.

– Chcę z nią porozmawiać.

– Za chwileczkę. Najpierw chcę pani powiedzieć, gdzie była i przez co przeszła. Jest teraz z Jackiem, więc mogę swobodnie rozmawiać.

W jej głosie pojawiła się mroźna nutka, którą wyczułem z odległości stu sześćdziesięciu kilometrów.

– To on ją w to wpakował?

Odpowiedziałem głosem łagodnym i troskliwym. Dobrze rozumiałem, skąd ten niepokój.

– Nie, Nito, to nie on. Krista siedzi teraz przy nim, bo jesteśmy w szpitalu. Nic mu nie będzie, ale mocno oberwał, próbując ją chronić.

Opowiedziałem jej, co przeżyła, kiedy przetrzymywali ją ludzie Dennisa Orlato. Czułem, wtedy i teraz, że dając jej czas na wyzbycie się obaw, pomogę jej w rozmowie z córką.

Minęło dwadzieścia minut, a my wciąż czekaliśmy, więc spytałem pielęgniarkę, czy badanie jeszcze się nie skończyło. Powiedziała, że skończyło się przed kwadransem, więc poprosiłem, żeby zawołała Kristę.

Krista nie mogła ustać w miejscu.

– Chcą, żeby poszedł do lekarza bliżej domu, ale nic mu nie będzie. Dzwonił do ciotki. Chcę tu zaczekać, aż po niego przyjedzie.

– Może zaczekać sam. Jedziemy do domu.

– Zostanę. On tu nikogo nie ma. Powinnam zostać.

– Nie, wracamy. Wrócisz do domu i dopiero wtedy wszystko się skończy.

Zaniósłbym ją, gdyby odmówiła, ale nie odmówiła. Chciała zostać, ale chciała również zobaczyć matkę.

W drodze do Los Angeles prawie się do siebie nie odzywaliśmy, ale dzień był bardzo ładny, pogodny, a ruch mały. Krista siedziała z tyłu. Przez kilka minut rozmawiała po cichu z matką, ale słyszałem same „tak” i „nie”. Przeżyła, była do cna wypalona i nie miała nic więcej do zaoferowania. Czasem trwa to kilka dni. Czasem dłużej. Oddała Pike’owi telefon i odezwała się dopiero na przełęczy Benning. Pustynia została w tyle i coraz bardziej się od niej oddalaliśmy.

Powiedziała:

– Chciałam tylko zobaczyć.

– To nie była twoja wina. Syryjczyk, Orlato, ludzie, którzy robili te potworne rzeczy – to ich wina. To oni, nie ty.

Chwilę później usłyszałem, że pociąga nosem. Wziąłem ją za rękę.

Kiedy dojechaliśmy do miasta, zadzwoniłem do Nity, by uprzedzić ją, że za pięć minut będziemy. Czekali na nas przed wejściem, dwudziestu pięciu, trzydziestu ludzi, wszyscy w koszulkach z napisem „Agencja Detektywistyczna Elvisa Cole’a, mistrza świata detektywów”. Robili je przez ostatnie dwie godziny.

Nita objęła córkę i nie chciała jej puścić, płacząc tak spazmatycznie, że cała się trzęsła. Stojący w tłumie młody Latynos o potężnych barach, którego poznałem pierwszego dnia, zawołał:

– Hej! To ten facet z gazety!

I rozpromieniony pokazał mi uniesiony kciuk.

Zaraz potem Nita objęła mnie i rozpłakała się jeszcze bardziej.

– Niech pana Bóg błogosławi. Niech pana Bóg za to błogosławi. Zawdzięczam panu wszystko. Zawdzięczam panu życie.

Przytuliłem ją – nigdy dotąd nie przytulałem nikogo tak mocno – a potem Pike odwiózł mnie do domu. Autostradą Hollywood pojechaliśmy na północ, do przełęczy Cahuenga, potem Mulholland Drive, aż do Laurel. Nie przypuszczam, byśmy zamienili więcej niż dziesięć słów, co dla Pike’a było normalne, ale dla mnie nie. Wiedziałem, że czasem to trwa, tak jak u Kristy.

Woodrow Wilson Drive dojechaliśmy powoli do mojej małej uliczki, skręciliśmy za ostatni róg i zobaczyłem mój dom. Uśmiechnąłem się. Jak zwykle.

Zaparkowaliśmy na podjeździe i przez wiatę poszliśmy do kuchennych drzwi, bo zawsze nimi wchodzę, ale tym razem coś przykuło moją uwagę. Przyjrzałem się samochodowi.

– Jest czysty.

Pike dotknął karoserii.

– Trzeba go nawoskować.

– Umyłeś go?

– Opłukałem.

Spojrzał na swój wóz, zmarszczył czoło i się odwrócił. Na pustyni dżip zebrał kilka zadrapań i wgnieceń i pokrywała go gruba warstwa kurzu.

Doszedłem do drzwi i zdałem sobie sprawę, że nie mam klucza.

– Nie mam klucza.

Pike otworzył swoim.

Moje klucze, telefon i kilka drobiazgów leżało na stole, tam, gdzie je zostawił.

– Chcesz piwo? Coś do jedzenia?

– Wodę.

Wyjąłem z lodówki dwie butelki i wypiliśmy, opierając się o blat. Wszedł kot. Zamruczał na mój widok, mrugnął do Pike'a i otarł się o moje łydki.

– Cześć, staruszkule – powiedziałem.

Kot zrobił ósemkę między moimi nogami, podszedł do Pike'a i klapnął na podłogę.

Wziąłem głęboki oddech. Wypiłem kolejny łyk wody i znowu odetchnąłem. Spojrzałem na Pike'a.

– Dziękuję.

Joe wygrzebał coś z kieszeni.

– Upuściłeś.

Uśmiechnąłem się do małego Świerszcza i schowałem go do szuflady. Nita powiedziała, że odbierze go, kiedy znajdzie Kristę, i zamierzałem tego dopilnować. Marzenia naprawdę się spełniają.

Chciałem wziąć prysznic. Chciałem umyć i wynitkować zęby, chciałem się ogolić i zmienić ubranie cuchnące krwią, torturami i śmiercią. Chciałem zapomnieć o pustyni, ale niektóre rzeczy są ważniejsze.

Wziąłem plastikowe wiadro z pralni, płyn do mycia naczyń i ręczniki i wyniosłem to wszystko na dwór. Pike i kot poszli za mną.

Nalałem do wiadra wody, dodałem płynu, namoczyłem ręcznik i zacząłem myć dżipa. Tarłem mocno, tak żeby zetrzeć z niego pustynię. Pike wziął ręcznik i dołączył do mnie. Kot przycupnął pod moim wozem, uważnie nas obserwując.

Zmyliśmy brud i kurz. Pustynia odcisnęła na karoserii swój ślad, ale tak być powinno. Zdrapania i małe wgniecenia wypełni z czasem wosk i w końcu znikną pod jego błyszczącą warstwą.

Dzień ten na pewno nadejdzie, wymagało to jedynie pracy i cierpliwości. Wiedział o tym Pike, wiedziałem i ja.

Umyliśmy starego dżipa i wypolerowaliśmy irchą jego jaskrawą skórę. Doprowadziliśmy go do porządku na tyle, na ile mogliśmy, a wraz z nim wszystko

inne.

Podziękowania

Ekipa produkcyjna wydawnictwa Putnam przeszła samą siebie, żeby książka ta zaistniała. Autor pragnie przeprosić jej członków za ciągle przekraczanie terminów i podziękować im za tytaniczny wysiłek, zwłaszcza Meredith Dros.

Przygotowanie książki do druku jest często niewdzięczną pracą, którą wykonuje się w trudnych warunkach. Patricia Crais ślęczała nad nieustannie zmieniającym się maszynopisem, co zmuszało ją do ciągłego poprawiania wniesionych już poprawek i zarywania nocy. Dziękuję, Patricio.

Neil Nyren i Ivan Held są Thorem i Odynem tej branży. Żaden wydawca nie okazał nigdy tak wielkiej odwagi, wiary i wsparcia. To prawdziwe psy bojowe.

Autorem przekładów na język arabski jest David Coronel. Na język koreański tłumaczyli Ashely An i Jae-Jin Kim. Bardzo im dziękuję.

I jak zawsze dziękuję Aaronowi Priestowi za to, że chronił mnie, bronił i popychał do przodu.